Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 51 (1603) ROK XXXI 18 GRUDNIA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

■ Dziesięć najlepszych książek 1988 roku — str. 11
■ Uzdrowiciele czy szarlatani? — str. 6
■ Co ma robić sportowiec, gdy cichną oklaski? — str. 7
■ Jak dawniej w Łodzi budowano pomniki? — str. 1 i 4

Foto: Włodzimierz Kałczak

W połowie XX wieku była tu enklawa wieku XIX, wraz z autobusem przybył tu wiek XX, a teraz może zdarzyć się, że szybciej niż gdzie indziej zawita tu wiek XXI.

Otwarta studnia i woda czysta

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Część I. Można powiedzieć:
— prehistoria.

1.

— **Z Wielunia** — powiedziano mi w Komendzie Chorągwi ZHP w Sieradzu — **pojedziecie na Częstochowę. Za Wieluniem zaczną się wzniesienia. Dojedziecie do Dzietrznik i na skrzyżowaniu trzeba skręcić zgodnie z drogowskazem na drogę do Parzymiechów. Tak dojedziecie do Załęcza Wielkiego. Najpierw będzie różowy budynek szkoły. Teraz trzeba uważać. W murowanym domu będą schodki i sklep. To przed tym domem trzeba skręcić w lewo, pomiędzy dwa płoty. Droga doprowadzi do mostu na Warcie. Zaraz za mostem w lewo i już droga doprowadzi do celu.**

To był rok 1982. Tak się złożyło, że nic sobie nie załatwiłem na wakacje, a wypocząć trzeba było koniecznie. Pomógł mi **Janusz Urbaniak**, który był wtedy I sekretarzem KW PZPR w Sieradzu.

— **Jest taki cudowny zakątek nad Wartą** — powiedział. — **Nazywa się Załęcze Wielkie. Tam obozują harcerze. Spokój, cisza, wspaniałe powietrze.**

Zgadzało się.

2.

Jest listopad 1988 roku. Jedziemy tą samą drogą. Pada drobny deszcz. W lesie stoi mgła. Jeszcze wczoraj był tu śnieg. Teraz po nim ani śladu. A tak chciałbym zobaczyć Załęcze Wielkie w zimie.

Pierwszym budynkiem, jaki tu powstał, była stołówka. Dziś się sypie, przecieka. Są dnie, kiedy nie można pomieścić stołujących się, czekają więc w kolejce i są dnie, kiedy jest tu pusto i cicho. Zaledwie parę osób je śniadanie, obiad czy kolację. Dziś jest pełno.

Ktoś mi się uważnie przygląda. Popadam w panikę. Znam człowieka, a nijak nie mogę sobie przypomnieć, kto to może być. Coś mi świta...

Wyciągamy do siebie ręce. Mocny uścisk dłoni. Nachylam ucha...

— **Fiwek** — mówi ten ktoś.
— Wojtek?
— **Ten sam.**
— A niech to diabli! Nie poznałem Cię.

Wojciech Fiwek jest znanym reżyserem filmów, w których występowały dzieci, ale trudno powiedzieć, że są to filmy tylko dla dzieci. Rzucił jednak kręcenie filmów. Przeszedł na emeryturę, ale współpracy z dziećmi i dla dzieci nie zarzucił. Robi widowiska, pisze... piosenki. Pierwszą była „Tylko chcieć". Muzykę napisał **Zbigniew Piasecki.**

„Ze spadnie z nieba to co chcesz,
mylisz się bracie i na pewno.
Nie czekaj cudów, przecież wiesz
— życie upływa, a masz jedno.
Tylko chcieć
będziesz miał słońce co dnia.
rozjaśnisz każdy mrok.
Tylko chcieć
Tylko chcieć,

5

Zawsze powinien być drugi wariant.

Nie rozkładać bezradnie rąk

***Rozmowa z* TADEUSZEM WOJCIECHOWSKIM — radnym Rady Narodowej Miasta Łodzi i Gminnej Rady Narodowej w Andrespolu.**

— Po co panu potrzebny zespół radnych bezpartyjnych?

— Dobrze, że pani nie zapytała, kto za mną stoi że tak zabiegam o powołanie zespołu radnych partyjnych.

— A pytali tak?

— Owszem pytali.

— I co pan powiedział?

— Nic, bo jeśli ktoś nie rozumie o co tu chodzi, to trudno mu cokolwiek tłumaczyć.

— A o co chodzi?

— Wytłumaczę na przykładzie. Zespoły radnych partyjnych oceniały wyniki realizacji planu w pierwszym półroczu 1988 roku. Bardzo mi się podobała ocena zespołu radnych PZPR. Ale ja bym takiej oceny nie potrafił zrobić. Po prostu dlatego, że nie mam takiego zestawu informacji, jakimi dysponują zespoły partyjne.

Zespoły radnych partyjnych zapraszają na swoje spotkania radnych bezpartyjnych. Tak dzieje się na szczeblu województwa już nie zawsze w gminie. Poza tym nie każdy radny akurat może uczestniczyć w posiedzeniu terminy są różne a wtedy już dużo traci.

— W pracach zespołu bezpartyjnych też może mu coś przeszkodzić.

— To prawda. Ale zespół taki starałby się o odpowiednie, wyczerpujące materiały i dostarczyłby je również temu kto nie był obecny. A tak każdy musi się starać dla siebie i nie zawsze może sobie z tym poradzić. Zresztą taki zespół radnych bezpartyjnych powstał przy PRON w Andrespolu działa od dwóch miesięcy i nic się złego nie stało.

— A w województwie?

— Zebrało się nas pięciu radnych, zgłosiliśmy taki wniosek i nic. Przewodniczący RNMŁ — Andrzej Feliks Grabski jest temu przychylny, łódzki PRON ponoć też ale — jak na razie — na przychylności się skończyło. Podczas ostatniej sesji RNMŁ, w przerwie, już z dziesięć osób mnie pytało, co się w tej sprawie dzieje.

— Jakie doświadczenia ma pan z Andrespola?

— Dobre. Radni czują się pewniej. Wiedzą że jeśli z czymś występują to jest to solidnie obgadane, dobrze dopracowane. Nie działają w pojedynkę. Wspólne przygotowywanie wniosków nas nie ogranicza, gdyż mogę zachować swoje zdanie i z nim wystąpić na sesji. Ale mam za to większy zasób informacji a to jest nam teraz najbardziej potrzebne.

— Dlaczego zgodził się pan kandydować na radnego w gminie i w województwie?

— Uważam, że wieś musi mieć swoje mocne przedstawicielstwo. Pracuję w Radzie Sołeckiej sołectwa Bedoń Wieś. Ale do RNMŁ kandydowałem z Górnej w Łodzi. Akurat tam było miejsce dla bezpartyjnego. Trochę to mi komplikuje życie, bo muszę też dbać o interesy moich wyborców z Górnej. Chociaż — nie ukrywam — in-

3

Nowy Rynek, dzisiejszy plac Wolności. Pomnik Tadeusza Kościuszki stanie tu dopiero za trzydzieści lat... Zdjęcie z 1900 roku ze zbiorów Muzeum Historii m. Łodzi.

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje.

Jak dawniej w Łodzi pomniki budowano?

ADAM OCHOCKI

Czy wiecie, że pomnik bohatera spod Racławic, tak nierozerwalnie związany z placem Wolności, miał według pierwotnych planów stanąć na rogu ulicy Andrzeja i dawnej Spacerowej, którą z tej okazji zawczasu nazwano aleją Tadeusza Kościuszki?

A może i o tym nie wiecie, że o wiele wcześniej, zanim jeszcze pomnik Kościuszki po raz pierwszy ozdobił plac Wolności, miasto zyskało „prywatny" posąg Naczelnika i że mimo burz dziejowych przetrwał on do dziś?

Ulica Spacerowa.

Najpierw jednak wstąpmy w wehikuł czasu i przenieśmy się na ówczesną ulicę Spacerową, zwaną też powszechnie Promenadą. Inaczej wyglądała ona niż obecna aleja Tadeusza Kościuszki. Środkiem, gdzie dziś biegną tory tramwajowe, ciągnął się deptak, szeroki pas zieleni z drzewami po obu stronach. Gęsto ustawione, na biało pomalowane ławki, zachęcały przechodniów do relaksu. Rojno i gwarno bywało tu zwłaszcza w słoneczne przedpołudnia. Mamy i nianie przyprowadzały lub przywoziły w wózkach spacerowych dzieciarnię. Pod czujnym okiem swych opiekunek nasze babcie i dziadkowie wesoło baraszkowali. I mnie, w krótkich porciętach, wiodła tu za rączkę nasza wychowawczyni domowa, ułomna pani Renia...

Tramwaj, oczywiście, jeździł aleją Tadeusza Kościuszki, przy samych krawężnikach, ale tylko na krótkim odcinku od Zielonej (późniejsza Legionów) do dzisiejszej ulicy 22 Lipca (wtedy 6 Sierpnia, wcześniej Benedykta), stąd skręcał w Piotrkowską, podążając bodaj na Dąbrowę. W powrotnej trasie „siódemka" kończyła bieg tuż za naszym domem przy ul. Zielonej 48, przy ówczesnym placu Józefa Hallera, wcześniejszą „Zelinówką". To tam na boisku ŁKS-u przeżywałem pierwsze emocje jako kibic meczów piłkarskich.

Piękna była aleja Tadeusza Kościuszki... Niewątpliwie najładniejsza z wszystkich arterii miasta. Łodzianie mówili z dumą: *„To nasze Pola Elizejskie:* Do dziś zachowały się w doskonałym stanie wznoszone tu w międzywojniu domy mieszkalne; z pewnością przeżyją one postawione po wyzwoleniu bloki.

Prawdziwą ozdobę alei stanowiła synagoga, jedna z najwspanialszych w Europie. Stała na rogu Zielonej, tam

4

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Londyn), Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Włodzimierz Krzemiński, Zenon J Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel 32 59 11
Organizacja reklamy: Andrzej Bartosiewicz tel 36-80-99
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91—103 Łódź. ul Sienkiewicza 3/5
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź. ul. Armii Czerwonej 28
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Warunki prenumeraty: 1 Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 23, 00 958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — od dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 3963. S-10.

Przegląd prasy

W porównaniu z krajami zachodnimi Japonia ma bardzo mało prawników, policjantów, przestępców i więźniów. Ulice wielkich miast japońskich są bezpieczne nawet w nocy. Przestępcy dość często oddają się w ręce sprawiedliwości, osoby podejrzane nierzadko przyznają się do winy. Wynika to z odmienności kultury i specyficznej mentalności. Na sposób myślenia i postępowania Japończyków wpłynęły głównie trzy religie: konfucjanizm, buddyzm i shintoizm. Socjologowie mówią, że w Japonii jest kultura wstydu, natomiast w chrześcijańskich państwach Zachodu — kultura winy.

Na czym polega różnica między tymi kulturami, wyjaśnia w miesięczniku „PRZEGLĄD POWSZECHNY" (nr 11) Jan Widacki. Podkreśla on, że Japończycy liczą się przede wszystkim z opinią grupy. Świadomość społeczna jest najwyższą instancją moralną, a nie Bóg bądź transcendentnie pojęte wartości. Grupa solidarnie odpowiada za swoich członków.

„Tu kryje się jedno ze źródeł niezwykle silnej kontroli społecznej (będącej funkcją silnych więzi społecznych) i najbardziej prawdopodobna przyczyna niskiej przestępczości. Rodzice nigdy nie przestają być odpowiedzialni za swoje dzieci, żony za mężów, koledzy za kolegów. Prostą konsekwencją tego stanu jest więc to, że rodzice starają się pilnować swoich dzieci, żony mężów, zaś koledzy w pracy siebie nawzajem. Chyba jednak nie to przesądza o skuteczności kontroli społecznej, ale raczej odwrotność tego. Nie dlatego ktoś nie popełnia przestępstwa, że koledzy mu przeszkadzają, ale dlatego, że wie, iż jego czyn spotkałby się z dezaprobatą kolegów. Byłby przez grupę źle przyjęty".

W społeczeństwach chrześcijańskich ludzie proszą Boga, żeby odpuścił im winy, a Japończycy rozliczają się przed własną grupą. Ponad świadomością moralną grupy nie ma żadnej instancji wyższej. Nie ma Boga, nie ma idealnego świata powinności. Japończycy unikają myślenia oderwanego od rzeczywistości. Cechą tej kultury jest wielki praktycyzm.

„Dla praktycznego z natury Japończyka, nie lubiącego myśleć abstrakcyjnie dla samej przyjemności myślenia abstrakcyjnego, rzeczywistość zawsze była tylko jedna. Zatem w sferze tej jednej rzeczywistości trzeba szukać motywacji do praktycznych ludzkich działań. Stąd też ideał i praktyka to jedno i to samo. Ideał to coś, coś jest osiągalne w praktyce. Innych ideałów nie ma, a w każdym razie nie warto o nich mówić".

Na podstawie oddzielenia ideałów od praktyki ludzie Zachodu mogą kwestionować nawet wyroki sądowe. Na przykład, chrześcijanie uważają, że Sanhedryn żydowski skazał Jezusa niewinnie. Natomiast zupełnie inaczej wygląda to w społeczeństwie japońskim, któremu obcy jest dualizm ideału i praktyki.

„Jednomyślny wyrok Sanhedrynu oznaczałby dla nich, że osiągnięto pełną harmonię. Skoro wyrok był jednomyślny, był tym samym słuszny. Brak odniesienia transcendentnego — jak już była o tym mowa — nie pozwala na zewnętrzną kontrolę prawa i praktyki jego stosowania. Jednomyślni sędziowie żydowscy byliby ostateczną instancją w ocenie swojej praktyki stosowania prawa. Ich jednomyślność - byłaby jedynym kryterium słuszności.

Świat japoński jest światem monolitycznym, przepełnionym dążeniem do harmonii, która łączy i godzi przeciwieństwa. Świat zachodni jest inny".

W myśleniu zachodnim logicznie oddziela się podmiot i przedmiot, prawdę i fałsz, tak i nie, dobro i zło. Jeśli zachodzi jedno, to nie może być drugie. Japończycy zaś raczej nie używają przeczenia. Zamiast stanowczo powiedzieć „Nie", oni mówią: „Tak, ale..." lub „W zasadzie tak, ale..." Starają się godzić przeciwieństwa, dążą do praktycznego kompromisu. Nawet podczas dyskusji stawiają sobie inny cel niż my.

„Nie jest nim przekonanie adwersarza do swoich racji czy choćby tylko zamanifestowanie swej odrębności, ale znalezienie wspólnej drogi".

Zgoda w rodzinie bądź innej grupie społecznej wymaga zbliżenia stanowisk. Członkowie grupy muszą godzić się na kompromisy.

PODZIAŁ WŚRÓD ARTYSTÓW

O potrzebie kompromisu i porozumienia dużo mówi się i pisze w naszym kraju. Ale niełatwo przezwyciężyć dawne podziały. Świadczy o tym między innymi przykład środowiska teatralnego. W najnowszym miesięczniku „TEATR" (nr 11) Gustaw Holoubek twierdzi, że obie strony powinny zrezygnować z obrażonej dumy i głupio pojętej pryncypialności. Niektórzy czują się ukarani. Pragną, żeby władze przyznały, że dokonano swoistego aktu bezprawia.

„Akt bezprawia wobec środowiska, które — wbrew temu, co wówczas sądzono — nie zasłużyło sobie na to. Ta część ludzi, o których mówię (i do której ja również należę), jest zdania, że krok ten był nie tylko niesprawiedliwy, ale że w bardzo poważnej mierze zagroził substancji teatru".

Gustaw Holoubek ma na myśli rozwiązanie Związku Artystów Scen Polskich po wprowadzeniu stanu wojennego. W tym roku (21 XII) przypada siedemdziesiąta rocznica ZASP. Związek powstał w drugim miesiącu niepodległej Polski.

Obecny prezes ZASP, Kazimierz Dejmek, również dostrzega podział środowiska teatralnego. Nie zgadza się jednak, że spowodowało go rozwiązanie Związku „starego" i powołanie „nowego" (1983.12.19) pod przewodnictwem Henryka Szletyńskiego.

„Konflikt zarysował się wcześniej, a mianowicie w 1980 roku, gdy Nadzwyczajny Zjazd uchwalił przystąpienie ZASP do «Solidarności», która z ruchu związkowego zamieniała się wówczas w ruch polityczny. Wmanewrowanie ZASP w doraźną grę polityczną i nadanie mu cech ugrupowania politycznego było sprzeniewierzeniem się tradycji oraz statutowym celom i zadaniom Związku. Nie wszyscy członkowie zgadzali się wówczas z kierunkiem Zarządu Głównego pod przewodnictwem Gustawa Holoubka i wśród nich był niżej podpisany. Dałem temu wyraz w liście do Prezesa i Zarządu Głównego. Na ten list odpowiedzi nie otrzymałem.

W 1981 roku przewodniczyłem kolejnemu zwykłemu Zjazdowi, na którym uchwaliliśmy nowy Statut. Jeden z artykułów projektu Statutu głosił, iż ZASP zobowiązuje się do ścisłej współpracy z NSZZ «Solidarność», czemu się sprzeciwiłem i zaproponowałem, aby zobowiązanie to odnosiło się do związków zawodowych w ogólności. Ostatecznie, w drodze kompromisu, artykuł wymieniał «Solidarność» oraz inne związki zawodowe.

Jak się okazało — umieszczenie w Statucie «Solidarności» było polityczną krótkowzrocznością. Podobną, choć z formalnego punktu widzenia konieczną, skreślenie jej w Statucie «poprawionym» przez «nowy» ZASP. Myślę, że z tej przygody całe nasze środowisko powinno wysnuć stosowne wnioski".

Z okazji 70-lecia Związku Artystów Scen Polskich Kazimierz Dejmek zaproponował zorganizowanie wspólnego spotkania środowiskowego. Jednakże były prezes „starego" ZASP, Andrzej Szczepkowski (następca G. Holoubka), uważa takie spotkanie za przedwczesne. Najpierw należy zaprowadzić ład w całym społeczeństwie, a potem bez nienawiści i pogardy dla cudzych poglądów świętować jubileusz.

OKRES WOJNY DOMOWEJ

Obecne podziały w naszym społeczeństwie mają tylko częściowo związek z rozbiciem politycznym tuż po II wojnie światowej. Tak uważa historyk z Uniwersytetu Śląskiego dr Zygmunt Woźniczko. W rozmowie opublikowanej na łamach „ARGUMENTÓW" (nr 50) podaje ciekawe liczby. Oto układ sił z 1945 roku:

„Liczebność całego podziemia szacuje się na 150 tys. ludzi. Większość stanowili członkowie prawicowych partii, ale było również około 8—10 tys. w nurcie prohitlerowskim (Verwolf) oraz w UPA około 15—17 tys. Natomiast PPR liczyła wówczas około 300 tys. członków i to chyba najlepiej obrazuje stopień skomplikowania i dezorientacji politycznej polskiego społeczeństwa. PPR, PPS, SD i SP z organizacji konspiracyjnych przeszły do legalnego rozwoju swych szeregów. Partie prawicowe wyjść z podziemia nie mogły i nie chciały. Wśród tych ostatnich wyróżnić można trzy główne:

Przede wszystkim WiN (Wolność i Niezawisłość), będącą organizacją wojskową wywodzącą się z prostej linii z dawnej AK. W dużym stopniu była jej kontynuacją. Była doskonale zorganizowana, skupiała dobrze wyszkolonych i często bardzo ideowych ludzi. Jej liczebność w 1945 roku szacuje się na około 30—50 tys. ludzi. Szczególnych poszczególnych delegatur WiN byli: płk Jan Rzepecki, płk Niepokulczycki, por. Kwieciński, por. Ciepliński.

Obóz Narodowy nie wytworzył tak sprawnej organizacji jak WiN, ale utrzymywał w podziemiu około 20 tys. ludzi. Działały podziemne Zarządy Główne SN, przybywali emisariusze z Londynu, wydawano swoje biuletyny.

I wreszcie nurt socjalistycznej WRN (Wolność, Równość, Niepodległość), w którym działali tak znani luminarze ruchu socjalistycznego II Rzeczypospolitej i okupacji, jak Kazimierz Pużak czy Zygmunt Zaremba.

Był również marginalny ruch byłych piłsudczyków, tzw. Stronnictwo Niezawisłości Narodowej, które założył jako kontynuację dawnego konwentu z czasów okupacji, znany apologeta Józefa Piłsudskiego, Wacław Lipiński".

Po wyborach do Sejmu Ustawodawczego (1947.01.19) i ogłoszeniu amnestii organizacje podziemne weszły w okres schyłkowy. W 1947 roku liczyły 46 tys. osób, a rok później 13 tys. osób. Na niektórych terenach resztki podziemia dawały o sobie znać jeszcze w latach pięćdziesiątych (np. w Białostockiem), ale nie miało to wiele wspólnego z działalnością polityczną.

ZJEDNOCZENIE RUCHU ROBOTNICZEGO

W pierwszych latach Polski Ludowej istniał pluralizm polityczny. Były dwie partie robotnicze (PPR i PPS), które współdziałały z SL, SD i PSL. Czterdzieści lat temu doszło do powstania PZPR — wbew części aktywu odrodzonej PPS. Wspomina o tym w najnowszym „MIESIĘCZNIKU LITERACKIM" (nr 9) Włodzimierz Sokorski.

„Prawe skrzydło, reprezentowane przez Pużaka i Zygmunta Żuławskiego, było zjednoczeniu zdecydowanie przeciwne. Centrum, skupione wokół Osóbki-Morawskiego, Szwalbego, Drobnera i Wachowicza widziało zjednoczenie jako proces długofalowy. Cyrankiewicz, Rusinek, Motyka, Hochfeld, Reczek jeszcze na XVII wrocławskim zjeździe w grudniu 1947 roku proklamowali samodzielność PPS jako zjawisko historyczne i potrzebne ruchowi robotniczemu. W gruncie rzeczy tylko lewica PPS, a więc Matuszewski, Baranowski, Werblan byli za natychmiastowym zjednoczeniem, chociaż także na warunkach partnerskich, zbliżając się w ten sposób do stanowiska Gomułki, który jeszcze w czerwcu 1948 roku na Plenum Komitetu Centralnego PPR bronił swego stanowiska i najpełniej własne poglądy rozwinął. Spotkał się jednak ze zdecydowanym sprzeciwem, zwłaszcza Ochaba, Werfla i Zawadzkiego oraz wielu innych, którymi za kulisami dyrygował Jakub Berman. Bolesław Bierut nie figurował wtedy jeszcze formalnie we władzach partii, lecz w nowej sytuacji stał się z miejsca głównym animatorem krytyki poglądów Wiesława, przejmując stopniowo kierowanie Biurem Politycznym i całą partią".

Podczas Kongresu Zjednoczeniowego, który rozpoczął obrady 15 grudnia 1948 roku w auli Politechniki Warszawskiej, delegaci musieli co chwila wstawać, klaskać i skandować. Leon Schiller narzekał, że bolą go od tego nogi i ręce.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

IWONA BARTOSIK — kurator oświaty i wychowania województwa łódzkiego.

— Był pełen pracy i bieganiny. W poniedziałek zastanawialiśmy się w gronie pedagogów nad projektami nowych zarządzeń ministra edukacji narodowej dotyczących egzaminów maturalnych, nowego systemu oceniania uczniów, promowania i klasyfikowania, nowej polityki placowej, regulaminu egzaminów wstępnych na uczelnie oraz innowacji pedagogicznych. Opinie były na ogół pozytywne, choć poprawki będą niezbędne.

We wtorek towarzyszyłam przez dzień cały delegacji z Węgierskiej Republiki Ludowej. W środę spotkałam się ze społecznikami z ORMO i byłam na posiedzeniu Zarządu Wojewódzkiego TKKS, które było poświęcone wychowaniu młodego pokolenia.

Wzięłam też udział w spotkaniu inicjującym działalność Towarzystwa Przyjaciół Ogrodu Botanicznego. Początkowo szłam tam z nastawieniem — „znowu mnie szarpią z rozdzielnika", ale wysłuchawszy tego, co mówiono o stanie Ogrodu Botanicznego, a szczególnie Palmiarni, zmieniłam zdanie. Jeśli się pomyśli, że 70 lat temu Łódź mogła wybudować Palmiarnię, a dziś milionowe miasto nie potrafi zapewnić przyszłości roślinom, to człowieka złość ogarnia. I dlatego potrzebna jest społeczna pomoc.

My w oświacie mamy podobne kłopoty. Zastanawialiśmy się w Kuratorium nad tym, jak podzielić pieniądze na remonty, bo jest ich — niestety jak zwykle — mniej niż potrzeb. Myśleliśmy o rozbudowie Szkoły Podstawowej nr 2 w Głownie, bo znalazła się na ten cel i dokumentacja, i wykonawca robót, ale nic z tego nie będzie przy ograniczeniu inwestycji.

Tydzień zakończyłam piękną uroczystością 70-lecia Liceum w Zgierzu. Przyjechali utytułowani absolwenci szkoły. Byłam na Górnej, aby wręczyć puchar Kuratora zwycięzcom IV Turnieju Rekreacyjnego. To ładna impreza i tylko nauczyciele z Górnej potrafią takie organizować.

Gdy sobie pomyślę, czego w minionym tygodniu nie zrobiłam, robi mi się zimno. A święta już niedługo...

ELŻBIETA SZCZECIŃSKA — studentka.

— Odwiedzałam z koleżanką mieszkania łodzian jako rachmistrz Spisu Powszechnego. Bardzo to było męczące. Każde mieszkanie trzeba było odwiedzić dwa razy. Ona miała ich 104, a ja 65, ale postanowiłyśmy chodzić razem, bo to bezpieczniej. Mówiono nam wprawdzie, że milicja będzie patrolowała uważniej rejony spisowe, ale nic takiego nie zauważyłam.

Zaczęło się to zresztą fatalnie, bo właściwie zmuszono nas do udziału w spisie, mówiąc, że bez tego nie zaliczą nam semestru. Dopiero na posiedzeniu Senatu wyjaśniło się, że udział w pracach spisowych jest dobrowolny, ale już było po wszystkim, bo podpisałyśmy zobowiązania do udziału w tych pracach.

Teraz, gdy już kończymy spis, to choć czujemy się zmęczone, trochę inaczej na to patrzymy. Zarobiłyśmy nieco pieniędzy, jeszcze nie wiemy ile to wyniesie. Poznałam wielu różnych, sympatycznych ludzi. Zobaczyłam, jak ludzie żyją. I nikt nie chciał nas wyrzucić za drzwi.

JAN TOMASZEWSKI — były reprezentacyjny bramkarz Polski, pełnomocny zastępca dyrektora Przedsiębiorstwa Zagranicznego „Karimex".

— Na początku tygodnia nie mogłem jeszcze wyjść z szoku, jaki przeżyłem. ŁKS obchodził jubileusz i nie zostałem na uroczystości zaproszony. W ŁKS spędziłem najlepsze lata mego sportowego życia i trudno to wykreślić i z mego życiorysu, i z historii klubu. ŁKS na zawsze pozostanie w moim sercu. Na ŁKS nie mogę się przecież obrazić. Na ludzi, którzy tam teraz rządzą, to już co innego.

No i ten wielki wstrząs, jakim była tragedia dziesiątek tysięcy ludzi w Armenii. Co tu można powiedzieć? Pięknie, że świat się zjednoczył w pomocy dla ludzi dotkniętych klęską żywiołową. To napawa optymizmem, że i w innych sprawach być może potrafimy się zjednoczyć.

Bardzo się cieszę, że właściciel firmy, w której pracuję, podjął decyzję przekazania jako pomocy dla poszkodowanych w Armenii naszej konfekcji o wartości 10 000 000 złotych.

Notowała: BOGDA MADEJ

Już za tydzień w świątecznym wydaniu „Odgłosów"

— Miasto opustoszało. W tysiącach okien płonęły ognie na choinkach. Patrol milicyjny powoli przemierzał ulice bardziej z obowiązku niż dla rzeczywistej penetracji zakamarków tej niespokojnej dzielnicy — opowiadanie kryminalne JAKUBA I JAROSŁAWA ŁASKICH.

— Na bankiecie poznał młodą panienkę, nawet sympatyczną, ale tak naprawdę nic specjalnego. Widać spodobał się jej, bo ośmielona kilkoma kieliszkami wódki zaproponowała, by z nią zamieszkał — opowiadanie MARKA KOPROWSKIEGO.

— Specjalny wysłannik marszałka Rydza-Śmigłego dotarł do oblężonej przez Niemców Warszawy, lecz przepadł jak kamień w wodę. Dopiero po trzech godzinach zjawił się w schronie gen. Rómmla. Ku zaskoczeniu obecnych był zupełnie pijany — fragment książki CEZAREGO LEŻEŃSKIEGO „Kwatera 139".

— Tambor pierwszy raz miał do czynienia z polskim milicjantem w sytuacji niesłużbowej. Chętnie pociągnąłby funkcjonariusza za język, ale ze względu na swój obcy akcent bał się posądzenia, że szpieguje dla imperialistów — fragment najnowszej książki JERZEGO JESIONOWSKIEGO pt. „Superagent Tambor".

— Zanim główny geolog dotarł na miejsce, gdzie robiono odwierty sondażowe pod przyszłe metro, gazetowi i telewizyjni rzucili się na to jak szakale i ogłosili szejkanat naftowy w Łodzi. Wprawdzie zobaczyli potem na wiertni smukłą blondynkę, która próbowała gasić ten gejzer euforii, ale co baba ma do gadania — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Noc była bezgwiezdna i dął lodowaty wicher. Joseph Kraus, przyświecając sobie latarką, brnął torem przed siebie przemarznięty do szpiku kości. Już miał zawrócić, gdy jego wzrok padł na kilka luźno leżących śrub. Kraus znieruchomiał. Czuł dudnienie w skroniach — sensacyjny materiał JANA BĄBIŃSKIEGO pt. „Nocny terrorysta".

ze str. 1

teresy wsi są mi znacznie bliższe.

— I dlatego, że działa pan w Radzie Soleckiej pracuje pan w Komisji Samorządu w radzie wojewódzkiej?

— Tak, bo z moich doświadczeń w pracy społecznej właśnie — jak to się mówi — na dole wynika, że bardzo dużo jest tutaj do zrobienia. Na przykład konieczne jest prawne zabezpieczenie czynów społecznych. Potrzebne jest też rozgraniczenie jakości i wartości tych czynów. Weźmy chociażby budowę wodociągu — bardzo ważne dla wsi — i budowę szkoły, czy budowę przystanku, sieci gazowej, domu kultury, remizy. Każda taka inwestycja różni się nie tylko rozmiarami, charakterem ale i wysokością kosztów. Budowa szkoły pochłania ich najwięcej. Coś o tym wiem, bo brałem udział w społecznej inicjatywie budowy szkoły w Bedoniu.

Warunkiem rozpoczęcia inwestycji w czynie społecznym jest zgromadzenie 30 procent kosztów. Te 30 procent dla szkoły — to zupełnie inna suma niż 30 procent kosztów dla przystanku PKS. Chciałbym więc poprzez pracę w Komisji Samorządu przyczynić się do zmiany prawa w tej sprawie.

Albo weźmy inny absurd. Otóż fundusze społeczne złożone w banku są oprocentowane w wysokości 2 procent. Jaka to ma być zachęta dla gromadzenia funduszy na społeczne cele, skoro traci się na tym?

— Zważywszy jeszcze na postępy inflacji...

— Dlatego ludzie wolą trzymać społeczne pieniądze na indywidualnych książeczkach, bo wtedy pobiera się wyższy procent. A to znów jest sprzeczne z prawem, i tak dalej.

W ogóle uważam, że jak najwięcej władzy stanowiącej powinno się przekazać jak najniżej — do gminy przede wszystkim. I w tym kierunku będziemy chyba zmierzać.

— W gminie cieszą się z tego?

— Przeciwnie. Są przerażeni. Gdy sobie uświadomią, że będą odpowiadali za gospodarkę komunalną, oświatę, służbę zdrowia i nie można będzie już zrzucić na nikogo wyżej winy i odpowiedzialności, to ogarnia ich wielki strach. Boją się też, że nie starczy na wszystko pieniędzy.

— A czy rzeczywiście starczy na wszystko pieniędzy?

— To wcale nie chodzi tylko o pieniądze. Przy podziale odpowiedzialności, kiedy w gminie wiadomo kto zawalił wywożenie śmieci, kto nie dba o oświetlenie ulic, kto zaniedbał to czy tamto — winnego można rozliczyć nawet w skali miesiąca. A to już zupełnie inna sytuacja niż ta, kiedy za to wszystko odpowiada ktoś w województwie i nie bardzo nawet wiadomo kto.

Byłem kiedyś na praktyce rolniczej w Szwajcarii. Mieszkałem na wsi i tamtejsi chłopi chętnie zapoznawali mnie z funkcjonowaniem różnych ich instytucji. Ich urzędnicy mieli mnóstwo do roboty, bo załatwiali sprawy podatników, ale ci podatnicy czuli się prawdziwymi gospodarzami na swoim terenie. Gospodarz, u którego mieszkałem, był prezydentem parafii i prezydentem Związku Chłopów Szwajcarskich w kantonie. Otóż najbardziej zdziwiło mnie to, że on nie miał żadnych etatów i urzędników. W domu miał biuro i sam wszystko załatwiał. Miał wprawdzie do pomocy różnych fachowców, pismo fachowe, ale wykonywał pracę, którą u nas wykonuje cały wojewódzki związek z wieloma urzędnikami. Okazuje się więc, że można inaczej.

— I chyba nawet trzeba.

— No właśnie. Ale kiedy wszystko zmierza w takim kierunku, gdy koniecznością staje się racjonalizacja zatrudnienia, to wielu urzędników może poczuć się zagrożonych, bo mogą okazać się zwyczajnie niepotrzebni. To jedna strona zagadnienia. A druga — to racjonalne myślenie.

— Co pan przez to rozumie w tym konkretnym przypadku?

— Weźmy jako przykład wywożenie śmieci. Na całym świecie robi się na tym interesy. U nas — nie. Jeśli więc w gminie będzie określony budżet, to może się wtedy okazać, że opłaci się powołać konkurencję, dać komuś zarobić, ten ktoś rzetelnie będzie dbał o czystość gminy i po kłopocie.

Inne rozwiązanie. Teraz, kiedy potrzebuję coś załatwić, muszę chodzić po urzędach, czekać w kolejce, tracić czas. A czy na przykład nie może być tak, że zlecam załatwienie sprawy urzędnikowi, wpłacam mu odpowiednią opłatę skarbową na — nazwijmy to — koszta i po 2 tygodniach, po miesiącu sprawę mam całkowicie załatwioną? Przecież wielu chłopów, a nawet urzędników, nauczycieli i w ogóle ludzi mających coś do załatwienia, byłoby z takiej możliwości zadowolonych.

— Sądzi pan, że rozszerzenie kompetencji gminy musi doprowadzić do przyjęcia nowych, nie stosowanych do tej pory rozwiązań.

— Tak sądzę. Więcej — spodziewam się tego. Uważam, że musi powstać taka sytuacja, w której nie wystarczy już zasłonić się stwierdzeniem, że czegoś nie ma, że ktoś czegoś nie dostarczył, że są trudności, przeszkody i tak dalej. Konkretna odpowiedzialność za konkretne sprawy będzie zmuszała do szukania nowych rozwiązań.

I druga strona tej sprawy — decyzje. Dlaczego gminna rada ma mieć monopol na mądrość? W końcu mieszkańcy danej wsi najlepiej wiedzą w którym miejscu trzeba pobudować szkołę. Niech więc decyduje rada sołectwa. Czy gospodarz, jeśli ma budulec i plac pod budowę, to musi biegać po urzędach, aby wychodzić zezwolenie na budowę? Niech się buduje!

— Chodzi pewnie między innymi o to, aby na wsi budowano według pewnych zasad architektonicznych, aby nie powstawały budowlane potworki. Czy pana tolerancja budowlana nie doprowadziłaby do takiego stanu?

— Myślę, że i na to znalazłoby się proste rozwiązanie. Nie posiadam na wszystko gotowej recepty, bo nie o to chodzi i nie byłbym w stanie tego zrobić. Mnie chodzi o stworzenie takich warunków w których ludzie musieliby szukać takich właśnie prostych rozwiązań, a nie na siłę komplikować życie sobie i innym. Chodzi mi o to, aby zlikwidować wreszcie w Polsce obiektywną niemożność. A może na przykład tacy kierownicy, u których ciągle występuje obiektywna niemożność dostawaliby mniej pieniędzy niż ci, którzy szukają i znajdują nowe rozwiązania? Albo gdy u kogoś ciągle ta obiektywna niemoc występuje, to może trzeba zastąpić go innym, który takiego pojęcia nie zna? I to jak najszybciej?

Bedoń, Adrespol, Wiśniowa Góra — to podmiejskie lasy. Są one ciągle zanieczyszczane, ludzie wywożą do nich śmieci samochodami. Kiedy sygnalizujemy problem, to nam mówią, abyśmy spisywali numery samochodów. Przepraszam, a co robi w tym czasie milicja? Jak milicja nie daje rady, to może powołać straż gminną, która będzie pomagała milicji strzec porządku?

Chodzi mi głównie o to, żeby nie rozkładać bezradnie rąk, tylko szukać innego rozwiązania.

— I sądzi pan, że zawsze da się znaleźć takie rozwiązanie?

— Nie wiem. Powtarzam, że nie mam gotowych recept. Ale drażni mnie to nieustanne biadolenie i brak jakiejkolwiek inicjatywy. Rozłoży facet ręce i uważa, że zrobił wszystko, co do niego należało. Tak nie można.

Ot, wszyscy w Łodzi narzekają na zapylenie powietrza. Potrzeba nowych elektrofiltrów, a nie ma na to walut. W Polsce takich się podobno nie produkuje. Trzeba czekać. I już wszyscy poczuli się rozgrzeszeni. Sumienia mają czyste. Nie można nic zrobić.

— A można?

— Nie wiem, czy można, ale wiem, że trzeba poszukać rozwiązania.

— Co by pan zaproponował?

— Chodzi mi po głowie taki pomysł. Łódź ma kontakty z wieloma miastami w świecie. W tych miastach są ludzie, którzy chętnie spędziliby wakacje gdzieś, gdzie nie byli, na przykład w Spale, Sulejowie, Uniejowie. Mogliby wpłacić za te wczasy w walutach swoich krajów, my pokrylibyśmy te koszty złotówkami, a waluty zgromadzili na zakup filtrów. Nie wiem, czy to dobry pomysł, trzeba byłoby to policzyć, skalkulować. Ale wiem, że szukanie rozwiązań jest lepsze od rozkładania rąk.

Jest jeszcze inna możliwość. Fabryki mają odpisy dewizowe z eksportu. Załogi tych fabryk mieszkają w Łodzi i wdychają pyły z niesprawnych elektrofiltrów. Gdyby na przykład PRON zaapelował o dzień pracy społecznej całej przemysłowej Łodzi, żeby pieniądze wypracowane tego dnia przekazać na dofinansowanie kupna elektrofiltrów, to może akurat by się udało coś zrobić.

— Czy moglibyśmy powrócić na teren rady narodowej?

— To też są sprawy, które żywo powinny obchodzić radnych.

— Zgoda, ale myślę o zasadach funkcjonowania rady, o jej pracy wewnętrznej. Na przykład, czy zadowolony pan jest z przygotowanych materiałów, które pan otrzymuje?

— Nie! Nie jestem zadowolony i powiem pani dlaczego. Są one sporządzane „na wysokim poziomie wtajemniczenia" biurokratycznym żargonem i nawet mój znajomy radny — ekonomista z zawodu — nie potrafił tego pojąć po pierwszym czytaniu. A co dopiero mówić o innych radnych, którzy z ekonomią nie mieli nic wspólnego.

— Większa czytelność rozwiązałaby sprawę?

— Nie chodzi tylko o to. Zakwestionowałem wielkość nakładów na melioracje i wodociągi. Obie sprawy ważne, ale bez wody nie będzie hodowli. Powiedziano mi, że wyszczególnione nakłady nie oddają istoty sprawy, bo jest jeszcze Fundusz Rozwoju Wodociągów, na którym znajduje się około 400 000 000 złotych. W gminach też jakieś pieniądze na ten cel mają. Muszę teraz chodzić i zbierać te wszystkie dane w końcu pewnie okaże się, że w gminie dostali 1 000 000 złotych i to będzie mało. A na interwencje będzie już za późno. Dlatego między innymi potrzebny jest radnym bezpartyjnym zespół, który starałby się im o wszystkie dokładne i niezbędne dane.

Poza tym — w moim przekonaniu — zbyt mało pracuje się w komisjach. Gdyby te sprawy były dokładnie przeanalizowane w komisjach, to nie byłoby potrzeby chodzenia i wyjaśniania ich w różnych urzędach. A dotyczy to przecież nie tylko wodociągów. Odnosi się to do każdej sprawy.

— Komisje obradują, ale nie wszyscy radni biorą udział w pracach komisji.

— To prawda. Pozwoli pani jednak, że wymienię inne przyczyny, które utrudniają radnym życie i pracę. Jest to brak synchronizacji między perspektywicznym planowaniem a kadencją. Poza tym wybory odbyły się w połowie roku i praktycznie te pół roku zostało już zmarnowane, a na dodatek znowelizowana ustawa o radach narodowych wchodzi w życie 1 stycznia 1989 roku. Powstała więc bardzo niezręczna sytuacja. Weszliśmy do działania z dużym zestawem postulatów, zdajemy sobie sprawę z sytuacji, w jakiej znajduje się Polska, realizujemy jeszcze plany i zamierzenia, które ustalili nasi poprzednicy, będziemy realizować także plan przyjęty na naszą kadencję. Te plany nieustannie są weryfikowane, brak funduszy, albo materiałów i wykonawców opóźnia realizację poszczególnych zadań. Tak tworzy się sytuacja, w której tzw. „obiektywne trudności" rozmydlają odpowiedzialność, także naszą, radnych.

Poza tym — i niezależnie od tego — powinniśmy zatroszczyć się w radzie narodowej o to, aby projekty, programy, prognozy gospodarcze i założenia miały różne warianty. Jeśli to jeszcze zdarza się na szczeblu województwa, to już rzadko, albo wcale nie zdarza się w gminie czy sołectwie. Wariantowość projektów i programów — moim zdaniem — jest konieczna w każdym wypadku. To właśnie — między innymi — zmusza do szukania różnych rozwiązań, a nie do poprzestawania na jednym.

— Czy nie denerwuje pana fakt, że radni nie pozostają na sesji do końca?

— Denerwuje. Proponowałem na przykład w Andrespolu, aby listę obecności podpisywać na końcu.

— Tylko, że to jest rozwiązanie formalne. Przecież, jak komuś praca w radzie przeszkadza, to powinien albo się jej zrzec, albo nie powinien był kandydować.

— Zgadzam się. Tylko proszę zwrócić uwagę, że w prezydium RNMŁ też po upływie jakiegoś czasu zaczynają pustoszeć miejsca. Według mnie sesje powinny odbywać się w wolne soboty.

— No, na to się chyba nikt nie zgodzi.

— Dlaczego? Przecież to jest praca społeczna, a nie zawodowa, a sesje nie odbywają się co tydzień.

— Z sesji RNMŁ uciekają też urzędnicy, którzy powinni chyba być obecni przez cały czas obrad.

— Podobnie jak radni. Uważam, że sesja rady narodowej jest tak ważna, że wszystkie inne prace czy uroczystości tego dnia powinny być odłożone. I dlatego upieram się, że najlepiej byłoby obradować w wolną sobotę.

— Czy nie sądzi pan, że rady, obok problemów — nazwijmy je — strategicznych, zajmują się też drobiazgami, które powinny być załatwione przez odpowiednie urzędy?

— Tak i nie. Otóż zgadzam się, że powinny być rozważane przede wszystkim problemy strategiczne — jak je pani nazwała. Ale z drugiej strony radzie nie może być obce nic, co dotyczy życia ludzi, co im w tym życiu przeszkadza. Dlatego też musi się zajmować również drobiazgami. Od 3 lat w Bedoniu jest sprawa, której do tej pory nikomu w gminie nie udało się załatwić. Przez wieś biegnie droga, na której w jedną stronę znak ogranicza prędkość jazdy, w drugą stronę takiego znaku nie ma. Postulujemy od 3 lat i bezskutecznie. Nikt znaku nie stawia.

— A sprawa wydawałoby się prosta.

— Widzi pani. Będę więc musiał interpelować pewnie aż do prezydenta, aby podjął stosowną decyzję i zmusił kogo trzeba do zrobienia tego, co trzeba. A jak za takie sprawy będzie odpowiadała konkretna osoba w gminie, to już naczelnik znajdzie sposób na to, aby znak postawiono w 3 godziny. I ciągle mam nadzieję, że stanie się to możliwe szybko — to zejście decyzji i odpowiedzialności do gminy, do samorządu w mieście.

— Zatem życzę powodzenia. Będziemy z przychylnością przyglądali się pana poczynaniom, a jak zajdzie potrzeba służyli pomocą. W końcu to nasze wspólne sprawy.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Nie rozkładać bezradnie rąk

Z tej ziemi.

Tylko jawność i prawda zgnieść może plotkę

Zdarza się niekiedy, że otrzymujemy „list otwarty" adresowany do jakiejś oficjalnej osobistości. Każdy w zasadzie ma prawo taki list napisać. Dobry obyczaj nakazuje, aby oryginał takiego listu przesłać adresatowi zanim się ukaże jego odpis w prasie — najlepiej kiedy oba te fakty następują jednocześnie. Przesłanie „listu otwartego" do redakcji nie zobowiązuje jej do publikacji tego listu. Czasem bowiem problem w nim poruszany nie upoważnia do tego, chociaż autorowi może się wydawać zupełnie coś innego.

Jak postępujemy w takich wypadkach? Staramy się taki list omówić. Zaprezentować Czytelnikom sprawy poruszane przez autora listu. Tak właśnie chcę postąpić i w tym wypadku.

List napisał Rajmund R.N. z Łodzi, prosił o zachowanie danych tylko do wiadomości redakcji. List zaadresował do Mieczysława F. Rakowskiego. Domaga się odpowiedzi na trzy pytania. Pozwolę sobie przedstawić te pytania.

1. Dlaczego do tej pory nie uległy licytacji wille i inne domy wybudowane dla „panów z czerwonej burżuazji" za państwowe pieniądze?

2. Jak długo jeszcze naród polski w dobie kryzysu będzie czekał na sprawiedliwość?

3. Kiedy zbada się wysokość rent, z których do tej pory żyją ludzie w niezgodzie z przepisami ZUS?

Są to pytania natury ogólnej. Jeśli chodzi o wille, to Rajmund R.N. wymienia jedynie Edwarda Gierka, Piotra Jaroszewicza i *„jego synałka oraz wielu, wielu innych „bonzów" prominentów"*. W sumie nikogo.

Nie mam obowiązku odpowiadać na te pytania, ale chcę przypomnieć, iż sprawa nieruchomości Stanisławy i Edwarda Gierków omawiana była na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR. Postanowiono wtedy przywrócić własność Skarbu Państwa działce użytkowanej przez Stanisławę i Edwarda Gierków w Katowicach poprzez unieważnienie decyzji z 12 kwietnia 1976 roku i aktu notarialnego z 10 maja 1976 roku dotyczącego sprzedaży S. i E. Gierkom domu wybudowanego na tej działce za państwowe pieniądze oraz wyjaśnić zasady rozliczenia z kosztów budowy domu mieszkalnego w Ustroniu Śląskim. Takie były decyzje. Jak zostały zrealizowane — nie potrafię powiedzieć.

Co do innych „bonzów" — nie wiem o kogo chodzi, myślę, że M. F. Rakowski też będzie miał trudności z odpowiedzią na takie pytanie. Jeśli natomiast chodzi o *„czekanie na sprawiedliwość"*, to autor listu ma na myśli licytację dóbr zagarniętych przez prominentów oraz również nieprawnie przyznane im emerytury. Ale konkretnie o kogo chodzi, tego — zdaje się — autor listu też nie wie. Problem wszakże jest.

Co jakiś czas ludzi bulwersują uparcie powtarzane plotki o niebywałych skarbach, jakimi dysponują prominenci. Opowiada się o fermach lisich, willach podmiejskich, daczach nad jeziorami, ogromnych mieszkaniach remontowanych na koszt państwa. Opowiada się o kontach szwajcarskich, złocie i brylantach. Ludziom żyje się ciężko, więc chętnie słuchają takich opowieści, oburzają się, nie sprawdzając ich wiarygodności, bo i jak mają sprawdzić. Kiedy opowieść taka dotyczy aktora, pisarza, filmowca, to wzruszam ramionami: chłop pracuje, albo kobieta, zarabia, ma talent, to i ma prawo wydawać pieniądze jak chce. Lepiej, że je wydaje w kraju niż miałby wywozić za granicę. Inaczej wygląda sytuacja w przypadku kogoś będącego u władzy.

Człowiek u władzy zawsze ma różne nieformalne możliwości, aby załatwić coś szybciej, sprawniej i łatwiej niż człowiek nie ustosunkowany. Człowiekowi u władzy ludzie chętnie sprzyjają, podlizują się, pomagają, dogadzają, aby i samemu coś przy okazji sobie załatwić. Dlatego po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR wprowadzono zasadę, że człowiek kiedy obejmuje władzę musi złożyć deklarację majątkową, aby w momencie, kiedy będzie odchodził można było sprawdzić, ile i w jaki sposób przybyło mu majątku. Takie deklaracje nie mogą być tajne. Przyznam się, że jakoś o takich deklaracjach publicznie głoszonych już dawno nie słyszałem. Nie liczę tu ministra Mieczysława Wilczka, bo to wyjątkowa sprawa. On się przy władzy nie dorobi, on może tylko stracić. Przy okazji rodzi się pytanie: czy wybitny specjalista, autor wielu wynalazków, znakomity inżynier nie może w czasie sprawowania władzy czerpać korzyści ze swojej działalności zawodowej, która ze sprawowaniem władzy nie ma nic wspólnego? Czy sprawować władzę — musi znaczyć skazywać się na ubóstwo? Póki naród będzie daleko od cywilizacji, pytania te będą zawsze budziły emocje.

Proponowałem już kiedyś, a w tych propozycjach nie byłem odosobniony, aby urzędnicy tak partyjni, jak i administracyjni od pewnego szczebla, na przykład od naczelnika czy sekretarza gminy, otrzymywali na czas pełnienia swoich funkcji i urzędów rezydencje. Można się zastanawiać, czy powinno to dotyczyć szczebla gminy, ale w województwie jest to — moim zdaniem — niezbędne. Uniknie się dzięki temu szeregu podejrzeń i pomówień.

Można oczywiście zastanawiać się, czy nie szkoda na to mieszkań? Moim zdaniem nie szkoda. Przecież i teraz niektórzy urzędnicy administracyjni i partyjni przenoszeni do innych miast czy województw zostawiają rodziny w poprzednim miejscu. W nowym miejscu pracy otrzymują dodatkowe, drugie mieszkanie, co jest na bakier z obowiązującymi przepisami. Ustanowienie rezydencji — kwestię te uprawomocnia. Oczywiście potrzebne są tu odpowiednie przepisy. Sprawa — moim zdaniem — dojrzała do rozstrzygnięcia.

Sprawy mieszkaniowe, przy panującym głodzie mieszkaniowym, są niebywale drażliwe i stają się przedmiotem przeróżnych plotek. Plotki te trzeba sprawdzić, aby móc się na ich temat wypowiadać. Nie zamierzam więc powtarzać plotek. Wolno mi jednak wyrazić obawę z faktu, że pojawiają się, są powtarzane i budzą niezadowolenie. Plotki te godzą w dobre imię władzy i ludzi władzę sprawujących na różnych szczeblach. — *Proszę* — mówi się — *oni niczego się nie nauczyli, ciągle są tacy sami, nadal robią to samo.* — Jak tym plotkom zaprzeczać, jeśli się nie zna prawdy?

Najlepszym sposobem przeciwdziałania plotce, uniemożliwiania jej powstawania, działać przy otwartej kurtynie — jawnie, nic nie ukrywając. Ale zdarzają się przypadki, kiedy zapomina się o tej zasadzie i to — wydawałoby się — zupełnie bez powodu.

Oto drobny, choć charakterystyczny przykład. Ludzie zmieniają się na stanowiskach, odchodzą z różnych powodów. Nie ma nic takiego, co nakazywałoby ukrywać powody takiej zmiany. Ale kiedy ukazuje się komunikat o zmianie na stanowisku I sekretarza KD PZPR Śródmieście i nie podaje się powodu zmiany, to ludzie zaczynają się zastanawiać, co się za tym kryje. Czy musi się kryć?

— *No tak* — powiada mój znajomy — *nie napisali nawet, że podziękowano mu za pracę. Zawsze się dziękuje. Teraz nie podziękowali, czy sprawozdawca nie napisał?*

I już się ludzie gubią w domysłach. Komu to potrzebne? Czy nie można nauczyć się, że sprawy zmian kadrowych trzeba wyjaśniać w sposób prosty i pełny, aby nie zmuszać ludzi do domysłów? Aby nie rodziły się plotki. Stara prawda twierdzi bowiem, że w każdej plotce jest jakieś ziarenko prawdy. Lepiej więc takich sytuacji nie tworzyć.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ze str. 1

gdzie dzisiaj taksówki czekają na pasażerów Synagogę budowano kilkanaście lat. Powstała ze zbiorki pieniężnej zainicjowanej przez przemysłowca Hermana Konstadta, jednego z dwóch obywateli honorowych Łodzi; drugim był marszałek Józef Piłsudski.

Z tą świątynią, zburzoną przez hitlerowców w kilka dni po zajęciu miasta, wiąże się kapitalna scenka. I choć to nie na temat, pozwólcie mi otrzepać ją z kurzu. Nabożeństwa odbywały się tutaj jedynie w najbardziej uroczyste święta żydowskie. Bywalców obowiązywały karty wstępu, na zakup których mogli sobie pozwolić tylko zamożniejsi. Któregoś dnia, tuż przed rozpoczęciem nabożeństwa, do drzwi podszedł biednie ubrany mężczyzna w wytartym chałacie i w jarmułce na głowie.

— *A ty dokąd?* — zatrzymał go szames, sługa synagogalny. — *Wejściówkę masz?*

— *Jaką wejściówkę? Ja tylko na jedną chwilkę, mam pilny interes do pana Rosenblatta...*

— *Już ja cię znam.* — szames odepchnął go od drzwi. — *Ty nie masz żaden interes do pana Rosenblatt. Ty przyszedłeś się modlić!*

I znowu zapadła cisza. Na dwa lata. Wreszcie powzięto ostateczną decyzję: sprowadzono do Łodzi znanego artystę rzeźbiarza, Mieczysława Lubelskiego, który pogodził dotychczasowych pomysłodawców — zdobył pierwszą nagrodę za swój projekt przedstawiający Tadeusza Kościuszkę w pozycji stojącej z szablą u boku.

Pomnik powstawał w szybkim tempie. Rodził się z dala od zgiełkliwego śródmieścia, przy ul. Brzozowej 6, położonej w pobliżu placu Władysława Reymonta.

Na posesję tę wchodziło się przez portiernię. Był to teren pofabryczny. Zwisające z sufitu resztki pasów transmisyjnych, metalowe kółka i tryby, świadczyły o przeznaczeniu pomieszczenia. Mieściła się tu przedtem fabryka pończoch i tzw. rundmaszyny.

Prasa zachłystywała się z podziwu, że Mieczysław Lubelski wybrał właśnie to miejsce na pracownię. Doszukiwano się w tym symbolu — krew przelana pod Racławicami plus trud robotnika, to przecież więź cementująca... A w rzeczywistości sprawa miała się całkiem inaczej: po prostu włodarze miasta nie widzieli potrzeby stworzenia artyście odpowiednich warunków pracy.

Jak dawniej w Łodzi pomniki budowano?

Myśl o postawieniu w Łodzi pomnika Tadeusza Kościuszki zrodziła się w 1917 roku.

W setną rocznicę śmierci bohatera spod Racławic. Dla uczczenia tej daty uchwalono też nadać kilku ulicom nazwy upamiętniające epopeję racławicką. I tak obecna ulica Ludwika Zamenhofa miała nosić imię Bartosza Głowackiego, Andrzeja postanowiono nazwać Racławicką, 22 Lipca — Jana Kilińskiego (wówczas dzisiejsza Jana Kilińskiego była jeszcze Widzewską), zaś ulicę Zieloną proponowano nazwać imieniem Berka Joselewicza. Ale skończyło się na planach. Zrealizowano tylko jedną uchwałę: ulicę Spacerową, o czym wspominam na wstępie, przemianowano w owym 1917 roku na aleję Tadeusza Kościuszki.

Burmistrz Skulski miał jeszcze inne plany. Owczesny Nowy Rynek, czyli obecny plac Wolności, miał się nazywać placem Tadeusza Kościuszki, a do momentu postawienia pomnika pan burmistrz zaproponował jakieś skromne popiersie bohatera narodowego.

Plany planami, a na razie nic konkretnego się nie działo. Dopiero po odzyskaniu niepodległości, w 1918 r. ojcowie miasta wznowili debaty, aby po trzech latach dojść zgodnie do wniosku, że... pomnik ma stanąć na placu Wolności. Magistrat rozpisał konkurs na projekt pomnika, wpłynęło sporo prac, żadna jednak nie uzyskała aprobaty. Jak z tego wynika, od samego zarania budowa pomnika szła — nomen omen — jak z kamienia.

Minęły kolejne dwa lata. I znowu rodzą się nowe pomysły. Po co wznosić pomnik na placu Wolności? Można przecież w inny sposób uczcić pamięć Tadeusza Kościuszki. Na przykład nazwać jego imieniem park na Polesiu Konstantynowskim i tam postawić monument!

Sprawa została zakiepana. Wykonania projektu pomnika podjął się rzeźbiarz Jan Czapliński. Zanim jednak przystąpił do realizacji, rozgorzał zacięty spór: Jak przedstawić Tadeusza Kościuszkę? Wiceprezydent m. Łodzi z ramienia Chadecji, Wiktor Groszkowski, właściciel apteki przy ul. Konstantynowskiej 15 (później 11 Listopada, obecnie Obrońców Stalingradu), twardo bronił swego punktu widzenia.

— *Projekt, owszem, podoba mi się, ale gdzie jest koń? Kościuszko nie na koniu nie będzie miał reprezentacyjnego wyglądu!*

— *Proszę uwzględnić, że artysta ma prawo do własnej koncepcji. Jeśli wyobraźnia podsunęła mu właśnie taki wariant — Kościuszko w pozycji stojącej — nie można żądać, żeby twórca zmienił zdanie* — argumentowali oponenci.

Hala była zatłoczona postaciami z gipsu, wyobrażającymi Tadeusza Kościuszkę w różnych pozach. Mieczysław Lubelski wyczarowywał coraz to inne modele wodza kosynierów. Zresztą to, co znajdowało się na ulicy Brzozowej, nie stanowiło jego pełnego dorobku: znaczną ilość prac artysta zostawił w swej warszawskiej pracowni i w Poznaniu.

Centralną postać hali stanowił potężny, umieszczony na podwyższeniu, pomnik Tadeusza Kościuszki, przebijający głową drewniany sufit pracowni. Twórca dokładnie opracowywał każdy najdrobniejszy szczegół, starając się, by wszystko wiernie odpowiadało prawdzie historycznej.

Ściany podstawy pomnika rzeźbiarz postanowił ozdobić czterema fragmentami z życia Tadeusza Kościuszki. Jeden przedstawiał Waszyngtona i Kościuszkę z Uniwersałem połanieckim w ręku. Mieczysław Lubelski zwrócił się do muzeum w Nowym Jorku z prośbą o udostępnienie dokumentacji. Otrzymał kilkadziesiąt fotografii mundurów noszonych w czasach prezydentury Waszyngtona i dopiero wówczas wykończył ten fragment pomnika. Sukmany włościańskie sprowadzono z Miechowa.

Najwięcej kłopotów przysparzało twórcy znalezienie modeli do pozowania. Mieczysław Lubelski „polował" na ulicach, w tramwajach, w kinach. Ten miał nos „kościuszkowski", tamten uszy, u kogoś innego artysta odkrył podobną oprawę oczu. I wreszcie — objawienie! Na krętej uliczce bałuckiej Mieczysław Lubelski spotkał człowieka, który jota w jotę odpowiadał wymaganym warunkom.

Był to tkacz łódzki o nazwisku Wieczorek. Taka sama tusza, taki sam wzrost, gdyby go ubrać w sukmanę i na głowę włożyć mu rogatywkę wyglądałby jak autentyczny Kościuszko!

Wieczorka rozpierała duma, że to właśnie na niego padł wybór. Odtąd stał się niemal codziennym gościem w pracowni Lubelskiego. Z początku przychodził w przerwach między szychtami, potem mógł już dłużej tu przesiadywać, bo dostał „stempel" i stracił pracę.

„Waszyngtona" sprowadził rzeźbiarz też z ulicy. Był to również robotnik. Niestety, jego nazwisko zatarło się w pomroce minionych lat. Podobnie jak nazwisko sobowtóra Bartosza Głowackiego.

Rzeźbiarz nie zwracał się do swych modeli po nazwisku. Wyglądało to mniej więcej tak:

— *Kościuszko, prawe ramię trochę wyżej!*

— *Waszyngton, głowę w prawo!*

Mieczysław Lubelski uporał się ze swym dziełem w 1927 roku. Ale pierwowzór to jeszcze nie pomnik! Jak dalej potoczyły się wydarzenia?

„*Termin odsłonięcia pomnika* — pisze Jerzy Urbankiewicz w swej książce „Sukiennice nad Łódką" — *ustalono na 3 maja 1928 roku, potem na 11 listopada, potem na wiele dalszych trzecich majów i jedenastych listopadów, a pomnika jak nie było, tak nie było (...) Samą figurę Kościuszki zamówiono w warszawskiej firmie Wasilewski i S-ka (...) Kiedy ptaskorzeźby boczne poczęły pokrywać się patyną, przyszła do Łodzi niepokojąca wieść, że firma Wasilewski i S-ka zbankrutowała, a Naczelnik przeleżał na dworcu w Warszawie około roku*".

Wreszcie nadszedł ów historyczny dzień: 14 grudnia 1930 roku. Plac Wolności i sąsiednie ulice zaległy niezliczone tłumy. Na uroczystość odsłonięcia pomnika przyszli również ci, co pomagali artyście. Tkacz Wieczorek przyprowadził żonę i dzieci. Z dumą pokazywał im dzieło, do powstania którego i on w pewnej mierze się przyczynił.

Oto, co o tym pamiętnym wydarzeniu napisał w redagowanym przez siebie „Kurierze Łódzkim" znany dziennikarz, prezes łódzkiego oddziału Syndykatu Dziennikarzy, Czesław Gumkowski:

„*Pierwotnie projektowano wykonanie wszystkich części dźwigających postać bohatera — z granitu. Okazało się jednak, że kamieniołomy polskie nie są w stanie dostarczyć tak wielkich bloków. Wskutek tego artysta powziął śmiałą myśl — zbudowania trzonu pomnika z betonu. Stanowi to całkowitą nowość w konstrukcji pomników, zastosowaną po raz pierwszy w Europie.*

Przy tej koncepcji nastręczał się szereg trudności technicznej natury, jak unieszkodliwienie wpływów cementu na metal, odlanie płyt olbrzymich rozmiarów, umocowanie ich na trzonie, uszczelnienie spoin, przeciwdeszczowe skanalizowanie figury i umieszczenie w niej piorunochronów. Nad rozwiązaniem tych zagadnień pracowali: prof. metalurgii Politechniki Warszawskiej — inż. Broniewski, *prof. konstrukcji żelbetowych z Wiednia* — prof. Selliger, *dyr. odlewni w Głownie* — inż. Pancer, *prof. architektury* — Przybylski, *dyrektor Szkoły Rzemiosł w Pabianicach* — Wł. Wagner i *wreszcie* inż. Sperra, *jako kierownik techniczny budowy. Płyty miedziane wykonała Stocznia Gdańska, odlewy z brązu — Szkoła Rzemiosł w Pabianicach.*

Pomnik Kościuszki z placu Wolności to dzieło prawdziwego talentu i wielkiej pracy. W *dziedzinie rzeźby monumentalnej stanowi on nie tylko wielki dorobek, ale zupełnie nowy etap. Toteż p. Mieczysław Lubelski może być z niego dumny. Doskonale odpowiedział zadaniu uczczenia bohatera ludowego w wielkim środowisku ludu roboczego, a także przysporzył sztuce polskiej zabytek piękny i niezniszczalny*".

Ale nie wszystkim pomnik przypadł do gustu. Mieszkańcy ulicy Nowomiejskiej mieli żal do Mieczysława Lubelskiego, że ustawił Naczelnika plecami do nich, a sprawozdawca „Republiki" w r. 1937 napisał m. in.:

„*Ozdobą Łodzi miał być w swoim czasie reprezentacyjny plac Wolności, a zapoczątkowaniem tej reprezentacyjności — pomnik Kościuszki. Pomnik Kościuszki nie udał się rzeźbiarzowi Lubelskiemu, a jeszcze mniej udał się Zarządowi miasta Łodzi, który zapłacił za to „dzieło sztuki" podobno przeszło 500 tys. złotych*".

I dalej, po apelu o urządzenie klombów na placu:

„*Taka plama zieleni i kwiecia może ozdobić plac Wolności i zmniejszyć przygnębiające wrażenie, jakie czyni figura Naczelnika Narodu na przewróconym szkopku*".

Dziewięć lat pomnik Tadeusza Kościuszki ozdabiał miasto. Aż nadeszła owa noc listopadowa 1939: Naczelnik został zwalony z cokołu, z którego spoglądał na Łódź, ciesząc się jej rozbudową i osiągnięciami...

W siedemnaście lat później, po wyzwoleniu, grono łódzkich patriotów podjęło starania, aby przywrócić miastu pomnik Naczelnika.

Zawiązał się Obywatelski Komitet Odbudowy Pomnika Tadeusza Kościuszki.

„*Społeczeństwo, uczestnicząc w zbiórce pieniędzy i metali kolorowych na ten cel* — czytamy w wyżej wspomnianej książce Jerzego Urbankiewicza — *dawało wyraz swojemu przekonaniu, że pomnik musi wrócić na dawne miejsce. Ponieważ jednak nie zapomniano zastrzeżeń dotyczących przedwojennej wersji pomnika, rozpoczęła się publiczna dyskusja: rekonstruować go według starego projektu, czy też zrobić coś zupełnie nowego.*

Z nową koncepcją wystąpił Edward Nowicki. W jego mniemaniu postać Kościuszki jest nieodłączna od konia — zgodnie z tym poglądem wykonał swój projekt. W roku 1957 „Express" ogłosił plebiscyt. Większość głosujących wypowiedziała się za Naczelnikiem na koniu. Obawiano się jednak, że wersja „konna" będzie droższa. Nowicki zapewniał, że weźmie pieniądze tylko za materiał. Inne osoby biorące udział w plebiscycie wysuwały argument, iż Kościuszko przedwojenny, zniszczony przez hitlerowców, jest łodzianom droższy. Jednakże główną przeszkodą w realizacji tej wersji był brak wiadomości o Mieczysławie Lubelskim, zaś jego pochodzenie stanowiło podstawę do najgorszych przypuszczeń".

Po mozolnych poszukiwaniach udało się wreszcie odnaleźć Mieczysława Lubelskiego w Anglii. Artysta nie wahał się ani chwili. Przyjechał do Łodzi i energicznie zabrał się do odbudowy swego przedwojennego dzieła. Prace trwały cztery lata. I po raz drugi Łódź przeżyła swój wielki dzień: 22 lipca 1960 roku pomnik Tadeusza Kościuszki został odsłonięty. Mimo niepogody plac Wolności i przyległe ulice pokryły się mrowiem ludzkim. Przybyło tu około 50 tysięcy ludzi. Symbolicznego aktu odsłonięcia dokonał minister obrony, Marian Spychalski, wówczas jeszcze w stopniu generała.

A jak było z tym „prywatnym" pomnikiem Tadeusza Kościuszki?

Scenariusz tej historii sięga roku 1903, gdy Łódź znajdowała się pod carskim zaborem. Technik budowlany, Bronisław Szylke, wybudował na zakupionym przez siebie placu przy ulicy Wrześnieńskiej 4 trzypiętrowy, własnościowy dom mieszkalny. A że był gorącym patriotą, we wnęce budynku, na wysokości pierwszego piętra, kazał postawić statuę Tadeusza Kościuszki. Kto był jej twórcą, kto ją wykonał — nie zdołałem ustalić.

Jąk więc nietrudno obliczyć, pomnik ten wyprzedził o 27 lat „oficjalny" pomnik Kościuszki na placu Wolności.

Wiedziony sentymentem udałem się w tych dniach na Wrześnieńską. Aby tam dotrzeć, należy dojechać do ulicy Bazarowej przy Lutomierskiej, przeciąć na ukos skwer, skręcić w prawo, kawałek w lewo — i jesteśmy u celu.

Pomnik, acz w sfatygowanym stanie, przetrwał do dziś. Ponoć w czasie drugiej wojny Naczelnik został przemalowany na świętego i Niemcy dali się na to nabrać. Zresztą Racławice nie były solą w ich oku. Co innego Grunwald...

W latach sześćdziesiątych projektowano zburzyć dom przy ul. Wrześnieńskiej 4 w związku z planami urbanistycznymi, jednak lokatorom udało się odwieść władze miasta od takiego zamiaru.

„Prywatny" Tadeusz Kościuszko różni się od „oficjalnego" z placu Wolności. Jest oczywiście niższy, na konia nie starczyłoby tutaj miejsca, więc bohater narodowy uwieczniony został również w pozycji stojącej. Lewą ręką opiera się o szablę, a w prawej dzierży zwinięty w rulon Uniwersał połaniecki. Głowę jego — w odróżnieniu od tego z placu Wolności — od wiatrów i mrozu chroni rogatywka.

Przechodnie mijają to miejsce obojętnie. Rzadko który spojrzy w górę. To takie nasze przyzwyczajenie. Przytłoczeni codziennymi kłopotami, przemierzając ulice patrzymy sobie pod nogi, ewentualnie przed siebie. Mało kto kieruje wzrok na zwieńczenia domów, a przecież niejeden ma godne uwagi ozdoby, nawet malowidła, sporo jest w Łodzi zabytkowych kamienic, reprezentujących różne style architektoniczne minionych epok.

Pomnik na Wrześnieńskiej niszczeje. Miejscami odpada z niego farba. Nikt się nie troszczy o tę pamiątkę historyczną. Może za piętnaście lat, gdy stuknie cały wiek od wzniesienia statui, ktoś rozsądny pomyśli o zakonserwowaniu i zachowaniu tego zabytku dla przyszłych pokoleń...

ADAM OCHOCKI

Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy" za upowszechnianie kultury w roku 1988

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy" za upowszechnianie kultury w 1988 roku w wysokości 100 tysięcy złotych przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów" oraz stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.

2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub zespoły ludzi, którzy w 1988 roku wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, eksperymentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w upowszechnianiu kultury, co znalazło potwierdzenie w praktyce.

3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej osobie lub zespołowi.

4. Do nagrody tygodnika „Odgłosy" można kandydować wiele razy, jeśli osiągnięcia w upowszechnianiu kultury w minionym roku upoważniają do złożenia właściwego wniosku.

5. Laureaci nagrody tygodnika „Odgłosy" za upowszechnianie kultury mogą kandydować ponownie dopiero po upływie 5 lat od roku otrzymania nagrody.

6. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie, dokładnie udokumentowany działalnością obejmującą rok 1988 i zgłoszony w redakcji tygodnika „Odgłosy" do 31 stycznia 1989 roku.

7. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeżeli ilość kandydatów będzie mniejsza niż trzy albo jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom regulaminu.

8. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy" jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch".

9. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy" na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów" powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

10. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy" wchodzą:
— przedstawiciele Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,
— dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy",
— przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,
— przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regionalnych, zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych.

Skład jury nie może przekraczać 11 osób.

11. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1989 roku.

Komu nagrodę „Odgłosów"?

Na powyższe pytanie odpowiada kierownik księgarni „Oświatowej" ZDZISŁAW MIŚKIEWICZ.

— Proszę pana, nasza redakcja będzie po raz piąty przyznawać swoją doroczną nagrodę „Za upowszechnianie kultury". Jak wygląda sprawa upowszechniania zza księgarskiej lady?

— Upowszechnianie kultury zza lady księgarskiej wygląda na pewno inaczej niż takie samo upowszechnianie z estrady, ekranu kinowego czy poprzez telewizję. Księgarz nie powinien zamykać się wyłącznie w czterech ścianach księgarni, musi z książką docierać do czytelnika, gdyż coraz bardziej obserwujemy sytuację, że nasz dawny odbiorca zaczyna selekcjonować oferowany mu wachlarz tytułów. Już nie bierze „wszystkiego jak leci". Jest wymagający i zjawia się z gotowym zapotrzebowaniem. Rola upowszechniająca księgarza polega więc na zabezpieczeniu mu potrzebnej książki. Hasło „Kolportaż uliczny" już się przeżyło. To prawda. Ale nie przeżyły się kiermasze książek, jakie urządzamy w czasach „Dni Oświaty, Książki i Prasy" oraz nie przeżyły się kiermasze okolicznościowe związane z różnymi specjalistycznymi konferencjami odbywającymi się w naszym mieście. Właśnie w czasie takich konferencji księgarz ma możliwość upowszechniania wydawnictw niekoniecznie beletrystycznych, ale przede wszystkim literatury specjalistycznej.

— Podsumujmy: stojąc za ladą księgarską współczesny księgarz nie może ograniczać się jedynie do podania książki i wypisania paragonu do kasy; współczesny księgarz powinien umieć znaleźć drogę do odbiorców wydawnictw specjalistycznych. Ale, panie kierowniku, przecież pozostaje jeszcze ogromny obszar społeczny, do którego także warto by było trafić.

— Przezorny księgarz, który przywiązuje wagę do edukacji poprzez książkę, składa oferty szkołom oraz nauczycielom. Oferuje im z reguły literaturę dydaktyczno-pedagogiczną, lektury szkolne, popularnonaukowe. Jest to jedna z dogodnych form dotarcia z książką do odległych nieraz miejscowości nie posiadających możliwości zakupów w księgarniach.

Z naciskiem muszę podkreślić, że upowszechnianie kultury leży także w instytucjach szerzących czytelnictwo. Mówię o bibliotekach. Forma kontaktu: księgarnia — biblioteka nie zmieniła się od dziesiątków lat, natomiast zmieniła się sama forma pracy z czytelnikami. Człowiek, który za swoją pracę otrzymuje wynagrodzenie — księgarz, bibliotekarz — jest przecież tym, który upowszechnia kulturę w tym szeroko pojętym znaczeniu. Dziś Judymów już nie ma. Zresztą jest to wymóg życiowy, szczególnie w naszej sytuacji ekonomicznej. Natomiast jeśli ktoś, mimo otrzymywania gratyfikacji finansowej, na swoim stanowisku robi więcej, niż to wynika z zakresu jego obowiązków, taki człowiek zasługuje ze wszech miar na uznanie. Przykład z mojego podwórka: nie siedzimy wyłącznie za ladą, przedkładamy nasze propozycje instytucjom, zakładom pracy, szkołom, organizujemy co roku imprezy gwiazdkowe (np. włączamy się do corocznego wielkiego kiermaszu w Hali Sportowej)... A więc rola upowszechniająca, owo niesienie „kaganka oświaty" odbywa się także poza zakresem naszych obowiązków. Również i bibliotekarz nie może dziś przebywać wyłącznie za biurkiem oczekując na czytelnika. On musi tego czytelnika do siebie przyciągnąć. I dlatego myślę, że ludźmi, którzy są na pierwszej linii frontu walki o upowszechnianie słowa drukowanego są księgarze i bibliotekarze.

— Komu więc według pana mamy przyznać naszą doroczną nagrodę: księgarzowi czy bibliotekarzowi?

— Od dwudziestu lat nasza księgarnia „Oświatowa" prowadzi ścisłą współpracę z Wojewódzką Biblioteką Pedagogiczną w Łodzi. Jest to placówka gromadząca i udostępniająca księgozbiór dla wszystkich nauczycieli naszego województwa. Sądząc po tym, jak systematycznie pracownicy tej instytucji zabiegają o pozycje książkowe, o ich terminowy napływ do biblioteki, o ich ilości — należy wnosić, że jest to instytucja nie tylko kształcąca, lecz i upowszechniająca dorobek naszej oświaty i kultury. Myślę, że waszą nagrodę, nagrodę tygodnika „Odgłosy" powinna otrzymać właśnie ta biblioteka.

— Dziękuję panu za wypowiedź.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

ze str. 1

Twój cały będzie Zodiak.
Tylko chcieć
a szczęście masz o krok. (...)".

Przekorna młodzież przerobiła refren tej piosenki: „tylko cieć będzie miał słońce do dnia" Ale młodzież zawsze była przekorna.

Przegadaliśmy z Wojtkiem pół nocy, wspominając i minione czasy i wspólnych znajomych.

3.

Jerzy Kowalski, od którego to wszystko się zaczęło, bo wpadł na pomysł, aby tu wybudować harcerski ośrodek, utrzymuje, że w tym rejonie w latach sześćdziesiątych był... XIX wiek. To dopiero harcerze zbliżyli Załęcze Wielkie do świata — wybudowali drogę. Tą drogą przyjechał do wsi autobus. Wraz z nim wiek XX. Dziś harcerze myślą o tym, aby w zakolu Warty, koło wodnego młyna w Kępowiźnie wprowadzić wiek XXI. Sprowadzili komputery, drukarnię, teleksy... Ale nie uprzedzajmy wydarzeń.

Była więc już droga z Dzietrznik do Załęcza Wielkiego, ale nie było mostu przez Wartę. Most ten zniszczono we wrześniu 1939 roku i od tej pory nie odbudowano. Jeśli więc harcerze chcieli w zakolu Warty budować stanicę, to musieli też odbudować most. I tak się stało.

Pierwszy — jak ja to nazywam — blokhaus zaczęto budować w 1976 roku. W czynie społecznym oczywiście. A „blokhaus" dlatego, że są do budynki usytuowane na czworoboku, z dwoma bramami, z dużym podwórkiem — patio — w środku. Dziś stoją trzy takie „blokhausy".

4.

Gdzie dziś mieści się „Nadwarciański Gród", stała niegdyś samotna zagroda, a gdzie dziś mieści się stadion sportowy o olimpijskich wymiarach — rosło rzadkie żytko. Legenda głosi, że w zagrodzie tej mieszkała babcia, u której znużeni myśliwi, jeśli nie udało się im cokolwiek upolować, mogli nie tylko nabyć zająca, kawałek sarny, ale też wypić „samogonkę" i zakąsić — powiedzmy — boczkiem z dzika. Zwierzyny i grzybów było tu wtedy co niemiara. Babina mieszkała samotnie, nudziło się jej w długie jesienne i zimowe wieczory, więc sama korzystała z „samogonki" i kąsiła zapeklowaną dziczyzną. Na drugą stronę Warty przeprawiała się łodzią. Nosiła szaty długie, plugawe, a obfite. Którejś jesiennej szarugi łódź wywróciła się na środku Warty, a wartki prąd porwał babinę. W okolicy powiadali, że poszła czarownica do diabła. Ile w tym prawdy, nie wiem. Opowiadam, com kupił któregoś wieczora u ludzi tu pracujących, a stąd się wywodzących. Jeśli nawet historię tę choć po części zmyślili, to zrobili to smacznie.

Coś w tym jednak było, bowiem gdy już zwieziono budulec pod przyszłe budynki, nikt nie chciał się nająć za stróża. Aż znalazł się staruszek, któremu było wszystko jedno i który cieszył się, że na tym pustkowiu coś powstanie i będzie tu się toczyło bujne życie. I tak się stało.

5.

Gdy w 1982 roku przyjechałem do Załęcza Wielkiego, był koniec sierpnia. Wokół piach i zimna woda z kranu na podworzu. Młodzież mieszkała w namiotach. Była grupa młodzieży z NRD. Był też jakiś kurs dla instruktorów z województwa sieradzkiego. Kursanci byli w wieku więcej niż młodym, niektóre panie z dziećmi — bo nie było z kim ich zostawić. Mimo że lato było suche, sypnęło akurat grzybami — i to prawdziwkami. Po śniadaniu jedni szli opalać się nad Wartę — woda była jeszcze czysta i można było się kąpać — inni brali koszyczki i biegli do lasu. Było swojsko, miło, leniwie, spokojnie. Aż nagle niczym grom z jasnego nieba padła wieść: — wizytacja jedzie!!!

Druh Wizytator miał czarną brodę i chodził energicznym krokiem. Wszędzie zajrzał, wszystko dostrzegł. Dostrzegł też, że z programem kursu coś nie w porządku. Druh Komendant Kursu kazał bowiem pochować dzieci i zagonił, kogo się tylko dało, do nauki. Co się później działo — nie wiem. Podobno Druh Wizytator gromy ciskał. Ale przy tym nie byłem. W każdym razie następnego dnia kurs — wcześniej niż planowano — zwinął się i wszyscy rozjechali się do domów.

Ale to było wtedy, kiedy nikomu jeszcze się nie śniło, że w Załęczu Wielkim będzie Centralna Szkoła Instruktorów Harcerskich ZHP. Trzy są takie szkoły: w Oleśnicy, Załęczu Wielkim i Perkozach koło Olsztyna.

6.

Asfaltowa droga od mostu prowadzi przez las. Jeszcze 4 lata temu leżał tu szuter. Droga wije się i kręci między drzewami. Od mostu jakieś 3 kilometry. Wiele osób pokonuje tę odległość pieszo. Kiedy dojdą już w pobliże rzeki — widać ją między drzewami — skręcić muszą w prawo i po kilkudziesięciu metrach ukazuje się im brama utrzymana w stylu staropolskim. Na bramie napis: **„NADWARCIAŃSKI GRÓD"**. Ten napis zaprojektował **Janusz Szymański-Glanc.** Tak, tak! Ten sam, który rysuje w „Odgłosach". Palisadę postawił **Jerzy Górnik**. A klął przy tym szpetnie. Co jest tym dziwniejsze, że jest to człowiek gorącego serca, który wszystkim jest życzliwy, kocha pracę, a praca mu się odwdzięcza tym samym. Klął więc dlatego, że praca była ciężka i terminowa Jak klął, nie powtórzę, aby delikatnych harcerskich uszu nie narazić na szwank.

W ogóle w Załęczu Wielkim można spotkać wielu różnych ludzi. Bywał tu niegdyś, gdy był I sekretrzem KW PZPR w Sieradzu — **Janusz Urbaniak** — dziś wiceprezydent Łodzi, była **Emilia Krakowska** — aktorka, **Maciej Łukomski** — filmoznawca, **Tadeusz Giegier i Jerzy Wawrzak** — pisarze. Sam spotkałem **Tadeusza Szewerę** — reportera radiowego na emeryturze, **Zbigniewa Korzeniowskiego** — reportera radiowego w służbie czynnej, **Kazimierza Lewkowskiego** — krytyka teatralnego, **Alfreda Kusiaka** — dyrektora RUCH, a ostatnio całą rodzinę Kotarbińskich: **Janinę Kotarbińską** — drugą żonę **Tadeusza Kotarbińskiego**, jego syna **Adama** i synową — **Jadwigę** — żonę Adama.

7.

W Załęczu Wielkim buduje się dom mieszkalny dla personelu. Urodziło się tu już kilkoro dzieci. Buduje się Komendę CSIH, w której będą też pokoje gościnne. Niedługo rozpocznie się budowę — jakże potrzebnej — stołówki, w pomieszczeniach której będą też magazyny żywnościowe, sklepy, kioski, kawiarnia, sala telewizyjna.

Szkoła dysponuje nie tylko komputerami, ale również małą poligrafią, teleksem, salą kinowo-audiowizualną. Nagrywa się tu i odtwarza kasety wideo. Już niedługo będzie telewizja satelitarna. Ale żeby było śmieszniej — nie ma drugiego programu TVP, gdyż ani Katowice, ani Wrocław, ani Łódź tu nie sięgają. Sygnały dochodzą słabe, nakładają się wielekroć, szkoda nerwów i aparatów.

— **„...prezentujemy naszym kursantom różnorodne propozycje i pozostawiamy im wolny wybór** — powiedział **Mirosławie Ferenc** z „Głosu Robotniczego" komendant CSIH — **Jerzy Kaczorowski. — Kto chce zająć się informatyką, trafia do pracowni komputerowej, kogo pasjonuje teatr, może uczestniczyć w zajęciach, które pozwolą mu przygotować ze swoimi harcerzami widowisko. (...). Innych interesuje turystyka. (...). Jest również oferta dla osób pasjonujących się plastyką, ekologią, przyrodą".**

8.

Jest nad Wartą mogiła. Na mogile krzyż żelazny. A wpkół niej płot z żelaznych prętów i dwa czarne talerze, w których czasem pali się płomień pamięci. To mogiła żołnierzy 1939 roku, którzy tu oddali życie w obronie polskiej Warty. Ich kości spoczywają na cmentarzu w Wieluniu, ale mogiła nad Wartą jest nadal symbolem pamięci o naszej przeszłości.

Nad tą mogiłą niegdyś **Elżbieta Kijak** przysięgała, że ze swej woli nie opuści przez rok co najmniej prowadzonej drużyny. Dziś jest instruktorką w Załęczu Wielkim i ciągle wspomina tamto przyrzeczenie, którego zresztą — nie ze swej woli — nie dotrzymała. Przeszła do innej drużyny.

Ja też będę pamiętał tę mogiłę — symbol. A było to tak.

Dobiegał końca sierpień. Zapadła ciepła noc **Jerzy Kowalski** wpadł na pomysł, aby wybrać się nocą przez las na most na Warcie i pośpiewać. Nadają się do śpiewu, jak słoń do baletu. Ale poszedłem. Na górze były gwiazdy, na dole szumiała rzeka. **Zbigniew Piasecki** grał na akordeonie Wszyscy śpiewali — oprócz mnie oczywiście. A pieśń niosła się daleko po wodzie.

I nagle na grobie zapłonęło światełko. To **Teresa Morawiak** zapaliła świecę. Zawsze tak robi, gdy na moście rozlegają się nocne śpiewy. Nadaje to nadwarciańskiemu śpiewaniu dodatkowego uroku, trochę niesamowitości i poświadcza, że pamięta się o tych, co polegli.

Gdy szliśmy z powrotem drogą przez pole do lasu, kilka razy obejrzałem się na niknący w oddali płomień. Ciągle się palił — płomień pamięci i wdzięczności.

Część II. Kim jesteś patronie?

1.

„I znów jesteśmy razem
tak dobrze razem być
złączeni deszczem i pogodą
troskami dawnych dni
troskami przyszłych lat
nadzieją gorącą, młodą. (...)".

To — oczywiście — **Wojciech Fiwek.** Muzykę skomponował **Zbigniew Piasecki.** Grali: **Krzysztof Kujawiak** — gitara, **Paweł Ornatowski** — gitara i **Zbigniew Piasecki** — akordeon. Śpiewali wszyscy. Spotkali się — znów byli razem — bo CSIH w Załęczu Wielkim „stuknęło" 5 lat. Niby mało. Co to jest 5 lat? A mimo to — miło się spotkać i powspominać. Była jeszcze i druga okazja — nadanie imienia szkole.

2.

Jak przedstawić człowieka, który ma być patronem?

Więc może kilka jego myśli.

„Sympatyzujemy szczerze z tymi wszystkimi, dla których obce i wstrętne są marazm, opieszałość, brakoróbstwo, tandeciarstwo, robota aby zbyć, świadomie tolerowane partactwo i fuszerka Zryw buntu przeciwko tym przywarom to zarazem poryw ku ich przeciwieństwu, którym jest mistrzostwo właśnie. Nie każdego stać na osiągnięcie mistrzostwa, ale każdego stać na wysiłek jak największego możliwego przybliżenia się doń. I to jest tak bardzo u nas społecznie potrzebne".

Napisał to... Może najpierw o dyskusji o patronie.

3.

Zbigniew Czarnuch: — Jesteśmy w okresie przejściowym i dlatego pytam, jak ma dziś funkcjonować bohater, który stał się patronem?

Otóż **Zbigniew Czarnuch** zaproponował, aby może być li tylko pretekstem, aby przy nazwie figurowało uznane nazwisko. Patron musi służyć wzorem, być godny naśladowania. On musi być obecny w pracy wychowawczej. On — czyli jego indywidualność, jego myśli, jego dorobek, jego przykład.

4.

Więc jeszcze jedna myśl.

„Ktokolwiek chce osiągnąć cenne wyniki — jeśli tylko zamierza działać w dziedzinie z dawna przez ludzi uprawianej (a gdzież są inne dziedziny) — musi pamiętać, że nie zaczyna od zera, że winien przyjąć zdobycze poprzedników, nauczyć się ich kunsztu, by pójść o krok dalej".

5.

Ryszard Wosiński — naczelnik ZHP: — **Doceniając zasługi szkoły w wychowaniu młodych pokoleń Polaków poprzez przybliżenie sylwetki jednego z czołowych filozofów i logików polskich, propagatora idei mądrego i godnego życia — Główna Kwatera Związku Harcerstwa Polskiego nadaje Centralnej Szkole Instruktorów Harcerskich „Nadwarciański Gród" w Załęczu Wielkim imię profesora Tadeusza Kotarbińskiego.**

W Polsce do tej pory pięć placówek oświatowych nosi to imię. Są to: **Zespół Szkół Technicznych w Andrychowie, Szkoła Podstawowa w Budzyniu, Zespół Szkół Ekonomicznych w Radomsku** oraz dwie biblioteki pedagogiczne **w Olsztynie i Łodzi.** Tu z żalem muszę zauważyć, że z Łodzi do Załecza Wielkiego na uroczystość nadania imienia nikt nie przyjechał. natomiast **Biblioteka Pedagogiczna w Olsztynie** przesłała bibliografię prac wszystkich Tadeusza Kotarbińskiego i o Tadeuszu Kotarbińskim. Piękny to prezent.

Miały być też filmy o Tadeuszu Kotarbińskim. Jest ich zaledwie kilka — bodajże trzy. Ostatni nakręcił **„Poltel"**, ale nie było silnych, aby go do Załęcza Wielkiego wypożyczyć. Tym już zajmuje się inna instytucja.

Zatem jeszcze jedna myśl **Tadeusza Kotarbińskiego,**

„Cóż to za dziwne słowo „spolegliwe". Nie słyszy się go w polszczyźnie literackiej. Ale pono rozbrzmiewa na Śląsku. Czy to kalka z niemieckiego „zuverlässig", **czy raczej tremin domorosłego chowu, mniejsza o to; dość że potrzebny, a przynajmniej przydatny dla oznaczenia kogoś, na kim można polegać. Opiekun wtedy jest spolegliwy, kiedy można słusznie zaufać jego opiece, że nie zawiedzie, że zrobi wszystko, co do niego należy, że dotrzyma placu w niebezpieczeństwie i w ogóle będzie pewnym oparciem w trudnych okolicznościach".**

6.

Jerzy Kaczorowski: — „Jest dla nas Tadeusz Kotarbiński synonimem człowieka pogodnego, o swobodnym spojrzeniu na życie z niezależną etyką. To, co robimy, ma wiele z nauk profesora, który namawiał ludzi do dobrej organizacji, życzliwej atmosfery i wzajemnej tolerancji. Sądzę, że lepszego ideologa na dzisiejsze czasy, doskonalszego wzorca osobowości nie mogliśmy znaleźć".

7.

Załęcze Wielkie otrzymało na swoje pięciolecie prezent od **Wojciecha Fiwka i Zbigniewa Piaseckiego** — piosenkę z refrenem:

„Nie zapomnę Cię Załęcze...
tu jest zielona każda pora
tutaj kiełkuje młody las
tu kwiat paproci znajdziesz w borach
i sznur diamentów splecisz z gwiazd".

8.

Był też wieczór wspomnień o Tadeuszu Kotarbińskim. Jego żona **Janina** wspomniała, jak przed wojną niszczyli go ci z prawa, bo miał odwagę sprzeciwiać się hecy antysemickiej i jak po wojnie niszczyli go ci z lewa bo miał odwagę samodzielnie myśleć i dochodzić prawdy. Odsunięty od wielu stanowisk, nie załamał się przecież, pisał, studiował, wykładał. Interesował się wszystkim: filozofią, literaturą, sam pisał wiersze, kochał przyrodę, mało kochał, znał się na drzewach, ziołach, ptakach... Był wybitną indywidualnością i wybitnym uczonym. W 1957 roku został prezesem Polskiej Akademii Nauk. Nie zgodził się podpisać protestu przeciw skazaniu na śmierć Ethel i Juliusa Rosenbergów, bo nie mógł jednocześnie protestować przeciw skazywaniu na śmierć fałszywie oskarżanych Polaków, co naraziło go na przykrości, podpisał natomiast słynny i historyczny już „List 34", co również skończyło się kłopotami. Protestował przeciw wydarzeniom z marca 1968 roku i ich następstwom.

W pewnym momencie **Janina Kotarbińska** — ma już 83 lata i do pozazdroszczenia świeży umysł — powiedziała: A teraz proszę zgadnąć, kto mógł być autorem tego listu?

Oto jego treść:

„Drogi Panie Profesorze
Pamiętając Pana Profesora jeszcze z lat studenckich, pragnę przekazać moje serdeczne życzenia z okazji 90-lecia urodzin Pana Profesora.

Obecność i głos Pana Profesora zarówno w dawnych latach, jak i w ciągu ostatnich — często niełatwych — 30 lat — były niedocenionym wkładem do poszukiwań właściwej drogi — niewolnych przecież od udręki. Zawsze postawa Pana Profesora — także przy odmiennej mojej pozycji — była dla mnie bodźcem do refleksji, do wewnętrznego rozrachunku.

Z całego serca życzę Panu, Drogi Pani Profesorze, zachowania zdrowia, jasności umysłu i gorącego serca, które tak są nam potrzebne.
Warszawa, 2.IV.1976".

Zrobiła się cisza. **Janina Kotarbińska** ciszę tę wytrzymała. Uśmiechnęła się i powiedziała: — **Jakub Berman.** Tak, autorem tego listu był **Jakub Berman.** Młodym może warto przypomnieć, że działał podczas wojny w ZSRR, w Związku Patriotów Polskich i Centralnym Biurze Komunistów Polskich, po wojnie we władzach naczelnych PPR i PZPR. To on określał politykę partii w kulturze i nauce, to dzięki tej polityce **Tadeusz Kotarbiński** nie mógł mówić pełnym głosem przez wiele lat. I dlatego ten list dziwi i zastanawia.

9.

Zdarzyła się też przezabawna historia. W dzień uroczystości nadania imienia CSIH **Janina Kotarbińska** wystąpiła w... odwrotnie nałożonych butach. Lewy na prawej nodze, a prawy na lewej. Wszyscy patrzyli na to ze zdziwieniem i nikt nie śmiał zwrócić uwagi.

Wieczorem Dostojnym Gościem opiekowała się **Elżbieta Kijak.** Sam słyszałem taki dialog.

— Czy to ja pani skarżyłam się, że mnie nogi bolą?

— Nie. To nie mnie. Koleżance.

— Bo widzi pani, nogi mi się pomyliły. Włożyłam je w nie te buty co trzeba.

10.

Smutne są zawsze chwile rozstania. Na dodatek padał deszcz i nie było samochodu pod ręką, aby odwieźć grupę pracowników, którzy z obowiązku musieli być najdłużej, a mieszkają w Wieluniu. Jakoś sobie w końcu poradzono, ale co to kosztowało nerwów, to oni tylko wiedzą. I **Krzysztof Kujawiak,** który starał się im pomóc.

Załęcze Wielkie mierzy już w XXI wiek, ale komunikacja szkoły z liniami autobusowymi i PKP jest pod psem. Albo pod zdechłą rybą. Dlaczego?

Pod koniec września 1988 roku, gdy już było zimno, grupa pracowników przeprawiała się promem przez Wartę. Prom źle dobił do brzegu i wszyscy wysypali się do wody. Nikomu nic się — poza katarem — nie stało. Na szczęście. A czeka montażu prom metalowy, na linach, swobodnie przez przeprawiających się przeciągany z brzegu do brzegu. Prom poprawi jedynie bezpieczeństwo przeprawy przez Wartę, ale komunikacji CSIH z Załęczem Wielkim i Wieluniem nie rozwiąże.

11.

W drodze powrotnej świeciło jesienne słońce. Wtedy przypomniała mi się anegdota opowiedziana dzień wcześniej przez **Janusza Ślęzaka** — wicedyrektora szkół technicznych w Andrychowie. Otóż **Tadeusz Kotarbiński** pojechał na zjazd historyków nauki do Zakopanego. Chcąc obrazowo przedstawić, jaką ma być nauka opowiedział o tym, jak to Polacy i Turcy wzajemnie przekazywali sobie fortece na Podolu. Było to oczywiście dawno. Gdy Turcy odchodzili z fortu, zostawiali otwartą studnię, a na niej napis: **„Gdy i Wy będziecie odchodzili, zostawcie nam, jako my wam zostawiamy otwartą studnię i czystą wodę".** Jest w tym głęboka myśl. Brak wody lub jej zatrucie może się zemścić nie tylko na naszym przeciwniku, ale i na nas samych, na przyszłych pokoleniach, bo bez czystej wody nie ma życia. To bardzo mądre słowa!

12.

„Nasz gród to mały skrawek świata
lecz dla nas to już cały świat
bo tu myśl wspólna wszystkich brata
ona zostawi po nas ślad".

Te słowa **Wojciecha Fiwka** dedykuję wraz z życzeniami, aby ślad był trwały i jako czysta woda długo służyła młodzieży, a szkoła była jako ta studnia otwarta dla wszystkich złaknionych wiedzy. I aby XXI wiek jak najwcześniej zawitał do załęczańskiego lasu!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Otwarta studnia i woda czysta

Obywatel G.C.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

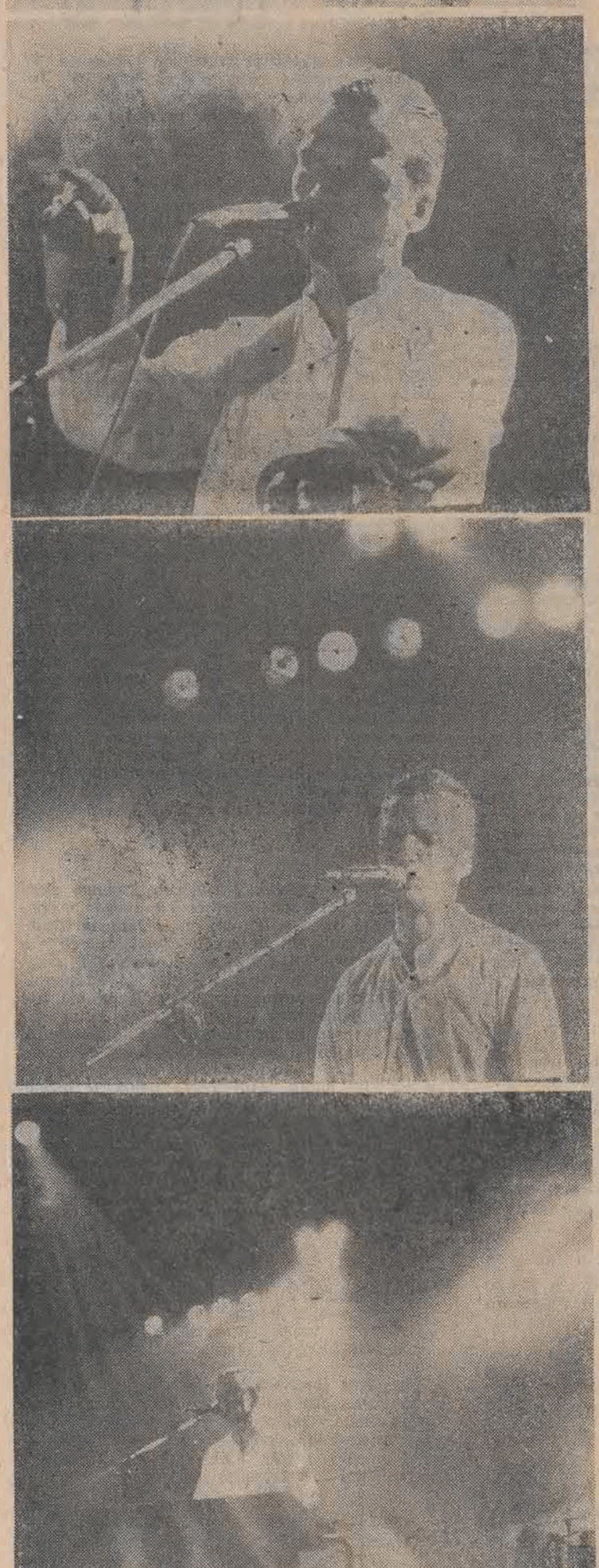

Mam pytanie do prokuratora: dlaczego nie ściga znachorów?

Nie ma żadnych bioprądów!

Rozmowa z dr MARKIEM SZYBURSKIM — wiceprzewodniczącym łódzkiego oddziału Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, wykładowcą Akademii Medycznej w Łodzi.

Cieszę się, że mam okazję publicznie, za pośrednictwem prasy zapytać prokuraturę: od kiedy to przestała w Polsce obowiązywać Ustawa o Zawodzie Lekarza z 23.X.1950 r. która w art. 1 powiada, że **„zawód lekarza obejmuje rozpoznawanie, leczenie i zapobieganie chorobom a także wydawanie orzeczeń lekarskich"**. Natomiast w art. 21 czytamy: **„Kto wykonuje czynności określone w art 1 nie posiadając do tego prawa, wynikającego z niniejszej ustawy, podlega karze..."**.

Pytam więc — kto i dlaczego pozwala na bezkarną szkodliwą działalność, niekiedy zakrojoną na ogromną skalę rozmaitym bioenergoterapeutom, uzdrowicielom, różdżkarzom i innym szarlatanom, dawniej zwanym znachorami, obecnie przybierającym nowe, bardziej uczenie brzmiące nazwy.

— Być może ustawa, o której pan mówi jest już przestarzała i trzeba ją zmienić zgodnie z kierunkiem oczekiwań społecznych? Ludzie, rozczarowani współczesną medycyną garną się dość masowo do uzdrowicieli i zakazy nic tu nie pomogą.

— Mówienie o rozczarowaniu medycyną jest bzdurą! Dlaczego rozczarowanie? Bo nie potrafimy szybko, bezboleśnie i skutecznie uleczyć wszystkich chorób? A kto to obiecywał? Obietnicami szafują znachorzy — są to jednak obietnice bez pokrycia.

Owszem, ludzie garną się do nich a powody są dość proste. Przede wszystkim człowiek nie jest istotą racjonalną — jest skłonny uwierzyć w cud. Po drugie — wielu ludzi łatwiej nawiązuje kontakt ze znachorem niż z lekarzem. Zanim lekarz rozpocznie praktykę, musi nauczyć się bardzo wiele. Nawet gdyby miał czas i chęć wytłumaczyć pacjentowi wszystko, co wiąże się z jego chorobą, nie znajdą płaszczyzny porozumienia, pacjent bowiem nie posiada wystarczającej wiedzy, aby wszystko zrozumieć. Znachorzy natomiast mają na wszystko proste wytłumaczenie i prosty środek zaradczy. To tak jak u plemion prymitywnych, gdzie czarownik wie wszystko i na wszystko ma sposób. Jeśli okazuje się nieskuteczny — znaczy, przeszkodziły siły nadprzyrodzone i wszyscy godzą się z tym bez protestu.

— A jednak prawie każdy potrafi podać — bynajmniej nie zmyślone — przykłady na to, że bioenergia działa.

— Działa. Ale przecież nie bioprądy, tylko sugestia. Istnieje na ten temat ciekawa amerykańska praca naukowa. Otóż — 70 proc. wszystkich schorzeń i dolegliwości po pewnym czasie przechodzi samo. Dlatego każdy znachor, stosując cokolwiek — pigułki z cukru, patrzenie w oczy, trzymanie za rękę będzie miał 70 proc. sukcesów. Gorzej z pozostałymi 30 proc. Jeśli tacy chorzy zamiast do lekarza trafią np. do ślusarza który mianował się uzdrowicielem, mogą przypłacić to kalectwem a nawet życiem, co oczywiście nie znaczy, że leczenie konwencjonalne gwarantuje w każdym z tych przypadków sukces.

Znachorzy potrafią dbać znakomicie o swoją reklamę w czym niestety, pomagają im dziennikarze. Żeby daleko nie szukać przykładów — w łódzkiej prasie ukazywały się entuzjastyczne sprawozdania z terapeutycznych seansów czy raczej sabatów Nardellego — w żadnym nie było ani słowa o tym, że karetki masowo odwoziły do szpitali ich uczestników, że lekarze udzielali pomocy dziesiątkom zemdlonych. Na ogół były to dolegliwości przemijające, czynnościowe, wynikające z nasilenia leku przed tajemniczym seansem, ale u ludzi chorych np. na serce powodowało to nieraz bardzo niepożądane skutki. Więc jakiż to seans leczniczy?

— Mówi pan o nieskuteczności leczenia. A diagnozy? Często słyszy się o przypadkach, kiedy uzdrowiciel, patrząc w oczy lub posługując się wahadełkiem określał trafnie rodzaj choroby, a u lekarza wymagałoby to nieraz długich, skomplikowanych badań?

— Ci ludzie nie mają żadnego pojęcia o diagnozowaniu. Badania nad tym zagadnieniem prowadzone były w wielu ośrodkach naukowych na świecie, także w Polsce m. in. przez krakowskiego psychologa, doc. Melibrodę. Wynikało z nich, że równie trafne diagnozy mogłaby wystawiać papuga wyciągając z woreczka kartki z nazwami chorób. Jest to trafność zupełnie przypadkowa.

Z badań doc. Melibrody wynikało poza tym, że nasi uzdrowiciele to ludzie sugestywni, o inteligencji poniżej przeciętnej, często prymitywni, którzy nie dysponują żadnymi nadprzyrodzonymi właściwościami. Mimo to niektórzy dziennikarze, także łódzcy powoływali się na te właśnie badania, dowodząc niezwykłych właściwości uzdrowicieli.

— Może jednak bioprądy istnieją, tylko współczesna nauka nie może ich jeszcze wykryć? W końcu dawniej ludzie nie mogli uwierzyć w istnienie fal radiowych, a jeszcze niedawno lekarze zdecydowanie potępiali akupunkturę, którą obecnie stosują z dobrym skutkiem, hipnozę, którą uzdrowiciele posługują się również i inne, obecnie uznawane metody leczenia.

— I tu wszystko się pomieszało. Bioprądów nie ma. To jest pewne, potwierdzają to badania przeprowadzane przez renomowane ośrodki naukowe na całym świecie. W hipnozie nie ma nic tajemniczego — metody tej, podobnie jak muzyki lepiej lub gorzej może nauczyć się każdy. Nic dziwnego, że sięgają do niej znachorzy — po prostu chętnie podłączają się do różnych metod naukowych, aby podnieść swój autorytet.

Natomiast akupunktura... Obecnie nawet Chińczycy przyznają, że powrócili do tej metody z konieczności, gdy najbardziej brakowało lekarzy i leków, a pacjentami jakoś przecież trzeba było się zająć. Występuje tu efekt placebo — pacjent wie, że jest leczony, wierzy że prawidłowo, więc czuje się lepiej, chociaż środek nie ma żadnych właściwości leczniczych. Gdyby akupunktura działała na poziomie fizjologicznym — byłaby skuteczna w doświadczeniach na zwierzętach. Nie czytałem o żadnych pozytywnych wynikach takich doświadczeń. Może być skuteczna w leczeniu niektórych zaburzeń czynnościowych, ale w żadnym wypadku jako metoda leczenia psychoz, nowotworów czy innych, poważnych schorzeń.

— Ale przecież akupunkturą zajmują się lekarze, nie znachorzy!

— Lekarze też ludzie — mogą się mylić, muszą z czegoś żyć. Akupunktura nie szkodzi pacjentowi. Są jednak i tacy, którzy szkodzą. Jak w każdym środowisku, tak i w naszym, trafiają się ludzie niemoralni. Jest np. lekarz — starszy człowiek, prawdopodobnie paranoik, który stanowczo twierdzi, że białaczkę leczy się wyłącznie penicyliną. Rodzice zabierają dzieci ze szpitali, sprzedają wszystkie cenne rzeczy na kurację. Te dzieci trafiają z powrotem do szpitala w stanie tragicznym. Jest drugi lekarz, stosujący specjalną dietę, opartą na ogromnych ilościach mięsa i tłuszczu, niewątpliwie szkodliwą dla pacjentów. Żyje z tego świetnie. Obecnie środowisko nasze nie ma żadnej możliwości wyeliminowania takich hochsztaplerów z dyplomami, lekarzy, którzy dla pieniędzy zdegenerowali się do poziomu znachorów.

— Mówił pan jednak, że niekiedy kontakt z uzdrowicielem choćby poprzez wiarę pacjenta w wyleczenie, może przynieść pozytywne skutki. Czy wobec tego nie byłaby wskazana współpraca lekarzy z uzdrowicielami przy leczeniu np chorób nerwowych, psychicznych?

— Jestem przeciwny jakimkolwiek formom współpracy. Byłoby to sankcjonowaniem bezprawnej działalności oszustów i jest sprzeczne z deontologią, etyką lekarza.

Natomiast co do leczenia chorób o podłożu czynnościowym, pacjentów można podzielić na trzy grupy: takich którzy pozostaną obojętni wobec praktyk znachora, takich którym to zaszkodzi i takich — najmniej liczna grupa — którym pomoże. Żaden uzdrowiciel nie jest jednak w stanie określić z góry, do której grupy zaliczyć zgłaszającego się do niego człowieka. Aby przewidzieć skutki — trzeba by dobrze poznać pacjenta, jego osobowość, sposób reagowania. Mógłby to określić psycholog lub psychiatra, ale przecież nie sposób poddawać obserwacji każdego, kto wybiera się do znachora. Zresztą większość i tak by nie posłuchała w takim przypadku rad specjalisty.

Przykład choćby z naszego szpitala — pacjentka leczona z powodu psychozy, wypisana w dobrym stanie, wróciła do pracy, normalnie funkcjonowała w społeczeństwie. Trafiła na riberting — intensywny kurs weekendowy. Obecnie jest znowu u nas, biega nago po salach, krzyczy, nie ma kontaktu z otoczeniem.

— Przecież riberting nie jest stosowany przez znachorów, podobnie jak inne techniki relaksacyjne, oparte na wierzeniach wschodnich. Wiele osób chwali sobie uczestnictwo w takich seansach.

— Od Wschodu możemy nauczyć się wiele, ale... I w tej dziedzinie potrzebna jest głęboka wiedza, potrzebni fachowcy. Tymczasem u nas powstają rozmaite stowarzyszenia i spółdzielnie, w których ludźmi nerwicowanymi, niekiedy cierpiącymi także na inne dolegliwości, zajmują się powierzchownie przeszkoleni amatorzy. Robią to dla pieniędzy, znacznie częściej szkodząc niż pomagając. Tylko znowu — o ich sukcesach mówi się i pisze, o szkodliwych skutkach niestety, cicho.

— Jest pan, jak widać, zdecydowanym przeciwnikiem wszystkich niekonwencjonalnych metod terapeutycznych. Czy także w przypadkach krańcowych — chorób, na które współczesna medycyna nie ma lekarstwa, ludzi skazanych na śmierć?

— Jest to problem bardzo trudny. Lekarze — nie tylko u nas — nie są przygotowani do tego, aby pomóc ludziom umierającym godnie rozstać się z życiem, wyeliminować towarzyszący temu strach. Zdarzają się jednostki obdarzone szczególną osobowością, umiejące nawiązać z pacjentem taki kontakt, że przynoszą autentyczną ulgę w ostatnich dniach czy tygodniach życia, generalnie jednak nie umiemy tak postępować i nie wiem, czy nauczymy się kiedykolwiek.

W USA powstał kiedyś eksperymentalny ośrodek, w którym przebywali nieuleczalnie chorzy. Opiekowali się nimi psychiatrzy, psychologowie, lekarze innych specjalności, specjalnie przeszkolony średni personel. Z jednej strony odnieśli sukces — pacjenci, wiedząc że wkrótce umrą potrafili mimo to cieszyć się każdą chwilą, każdą czynnością, do końca zachowywali pogodę ducha. Ale obciążenie psychiczne dla personelu było zbyt wielkie — często zdarzały się przypadki samobójstw.

A znachor? — Czasem faktycznie ciężko chorzy ludzie po takiej terapii w lepszym stanie dożywają swoich dni ale przecież nie dlatego, że znachor powiedział im: umrzesz ale ja ci pomogę przez ten próg przejść — co byłoby uczciwym postawieniem sprawy. Nie, on stwierdził, że chorobę uleczy, obiecał cud, który nie może się spełnić, dał nadzieję.

Nadzieja to bardzo dużo — ale i bardzo mało jeśli jest fałszywa. A jeśli wiąże się z tym jeszcze finansowa ruina rodziny chorego, jak ocenić taką działalność? Szkodliwe skutki są jednak większe od pozytywnych.

Chciałbym jeszcze parę słów o fałszywej nadziei. Czy jest moralne — tak częste u nas — robienie szumu wokół nowych, nie zbadanych jeszcze, „cudownych leków" — np. preparat prof. Tołpy. Lekarze wiedzą, że nie jest to cudowny preparat, w niektórych przypadkach przynosi poważne pogorszenie stanu chorego. Pacjenci, którzy czerpią wiedzę o cudownych właściwościach preparatu z telewizji domagają się jego stosowania, oszustom na czarnym rynku płacą ogromne pieniądze za kilka ampułek, podejrzewają lekarzy, że leki te mają tylko dla „swoich" lub za łapówki. Iluś ludzi odczuwa głęboki żal, przekonani są bowiem, że ich bliski żyłby jeszcze, gdyby tylko udało się zdobyć rzekomo cudowny preparat, gdyby mieli więcej pieniędzy. Jest to tak samo jak w przypadku znachorów — szkodliwe społecznie dawanie fałszywej nadziei.

— Ludzie będą jednak wierzyć i w przypadku choroby będą szukać pomocy wszędzie, nawet wbrew rozsądkowi. Jakie wobec tego rozwiązanie pan proponuje?

— Jest kilka dróg. Można np. zastosować takie rozwiązanie jak w RFN. Tam od pewnego czasu każdy może ogłosić się uzdrowicielem i działać legalnie płacąc podatki. Ubezpieczenie nie obejmuje jednak kosztów leczenia u znachorów. Można by i u nas przynajmniej opodatkować znachorów — a każdy, kto jest na tyle głupi, żeby wydawać pieniądze i szkodzić sobie — niech korzysta. W końcu służbie zdrowia w naszych warunkach nie zależy przecież, żeby mieć jak najwięcej pacjentów.

Ale z drugiej strony nasz system ubezpieczeń jest inny i człowiek chory w końcu i tak trafi do państwowego szpitala, tylko często w gorszym stanie. Ponadto byłaby to niezdrowa, oficjalnie uznana konkurencja dla lekarzy i głęboko niesłuszne zjawisko, że szarlatan żyłby sobie dobrze, a lekarz, który nie zawsze, z różnych przyczyn może uprawiać prywatną praktykę — dużo gorzej.

Uważam więc, że jedynym słusznym rozwiązaniem jest szeroka oświata, informowanie i przekonywanie ludzi czym grozi „niekonwencjonalne leczenie" przez znachora a także, przede wszystkim przestrzeganie prawa. Obecna ustawa może i nie jest w wielu punktach przestrzegana, ale jest prawem i powinna być przestrzegana. Tymczasem coraz więcej znachorów działa — nielegalnie — i nikt zdaje się nie zauważać tego.

Na zakończenie chciałbym podkreślić, że pomoc psychoterapeutyczna, również sugestywna, w pewnych zaburzeniach jest metodą z wyboru, w innych przypadkach może spełniać ważną rolę pomocniczą, ale zawsze powinna być udzielana przez osoby kompetentne, znające cele, metody, ograniczenia i przeciwwskazania.

Rozmawiała:
TERESA JERZYKOWSKA

Gdy cichną oklaski na stadionie, co ma zrobić sportowiec?

Zacisnąć zęby i szukać rozwiązania czy zawiesić sznur na haku?

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

1.

Nie cieszy nic. Radości życia nie można kupić w Supersamie Bezczynność męczy. Wszystko jest bez sensu. Najlepiej zasnąć. Zostawić troski po drugiej stronie drzwi. A drzwi zamknąć. Raz na zawsze. Samobójstwo?

Taka myśl przykleiła się. Drąży świadomość, paraliżuje wolę. Wielka jest siła apatii.

Tyle jest pytań bez odpowiedzi.

Może trzeba było zmienić dyscyplinę?

Może nie trzeba było wyjeżdżać z Wrocławia?

Dlaczego nie wyszedł rozbieg? Przecież wszystko dokładnie obliczyła i było dobrze?

Dlaczego po tym pierwszym zaliczonym rzucie, dwa dalsze spaliła?

Może niepotrzebnie pomyślała o Teresie Nowak?

Teresa była gotowa do wyjazdu. Na kilkadziesiąt godzin przed odlotem do Meksyku dowiedziała się od magazyniera, że nie ma jej nazwiska na liście PZLA.

— *To niemożliwe* — protestowała — *przecież otrzymałam nominację olimpijską, wydano mi cały sprzęt, szyto na miarę strój, skład ekipy podała prasa, mówiono o mnie w radiu, pokazywano w telewizji.*

— *Nic nie poradzę. Wczoraj zadecydowano inaczej* — usprawiedliwiał się i poprosił, by Teresa możliwie szybko zwróciła pobrany olimpijski ekwipunek. W związku dowiedziała się, że na jej miejsce postanowiono wysłać na Olimpiadę drugą oszczepniczkę.

Teresa Nowakowa przeżyła szok. Nie mniejszy szok przeżyła Lucyna. Inaczej wyobrażała sobie zdobycie olimpijskiego paszportu. Całą radość ze startu na Olimpiadzie zgasiła skandaliczna afera z Teresą Nowakową. Lecąc nad Pacyfikiem Lucyna zastanawiała się, kto powinien siedzieć w tym miękkim lotniczym fotelu. Nie mogła uwolnić się od myśli, że przecież mogło być odwrotnie.

— Co byś wtedy zrobiła? — pytała siebie.

— Chyba bym tego nie przeżyła — myślała.

Na stadionie Azteków, podczas koncentracji przed drugim rzutem, nagle przypomniała sobie Teresę Nowakową. Siedzi przed telewizorem. Czy dlatego spaliła ten drugi i następny rzut?

Przed odlotem, zaszokowana nagłą nominacją, zafrapowana wyjazdem, zapomniała złożyć w szkole podania o zwolnienie z zajęć i usprawiedliwienie nieobecności. Wydawało jej się, że jeśli reprezentuje Polskę na najważniejszej sportowej imprezie, jeśli pisze się o tym w gazetach, to nie musi prosić dyrektora o urlop. Dyrektor był innego zdania. Po powrocie czekało na nią zwolnienie z pracy. Gdyby zdobyła medal, inaczej by z nią rozmawiano. Przeważała opinia, że jej start był nieudany, że zawiodła. Wyczytała nawet, że szkoda, że Lucyna zabrała miejsce Teresie Nowakowej.

2.

We Wrocławiu miała chłopaka. Chodziła z nim 3 lata. Już mieli się pobrać, ale coś ją wstrzymywało. Gdy zakomunikowała ostateczną decyzję, wyszło szydło z worka. Chłopak okazał się zwykłym łobuzem. Na zawodach w Pradze, gdy znowu nalegał, a Lucyna odmawiała, uderzył ją w twarz. A że kiedyś był bokserem, po ciosie półprzytomna upadła na podłogę. Ale wstała o własnych siłach i jeszcze raz powtórzyła — *nie!* Więc dostała drugi cios. Dobrze, że działo się to już po zakończonych zawodach.

Szukała pomocy w klubie, którego i on był zawodnikiem. Niełatwo przyszło jej opowiedzieć obcym ludziom o swych kłopotach, o upokorzeniu zawierzyła im. Działacze beztrosko powiedzieli, że powinna się cieszyć: bo *jeśli bije, to znaczy, że kocha!*

Spakowała rzeczy i najbliższym pociągiem pojechała do Łodzi. Tu obiecano jej mieszkanie. Na razie otrzymała pokój w hotelu klubowym.

3.

Rzucała oszczepem już nie tak daleko jak przed Olimpiadą. W kadrze nie było dla niej nowego sprzętu. By uzyskiwać przyzwoite rezultaty, musiała pożyczać od młodszych nie zawsze życzliwych koleżanek. Kadrę zaczęto odmładzać. Wyczuwała, że zbliża się koniec, że trzeba odejść.

Wróciła do piłki ręcznej. Na 3 treningi. Po 3 treningach stwierdziła, że wprawdzie rzuca celnie i silnie potrafi, ale w grze nie umie współdziałać z pozostałymi zawodniczkami.

Godzinami leżała na tapczanie wpatrując się w sufit. Czytała na nim swój życiorys. Chropowaty jak faktura ściany. Widziała obrazy z dzieciństwa. Z dalekiego Polesia, z Michalina gdzie ojciec był leśniczym.

Przeczytała w „Głosie Robotniczym" anons o turnieju szachowym dla nie stowarzyszonych. W szachy grała od dzieciństwa. Nauki pobierała u ojca który sam siekierą i strugiem wykonał drewnianą szachownicę i ulepił z chleba figury. Grali wieczorami na ganku. Czasem przyświecał im księżyc, bo tak ich pochłonęła gra. Nie przypuszczała wtedy, że ten czas poświęcony szachom, zaowocuje kiedyś. Najpierw w Szczecinie, a później w Łodzi.

Do Szczecina przyjechała z Brwinowa. To było już po repatriacji. Rodzice zamieszkali we Fromborku. Lucyna chodziła do 9 klasy. Wszystkiemu winna była grusza. Dorodna, rodząca soczyste, słodkie klapsy. Rosła w przyszkolnym sadzie. Z ogrodu, przez lata, korzystała młodzież szkolna. Zrywała owoce i nikt jej z tego powodu nie czynił żadnych wymówek. Nowa dyrektor lubiła gruszki. Zabroniła dzieciom zrywania owoców. Na dużej przerwie, cała klasa pognała do sadu i zebrała się pod ulubioną gruszą. Z niższych gałęzi owoce zostały już oberwane. Ale na czubku było ich sporo. Wszystkie pachnące, dojrzałe. Trzeba było tylko umiejętnie rzucić kijem. Z całej klasy tylko Lucyna potrafiła tak wysoko rzucać patykiem. Więc rzuciła za siebie i za koleżanki. Zauważyła to pani dyrektor i dała Lucynie nauczkę. Regularnie wywoływała ją do tablicy i stawiała dwóję. Lucyna uczyła się pilnie, chemię znała najlepiej z wszystkich przedmiotów, ale wiedziała, że poprawki nie zda, bo pani dyrektor mści się za gruszki. Powiedziała o tym rodzicom. Zganili ją. Wypomnieli, ile kosztuje kształcenie. Lucyna postanowiła zmienić szkołę i już nigdy nie korzystać z pomocy rodziców. Pojechała do Szczecina.

W Technikum Wychowania Fizycznego otrzymała internat, wyżywienie i stypendium, które wynosiło 42 złote na miesiąc. Było to za mało, by kupić z tego pończochy, bluzkę, mydło i książki. Postanowiła dorabiać. Nocą, po zajęciach sprzątała salę gimnastyczną. Dostawała za to 50 złotych. W wolnych chwilach jeździła na dworzec kolejowy by tam, w poczekalni z przygodnymi podróżnymi grać w szachy o czekoladę. Mężczyźni z chęcią przyjmowali zakłady i przegrywali. W ten sposób Lucyna potrafiła wygrać do 17 czekolad dziennie!

Pobyt w technikum był dla młodej dziewczyny twardą i bezwzględną szkołą charakteru. W internacie mieszkała w 6-osobowym pokoju. Współmieszkanki zazdrosne o sukcesy sportowe, a także o wyniki w nauce, dokuczały jej na każdym kroku. Wieczorem po forsownym treningu szybko zasypiała. Wtedy dziewczyny przywiązywały ją do łóżka, smarowały pastą do zębów, pastą do butów. Rano w internacie zazwyczaj nie było wody. Wyschnięta pasta piekła, drażniła skórę. Lucyna szła do toalety i łzami zmywała bród z twarzy. Najczęstszym tematem niewybrednych żartów było ubóstwo Lucyny. Koleżanki wyśmiewały przenoszone pończochy, swetry. Kiedyś zrobiły wystawę podartej bielizny. Cały internat trząsł się ze śmiechu. Innym razem włamały się do szafki i zjadły całą żywność, którą Lucyna dostała od rodziców. Resztki świątecznej paczki podeptały. Lucyna i to wytrzymała. Nie poszła na skargę. Tym załamała dziewuchy, które wreszcie dały jej spokój.

W technikum o palmę pierwszeństwa we wszystkich sportach bo Lucyna pływała, skakała, biegała, grała nawet w piłkę nożną rywalizowała z Jadźką, koleżanką z klasy. We wszystkich dyscyplinach Lucyna była z każdym dniem lepsza od Jadźki, ale ustępowała jej w rzucie oszczepem. Lucyna postanowiła utrzeć jej nosa. Zaczęła intensywnie trenować rzuty. Po kilku miesiącach zrobiła tak zaskakujące postępy, że po wygraniu zawodów okręgowych dostała się pod opiekę trenera Zygmunta Szelesta.

4.

Przez długi okres dzieliła czas między piłkę ręczną i lekką atletykę. Ale magister Zygmunt Szelest nie zgodził się na grę w piłkę nożną a tym bardziej w ręczną. Kontuzje piłki reperowało dziurawą kasę Lucyny, za każdy mecz dostawała 100 złotych. Także dla zarobku, ale i dla sprawdzenia swoich możliwości, pisywała korespondencje do pisma „Łącznościowiec", kryjąc się pod męskim pseudonimem „Nowicz". O ile zerwanie z piłką nożną przyszło łatwo, o tyle zerwanie z piłką ręczną było o wiele trudniejsze. Była już na wrocławskiej AWF i grała w Łączności we Wrocławiu w I lidze. Zbliżała się decydująca faza rozgrywek. Nie mogła zostawić koleżanek, które walczyły o utrzymanie się w ekstraklasie. Zygmunt Szelest naciskał, postawił wreszcie ultimatum. Jeśli chce być w kadrze, musi zrezygnować z piłki ręcznej. Na obozie PZLA w Wiśle dostała błagalny telegram od koleżanek z drużyny, by przyjechała na decydujący mecz do Chorzowa. Wsiadła do pociągu, zagrała mecz i wróciła na zgrupowanie. Strzeliła kilka bramek. Dziennikarze pochwalili ją. Trener Zygmunt Szelest po lekturze porannej prasy wyrzucił ją z obozu i skreślił z kadry. Wtedy postanowiła udowodnić, że szkoleniowiec nie miał racji.

To były pełne tygodnie wyrzeczeń. Ale trud się opłacił. Przed meczem Polska — USA wygrała eliminacje. Zetknęła się z treningiem autogennym, z działaniem na podświadomość. Reprezentantom Polski zorganizowano kurs nauki relaksowania. Niestety nikt tego nie potraktował poważnie. Młodzi ludzie nie dorośli do tego, by wgłębić się i zrozumieć to, co chcieli im przekazać Hindusi. Ich ćwiczenia traktowano jak sztuczki, którymi na próżno chcą zaimponować sportowym sławom. Lucyna żałuje straconej szansy zdobycia wiedzy.

5.

W tym czasie nastąpiło drugie ważne w jej życiu zdarzenie. Mając sporo wolnego czasu i bogatą wiedzę oraz doświadczenia w masażu leczniczym i rehabilitacji chorych, na prośbę koleżanki, pomagała jej w zajęciach w Domu Starców. Przez godzinę-dwie masowała staruszki. Już po pierwszym kontakcie z zniedołężniałymi ludźmi, poczuła ogromny upływ energii. Wróciła do domu zmęczona jak nigdy. Osiem godzin pracy w szkole, intensywny trening, start w zawodach, nie wyczerpał jej tak jak ten kilkudziesięciominutowy kontakt z ludźmi schorowanymi. Zaczęła się sobie bacznie przyglądać. Po następnych wizytach doszła do wniosku, że w czasie tych zajęć oddaje swoją energię. Jak to się dzieje? Czy jest to możliwe?

W Bibliotece im. L. Waryńskiego w Łodzi dotarła do książek. Przeczytała wszystko co było dostępne o psychotronice, radiestezji, okultyzmie, promieniowaniu kosmicznym i jego wpływie na organizm ludzi. Nauczyła się pobierania energii i przekazywania jej innym osobom. Swoim koleżankom szachistkom pomagała w koncentracji, wspomagała je swoją energią. Odnosiła sukcesy.

W turnieju o Mistrzostwo Polski w Polanicy Zdroju w 1974 roku jest piąta. W 3 lata później w Mongolii w Spartakiadzie Szachowej KDL, reprezentując federację wraz z drużyną, zajmuje pierwsze miejsce. W 1980 roku w Błyskawicznych Mistrzostwach Polski jest pierwsza. Wielokrotnie odnosi sukcesy w Mistrzostwach Polski Nauczycieli. Pogłębiając wiedzę szachową, równolegle poznaje tajemnice nowego, odkrywanego życia. Kończy kurs specjalistyczny z zakresu energoterapii, kurs radiestezji, a także kursy jogi i karate. Na jednym z turniejów szachowych poznaje p. Radzikowskiego, który jest członkiem Wspólnoty Różokrzyżowej.

Według Różokrzyżowców warunkiem niezbędnym do przekazywania energii uzdrawiającej, a także warunkiem koniecznym do jej odebrania jest właściwy sposób życia. Trzeba na przykład wstrzymać się od jedzenia potraw mięsnych. Jedząc mięso, przenika do nas strach, niepokój, nienawiść, agresja, jaką miało zwierzę w chwili zabijania. Trzeba wyzbyć się wszelkich używek, napełnić pomieszczenie, w którym się przebywa czystym powietrzem, bo drogą przez oddech wędruje do nas energia kosmiczna. Umysł trzeba odżywiać tylko czystymi myślami, a dzień powszedni rozpoczynać godziwymi czynami.

6.

Przygotowując się do kolejnej rozmowy z Lucyną, przeczytałem podstawowe dzieło o filozofii Różokrzyżowców, książkę Maxa Heindla „Światopogląd Różokrzyżowców" oraz inne liczne wydawnictwa drukowane w języku polskim w Poznaniu. Z nich dowiedziałem się, że Zakon założył w XIV wieku Christian Rosenkreiu, który oparł swe nauki na trzech zasadach: 1 — krytyczny umysł, 2 — czułe serce, 3 — zdrowe ciało.

Mając jako tako pojęcie o Różokrzyżowcach, o ich wierze w reinkarnację, w zdolność opuszczania ciała fizycznego i możliwość przenoszenia się do świata duchowego, szanując poglądy i wiarę innych ludzi, stawiłem się z niewielkim opóźnieniem w mieszkaniu przy ulicy Odolanowskiej.

— *Właśnie odblokowałam kobietę, zniosłam jej uporczywy ból, z którym przyszła i zaczęłam się ładować* — mówi na powitanie Lucyna.

— Jak się pobiera energię? Czy ja mógłbym...

— *Proszę bardzo. Najpierw muszę ją pobrać* — mówi i staje w rozkroku. Unosi dłonie, zwrócone ku sobie na wysokość ramion. Przymyka oczy. Koncentruje się wewnętrznie i po chwili wykonuje powolne ruchy, jakby z trudem zbierała znad głowy, stawiające opór powietrze i przenosiła je, a następnie nakładała je na swoją głowę, tułów, całe ciało. Ruchy jej są powolne, precyzyjne. Trwa to... Zatraciłem poczucie czasu. Po zakończonym zbieraniu energii Lucyna bierze wyskalowany celuloidowy krąg, kładzie go na kawałku czarnego sukna i wyjmuje z torebki wahadełko.

— *Zmierzę panu energię.*

Trzyma wahadełko w dwóch palcach nad obrzeżem skali. Gdy odchyla się w linii prostej, posuwa rękę dalej. Gdy zaczęło krążyć, zatrzymuje wędrówkę dłoni i odczytuje wynik.

— *90. Mało. Przekażę panu trochę energii.*

Staje nade mną i trzyma przed sobą wyciągnięte dłonie. Między dłonie wkładam swoją rękę. Moment koncentracji. Obie ręce kobiety, bardzo powoli, jakby ściskały balon, zbliżają się do mojej dłoni, ale jej nie dotykają. Po chwili powracają do pozycji wyjściowej. Znowu z wysiłkiem, widzę to po wyrazie twarzy, Lucyna pcha niewidoczną energię w kierunku mojej dłoni. Pcha, pokonuje opór niewidzialnej siły. Na powierzchni skóry czuję ciepło. Może to sugestia, ale odczuwam drobne mrowienie w opuszkach palców. Tajemne misterium przekazywania energii trwa. Wydaje mi się, że twarz kobiety blednie. Wyraźnie odbieram przypływ ciepła. Emocje? Jeszcze jeden powolny ruch rąk, jeszcze jeden robiony z najwyższym wysiłkiem dopływ energii i koniec. Zmęczona kobieta opada na fotel. Moje wrażenia mogą być sugestią, ale jej zmęczenie jest autentyczne.

Lucyna bierze wahadełko i ponownie ustawia je nad moją dłonią. Zaczyna krążyć przy 220!

— *Teraz powinien się pan czuć lepiej* — mówi i wychodzi zaparzyć herbatę.

Sama pije wodę z miodem albo z naturalnym sokiem.

— *Źle pan miesza herbatę* — zwraca mi uwagę, gdy łyżeczką, jak przywykłem obracam w lewą stronę. — *Trzeba mieszać w prawo. Zawirowanie w prawą stronę wzbogaca płyn w siły witalne.*

Rozmawiamy już o obecnych zainteresowaniach, o pracy w Medycznym Studium Zawodowym na Piotrkowskiej, gdzie Lucyna prowadzi zajęcia wychowania fizycznego. Dyrektorka dała jej wolną rękę, możliwość eksperymentowania. Lucyna wprowadziła na swych lekcjach, obok tradycyjnej gimnastyki szwedzkiej, hata-jogę, elementy karate. Najpierw trzeba było zachęcić do systematycznego ćwiczenia ospałe dziewczyny. Na początku wyjaśniała, jaki wpływ mają ćwiczenia fizyczne na układ krążenia, jak należy pobudzić, co się dzieje, gdy krew a zatem i cały organizm nie jest należycie dotleniony. Zadaje też uczennicom ćwiczenia do domu: izometryczne na napinanie, rozciąganie mięśni, zestawy ćwiczeń na poprawienie sylwetki, na duży albo za mały biust, uda, pośladki. Daje praktyczne wskazówki na regenerację sił. Uczennice, które mieszkają w blokach, jako pracę domową mają zadanie biegania truchtem po schodach. Dziewczyny są zachwycone. Czekają na każdą lekcję wf, a nawet przychodzą na dodatkowe zajęcia w ZNP, które dwa razy w tygodniu prowadzi dla nauczycieli. Przychodzą także po poradę. I nie tylko one. Lekarzowi szkolnemu, przez odblokowanie zniosła ból głowy. W szpitalu podczas odwiedzin koleżanki, z chorej która miała silne bóle i wysoką gorączkę, przejęła na siebie obie dolegliwości i później po powrocie do domu miała kłopoty z rozładowaniem. Musiała prosić o pomoc radiestetów.

Jest jedną z najbardziej zajętych kobiet, jaką udało mi się spotkać. Oprócz normalnej pracy zawodowej miała w planie: spotkanie w Łódzkim Domu Kultury na radża-jodze, potem w Instytucie Fizyki PŁ spotkanie psychotroników, prelekcję na temat zdrowego żywienia. W Domu Włókniarza prowadzi wykłady na Uniwersytecie Trzeciego Wieku. No i stale czyta, koresponduje.

— *Materia nie znosi zastoju. Trzeba się ruszać* — śmieje się, gdy pytam jak na to wszystko znajduje czas.

Przejście wyczynowego sportowca z aktywności sportowej, z czasu sławy i chwały do normalnego życia przebiega różnymi meandrami. Niektórzy załamują się i kończą na peryferiach. Inni po okresie kryzysu, nawet tak ostrego, jaki przeszła LUCYNA KRAWCEWICZ, próbują wyjść z niego, szukając nowej drogi życia. Lucyna znalazła ją.

Collage: Grzegorz Gałasiński

TADEUSZ ZAWADOWSKI

Horyń

Tabuny myśli po głowie mkną nocą
Kozak przychodzi — rzewne dumki śpiewa
Modlę się wtedy za ziemię rodzinną
Co w prochu przodków daleko dojrzewa

Choć życie jedno lecz przecież utoczyć
Krwi z niego dali — całe stągwie wina
Szable złamane rdzy porosły kwieciem
Którym na wiosnę pachnie Ukraina

Z kurchanów czasu przeoranych wiekiem
Powstaną duchy przed laty uśpione
I nocą icho wyjdą na bezdroża
I będą z żalem patrzeć w moją stronę

Bez twarzy nawet bez imienia
Jak wyorane z ziemi brukwi głowy
W milczeniu staną i będą czekały
Aż je przywołam choćby jednym słowem

A Horyń cicho swoje fale toczy
Me serce bije niczym dzwon — na trwogę
Bo choćbym nawet w nurty jego wskoczył
To ich przywołać do siebie nie mogę...

GŁOŚNE KSIĄŻKI

Testament „ojca chrzestnego"

W wydawnictwie Doubleday ukazała się książka pt. **„Goldwater"**, będąca „politycznym testamentem" **Barry Goldwatera**, uważanego za „ojca chrzestnego" amerykańskich konserwatystów. Autor przedstawia w niej lata swojej działalności politycznej na tle obrazu Ameryki lat 60. W swojej książce b. kandydat na prezydenta z ramienia republikanów podaje wiele nie ujawnionych dotychczas faktów i opinii, ukazanych z osobistego punktu widzenia, stanowiących prawdziwą rewolucję. Goldwater nie kryje w książce swej głębokiej urazy do Lyndona Johnsona, który pobił go w wyborach prezydenckich w 1964 roku, jak również lekceważenia i pogardy dla Richarda Nixona. W swojej książce przedstawia własną ocenę ośmiu ostatnich prezydentów USA, z których najwybitniejsza postacią na tym stanowisku był jego zdaniem — Dwight D. Eisenhower.

Były senator z Arizony Ronalda Reagana określa mianem najbardziej „natchnionego", nie szczędzi prezydentowi uznania na wielu płaszczyznach jego działalności, choć przyznaje obiektywnie, że sprzedaż broni Iranowi i przekazywanie pieniędzy dla contrasów było wielkim błędem.

Dla Johna F. Kennedy'ego autor żywi emocjonalne uczucia stawiając zamordowanego prezydenta również w rzędzie „natchnionych". Goldwater wyznaje jednak, że czuł się zaszokowany poczynaniami młodego prezydenta w okresie fiaska w Zatoce Świń, które Kennedy przewidywał...

Być może najbardziej istotnym aspektem autobiografii są ostrzeżenia autora skierowane do konserwatystów aby nie ufali ewangelickim duchownym, którzy zwrócili się ku polityce. Określając polityków-kaznodziejów mianem „Checkbook Clergy" („Kleru książeczki czekowej") Goldwater stwierdza, że nie są oni zdolni do pojmowania realiów politycznego kompromisu.

Autobiografia nie jest książką dla historyków, stanowi raczej wspomnienie człowieka, który przez długi okres był ważną osobistością amerykańskiej polityki i który po wycofaniu się z areny politycznej ostrzega tych, którym kiedyś patronował.

M. B.

„Bez buławy"

Różnorodne **zalety pióra Cezarego Leżeńskiego — dziennikarza i literata** — niegdyś naczelnego redaktora wyśmienicie redagowanego **„Kuriera Polskiego"** (organu Stronnictwa Demokratycznego), mieli już niejednokrotnie sposobność poznać czytelnicy „Odgłosów". Zaczytywane bowiem przez nich były i żywy oddźwięk wywoływały drukowane na naszych łamach fragmenty złożonych przez tego poczytnego autora w wydawnictwach książek o dwóch niezwykle barwnych i **tragicznych** zarazem **na swój sposób postaciach, które odegrały wielką rolę w naszej najnowszej historii: marszałku Rydzu-Śmigłym i generale „Grocie"-Roweckim. Obu** w niechlubnym **stalinowskim okresie — obłożonych zmową milczenia.**

Wielką pasją **Cezarego Leżeńskiego** — datującą się od wielu już lat — są najnowsze dzieje ojczyste, rozpatrywane w jego utworach literackich przez pryzmat psychologicznych uwarunkowań, niełatwych przecież wyborów, dokonywanych przez bohaterów.

Wszechstronna erudycja autora, podparta dogłębną znajomością literatury przedmiotu i dostępnych źródeł sprawia, iż porusza się pewnie po obszarach **pełnych raf i mielizn**, można rzec, niczym ryba w wodzie, **że ma czytelnikom na ten temat wiele frapujących rzeczy do powiedzenia.**

Zaliczyć się go dlatego też nie waham — obok **Cezarego Chlebowskiego** — do czołowych, wśród nieprofesjonalistów, popularyzatorów powikłanych i kryjących do dziś wiele nie rozwiązanych zagadek **najnowszych dziejów ojczystych.**

Kreślę te uwagi na gorąco, pod wrażeniem **pochłoniętej jednym tchem** (to nie dziennikarska minoderia), **zdobytej po paskarskiej cenie od obrotnego bukinisty, książki Cezarego Leżeńskiego „Bez buławy"**, wydanej przez **Ludową Spółdzielnię Wydawniczą.**

Cezary Leżeński **podjął się** w niej iście **karkołomnego zadania — przybliżenia czytelnikom**, w formie zbeletryzowanej biografii, jednego z najwybitniejszych dowódców AK — **generała Roweckiego.**

Autor **zdawał sobie doskonale sprawę z pułapek tego przedsięwzięcia**, gdyż tak pisze o tym w przedmowie:

„Mam świadomość, że jest to zamierzenie trudne, które może nie spotkać się z dobrym przyjęciem historyków. Nie będzie to jednak dokument historyczny czy też praca popularnonaukowa. Choć oparta w decydującej mierze na realiach i materiałach, jest wszak wizją literacką (...) By pojąć, zrozumieć lepiej, wczuć się w życie Stefana Roweckiego „Grota" — wychodząc poza istniejącą dokumentację, trzeba trochę popuścić wodze fantazji".

To ambitne zamierzenie autorskie, wydające się niekiedy przerastać siły — w pełni się **Cezaremu Leżeńskiemu powiodło.**

Otrzymaliśmy barwną literacką mozaikę, skomponowaną z możliwych do zrekonstruowania wydarzeń, frapujące opisy trafiające w klimat tamtych czasów — ulotnych nastrojów okupacyjnej nocy. Pozostajemy w stałym napięciu, dzięki mistrzowsko nakicowanej, obfitującej w dramatyczne wydarzenia akcji. Co jednak najważniejsze — **zarysowana nam została postać Stefana Roweckiego nie koturnowa i piedestałowa — lecz żywa i pełnokrwista, zaś tym samym prawdziwa.**

Chyba największym zadośćuczynieniem dla ogromnego wysiłku autorskiego może być pomieszczona na obwolucie wypowiedź córki generała „Grota" — **Ireny Roweckiej-Mielczarskiej**, która po zapoznaniu się z maszynopisem książki, napisała:

„Jestem pełna uznania dla autora, który potrafi przedstawić większość wydarzeń z życia mego ojca zgodnie z prawdą, jakby, osobiście w nich uczestniczył. To wielka umiejętność wczuć się w atmosferę życia nie znanego sobie człowieka i oddać nastrój chwil dawno minionych".

Cóż więc może jeszcze do tak **pochlebnej** i **wiarygodnej** opinii dodać recenzent.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Cezary Leżeński, „Bez buławy", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1988, nakład 49650+250 egz., cena 600 zł.

Zaprzepaszczane szanse

Te nie wykorzystywane szanse i możliwości tkwią w ponad 100-tysięcznej armii ludzi. Tak, tyle bowiem członków — jeżeli nie więcej — liczą w swoich szeregach działające na obszarze województwa łódzkiego różne stowarzyszenia kulturalne. Któż z nas wie o tej armii zapaleńców, pasjonatów? Owszem, w powszechnej świadomości ostała się z przekazów historycznych pamięć o najrozmaitszych stowarzyszeniach chóralnych, śpiewaczych, muzycznych, które w przeszłości były ostoją patriotyzmu i polskości. To prawda, tradycje wielu z funkcjonujących po dzień dzisiejszy — i to wcale prężnie! — stowarzyszeń sięgają wielu dziesiątków lat. Zmieniły się jednak warunki i cele, w jakich im przyszło funkcjonować, a i konkurentów przybyło sporo. Czy jednak w pełni wykorzystywany jest dziś tkwiący w tych środowiskach potencjał społeczno-artystyczny i twórczy?

Otóż na terenie naszego województwa istnieje i rozwija aktywną działalność 11 stowarzyszeń śpiewaczych — w Łodzi stowarzyszenia im. Moniuszki, Szymanowskiego, „Echo", „Harmonia" i podobne stowarzyszenia w Konstantynowie, Aleksandrowie i Zgierzu. Są także stowarzyszenia muzyczne, młodzieży muzycznej, akordeonistów, artystyczne stowarzyszenia przyjaciół miast — Łodzi, Aleksandrowa, Głowna, Pabianic i Zgierza; stowarzyszenia międzynarodowe: polsko-austriackie, francuskie, greckie, japońskie, jugosłowiańskie, węgierskie, włoskie, czy też Polski Związek Esperantystów; są wreszcie stowarzyszenia o profilu plastycznym, a więc Plastyków Amatorów, Przyjaciół Muzeum Sztuki, Przyjaciół Sztuk Pięknych, Kultury Teatralnej, Filmowej, Twórców Kultury, Filatelistów, Przyjaciół Książki, Przyjaciół Twórczości Jana Kasprowicza, Uniwersytet Trzeciego Wieku, słowem — ponad 50.

Każde z tych stowarzyszeń zajmuje się szeroko rozumianym upowszechnianiem kultury, m.in. poprzez organizowane festiwale pieśni chóralnych, akcje wychowania plastycznego, muzycznego i teatralnego młodzieży, dalej — wystawy, konkursy amatorskiej twórczości plastycznej, cykliczne przeglądy, konkursy teatralne i filmowe, wreszcie organizowane dni kultury zaprzyjaźnionych krajów.

Spośród ponad 50 stowarzyszeń, jakie działają na naszym terenie 39 utworzyło przed wieloma laty Federację Stowarzyszeń Kulturalnych. Zgrupowane w niej stowarzyszenia liczą ponad 90 tys. członków. Jeżeli do tej ilości członków dodamy ponad 3 tys. organizowanych imprez rocznie, w których uczestniczy ponad milion odbiorców, wtedy dopiero będziemy zdolni przybliżyć sobie tkwiący w tych środowiskach potencjał kulturalny i społecznikowski. Tylko przybliżyć, bowiem niezależnie od wspomnianych tu form działalności upowszechnieniowej zajmują się one także poczynaniami edytorskimi — mają na swym koncie wiele bardzo cennych pozycji wydawniczych, nie mówiąc już o niezwykle ważnych zamierzeniach (że wymienimy pomysł wydania encyklopedii łódzkiej, wydawnictwa nowatorskiego wręcz w założeniu!). W latach 1985/87 ukazało się 21 pozycji za ok. 6 mln zł, zaś w roku bieżącym — dalszych 13, których koszt wyniesie ok. 4 mln zł.

Opieka federacji nad stowarzyszeniami ma charakter wielostronny — w pierwszym rzędzie w postaci pomocy finansowej (ze środków pochodzących z Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi). Tegoroczny fundusz na działalność stowarzyszeń wyniósł ok. 19 mln zł. Lecz nie szczupłość środków finansowych determinuje działalność. Podstawową barierą jest brak pomieszczeń: 13 z nich w ogóle nie posiada siedzib, choć finansowo byłoby je stać na wiele (że wymienimy Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, gotowe zainwestować społeczne siły i środki w urządzenie własnego lokalu, którego pozbawione zostało decyzją osiedlowego samorządu!). Z podobnymi kłopotami borykają się stowarzyszenia muzyczne i śpiewacze.

Jakkolwiek miasto nie jest w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb, to jednak dziwić musi to, iż nie oddaje się pod opiekę stowarzyszeń muzycznych, bądź śpiewaczych np. parkowych estrad, które ulegają coraz większej dewastacji. Ostatnio, dla przykładu, zamierzano zlikwidować muszlę koncertową w Parku Poniatowskiego. Dlaczego? Ano dlatego, że w jej pomieszczeniach gromadzi się chuliganeria... Nic zatem prostszego jak zlikwidować i... kłopot z głowy.

Czyż na tych estradach nie mogłyby latem koncertować chóry, zespoły muzyczne, orkiestry, uczniowie i studenci szkół muzycznych (nawiązując do przedwojennych tradycji niedzielnych koncertów w parkach łódzkich)? Oczywiście to nie rozwiązuje sprawy, lecz daje jakąś szansę.

MAREK BRUK

PESTKI DYNI

NUDYSTKI CAŁEGO ŚWIATA ŁĄCZCIE SIĘ! Wzywa Was do tego zagorzały, długoletni, uparty w swej goliźnie — acz nie zrzeszony — Andrzej Grun. Łączcie się przeciwko szmirze, złemu smakowi, tandecie, obskurności estetycznej i artystycznej; także duchowej. Zwracam się do Was nudystki, albowiem to Wy jesteście fundamentem — jakże zgrabnym i ładnym zresztą! — tego ruchu, filarem, podporą, celem i treścią. Brońcie się przeciwko temu wszystkiemu, co może rzucić na Was cień, co może spaskudzić harmonię wdzięcznej nagości. Apel ten kieruję do Was kształtnopupe miłośniczki natury, strzelistopiersne kapłanki wyzwolenia z ciuchów, powodowany przykrymi odczuciami estetycznymi, których doznałem obejrzawszy I Międzynarodowe Biennale Fotografii Naturystycznej Łódź '88 w Centrum Informacji Kulturalnej przy ul. Zamenhofa 1/5.

Recenzję z tego pokazu napiszę w następnych „Pestkach". Dziś za to zamieszczam dwa rysunki o nudystach.

ANDRZEJ GRUN

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

MUSTAFAJEW O „SZUBRAWCU"

„Pierwszą wersję scenariusza napisaliśmy z Ramizem Fatalijewem, współscenarzystą wielu filmów, m.in. „Bez świadków" Nikity Michałkowa, w 1984 r. Zawiozłem ją do Moskwy, ale urzędnicy „Goskino" zaczęli mnie przekonywać, iż skoro pierestrojka i tak zwycięży, to po co robić film o takich sprawach. Lepiej kręcić pogodne komedie. Dopiero w 1986 r. udało mi się zrealizować „Szubrawca", który wywołał gwałtowne ataki władz republikańskich. Na szczęście film obejrzał Michaił Gorbaczow i doradził jego obejrzenie uczestnikom wszechzwiązkowej konferencji partyjnej. To nieco zmieniło moją sytuację... Istniały obawy, iż ze względu na wiele ukrytych podtekstów (np. dziadek mówi głosem Stalina) film nie będzie zrozumiały poza granicami Związku Radzieckiego. Ale gorące przyjęcie w Szczecinie przekonało mnie, iż jego wymowa jest uniwersalna. Nie tylko u nas, nigdzie nie brakuje kanalii.

•Nie mogę doczekać się premiery filmu, która w Baku odbędzie się dopiero w styczniu. Ale od paru miesięcy kursują nielegalnie przegrane kasety „Szubrawca"... Najbardziej dokucza nam brak swobody, głównie autocenzura. Przekonaliśmy się o tym teraz, gdy można poruszać tematy do niedawna zakazane. Śruby i śrubeczki są w nas mocno dokręcone, brakuje śmiałych, oryginalnych pomysłów. Mnie było łatwiej się wyzwolić, gdyż jestem reżyserem początkującym....".

MĘKI B. KACZYŃSKIEGO

„...Kiedy jednak zabrałem się do pisania swej pierwszej książki pt. „Dzikie orchidee" musiałem stwierdzić, iż pisanie jest czymś najtrudniejszym ze wszystkiego co w życiu robiłem. Odczuwam jakiś specyficzny lęk przed białą, pustą kartką papieru. Mam to wszystko w głowie, ale sam fakt przelania tego na papier, zmaterializowania myśli jest dla mnie ogromnym problemem. Pocę się, męczę... Z pomocą pospieszył mi ongiś nieoceniony Jarosław Iwaszkiewicz. Pokazałem mu fragment... Bałem się uwag Iwaszkiewicza, kiedy oddałem tekst nie mogłem sobie w domu znaleźć miejsca, myślami byłem na swych stronicach... Iwaszkiewicz, oddając mi tekst powiedział: „za 10 lat będzie pan głośnym pisarzem". Nie wielkim, nie sławnym, „tylko głośnym...". — Panie Bogusławie — powiedział — niech pan sobie zapamięta na całe życie moje słowa: Kiedy biorę kartkę papieru i pisze mi się znakomicie jednym pociągnięciem pióra — to ja wiem, że czytelnik się spoci kiedy będzie ją czytał. Natomiast kiedy ja piszę pocąc się tak, że pot kroplisty spada na tę kartkę i sto razy kreślę i wyrzucam do kosza — to ja wiem, że czytelnik rzuci na to okiem i powie: „ależ on ma lekkie pióro, ależ on ma piękny styl". Te słowa są dla mnie drogowskazem...

Najpierw był Telewizyjny Ekran Młodych, wtedy zasmakowałem w tv, potem okazało się, że tv to narkotyk, ale to nie wystarcza. Zaproponowano mi występ już przez profesjonalną redakcję. Była to prezentacja opery „Cyganeria" Pucciniego, dyrygował sam von Karajan. Stworzono mi straszne warunki tego debiutu. Występ był na żywo... Następnego dnia wielu moich profesorów — bo byłem jeszcze studentem — pochlebiało mi twierdząc życzliwie, iż bardzo ciekawie mówiłem itd. Poszedłem więc do tv... Powiedziano mi wręcz, że niestety, nie mogę występować w tv, bo jestem zbyt nerwowy, zbyt szybko mówię i odebrano mi wcześniej już zapowiedzianą prezentację opery „Carmen"... Długo czekałem śniąc i marząc o występach w tv. Propozycja nadeszła dopiero po kilku latach... Prawie równocześnie pojawili się moi liczni wrogowie. W czasie kiedy otrzymałem „Złoty Ekran" za „Qui pro quo" dyrektor generalny tv wydał na piśmie zakaz pokazywania mnie w tv. Powiedział: programy tak, Kaczyński na antenie — nie!... Ale swoje przeżyłem. Od pochwał do napaści... Żeby to wytrzymać trzeba mieć psychikę konia..." (Bogusław Kaczyński w rozmowie z Teresą Drobicką — „Rzeczywistość" nr 49).

„WAHADŁO FOUCAULT"

— Była to niemal forma presji. Kiedy pisałem „Różę", nie miałem żadnych problemów, mogłem pisać jak chciałem, nikt mnie nie kontrolował. Jeśli jednak — na przykład — zdobyło się rekord w skoku w dal, to musi się potem robić to jeszcze lepiej. Prawdopodobnie te ambicje odczuwał również Kant, gdy napisawszy „Krytykę czystego rozumu", zabierał się do „Krytyki praktycznego rozumu".

„Wahadło" zaczynałem natychmiast po „Róży", ale tym razem wszystko było inaczej. „Wahadło Foucault" jest owocem cierpliwości. Niektóre rozdziały pisałem od nowa, nawet po 10 razy. Tylko ten materiał, który odrzuciłem, wypełnia cztery wielkie skrzynie. Nie byłem pewien jak powinienem zakończyć książkę. Wiedziałem wprawdzie, co chcę wsadzić w zakończenie, ale przez pewien czas nie wiedziałem, jak dotrzeć do końca przez długą, wąską Cieśninę Magellana uwikłań akcji. Często zmieniałem i nikomu nic nie pokazywałem... Były to dwa obrazy. Właśnie wizerunek wahadła, przy pomocy którego Leon Foucault w 1851 roku w paryskim panteonie dowodził ruchu obrotowego ziemi; to wahadło wisi dzisiaj w paryskim „Conservatoire des Art et Metiers". Jest to obsesyjny obraz, któremu daję w powieści wszelkie symboliczne znaczenia. I obraz chłopca, który na cmentarzu gra na trąbce — sam to przeżyłem, gdy miałem 13 lat... (Umberto Eco, autor głośnej powieści „Imię róży" o

Pod batutą mistrza

W listopadzie w Kościele Ewangelickim św. Mateusza odbył się uroczysty koncert oratoryjny, który poprowadził — z orkiestrą symfoniczną filharmonii łódzkiej, połączonymi chórami naszej filharmonii i Filharmonii Narodowej oraz wokalistami: Jadwigą Gadulanką — sopran, Polą Lipińską — alt, Paulosem Raptisem — tenor i Romualdem Tesarowiczem — bas — sam Krzysztof Penderecki. Wykonano skomponowane przez mistrza „Requiem polskie".

Tytuł tego dzieła uzasadniony jest dwojako: po pierwsze — dla stworzenia polskiego klimatu kompozytor wprowadził w najważniejszej pod względem ideowo-estetycznym sekwencji „Dies Irae" polskie słowa suplikacji „Święty Boże, Święty mocny" śpiewanej przez Polaków w momentach szczególnego zagrożenia. Po drugie — jak to sam określił, każde ogniwo jest poświęcone pamięci ludzi i wydarzeń, które odegrały ważną rolę w najnowszej historii naszego narodu. Pierwsza część — powstańcom Warszawy, drugie ogniwo — pamięci ojca Maksymiliana Kolbego, „Lacrimosa" — poległym w grudniu 1970 roku, wreszcie „Agnus Dei" — pamięci kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Penderecki w sposób twórczy sięga w utworze do tradycji muzyki romantycznej i polskiej muzyki religijnej. Stosownie do panującego nastroju powagi, żarliwości i skupienia kompozytor powierza bardzo ważną rolę partiom chóralnym i operuje głównie ciemnymi barwami instrumentów orkiestry. W łódzkiej interpretacji w części pierwszej niezwykle przekonująco zabrzmiały fragmenty śpiewane przez Jadwigę Gadulankę i Romualda Tesarowicza, ich szczególna żarliwość w kreowaniu idei muzyki Pendereckiego, a wszystko to wzbogacone dramatyzmem odcinków chóralnych. Gdy idzie o partię orkiestry — to szczególnego wyrazu muzycznego nadały akordy wiolonczel i kontrabasów, jak i brzmienie instrumentów dętych drewnianych — klarnetów fagotów. Wielkim estetycznym zaangażowaniem nacechowana była interpretacja Romualda Tesarowicza fragmentu „Tubamirum", będącego wizją Sądu Ostatecznego. Odczuwało się ogromny ładunek uczuciowy włożony przez śpiewaka w wykonywaną treść muzyczną.

W centralnym fragmencie dzieła — „Dies Irae" największe wrażenie estetyczne wywarło na mnie bardzo żarliwe wykonanie przez obie wokalistki sekwencji „Święty Boże". Pod względem czysto technicznym szczególnie piękna była barwa altu Poli Lipińskiej. Niezwykle ekspresyjne były też fragmenty chóralne o charakterze recytatywnym, a także brzmienie pełnej orkiestry. Podobnie przekonująco wypadły oba chóry z nasyconym majestatem, powagą i idealną niemal „harmonią" wszystkich głosów chóralnych.

W finałowych ogniwach — szczególnie „Libera me", godnym wyróżnienia była interpretacja partii tenorowej Paulosa Raptisa i jego wyjątkowa ekspresyjność. Z pełnym przekonaniem można powiedzieć, że zaprezentowana przez mistrza Pendereckiego kreacja artystyczna „Requiem polskiego" była wielkiej miary wydarzeniem artystycznym. Przyniosła słuchaczom wiele niezapomnianych przeżyć w sferze patriotycznej i duchowej.

PIOTR KUKIEŁKA

Rzecz o spełnionych marzeniach

Ile wart byłby rynek sztuki bez konkurencji i współzawodnictwa? Niewiele. Mają chyba tę świadomość również dyrektorzy rozmaitych placówek artystycznych. Czyż włączenie do repertuaru łódzkiego Teatru Wielkiego, na początku bieżącego roku, „Wesołej wdówki" Lehara — gdy operetkę tę wystawiał jednocześnie Teatr Muzyczny — nie było aby zakamuflowanym pojedynkiem artystycznym obu scen? Na pewno tak, a wynik tego pojedynku znamy — 1:0 dla zespołu z ul. Północnej.

Niewątpliwie, mimo całej odmienności, teatry operowe i operetkowe mogą i powinny współzawodniczyć w dziedzinie śpiewu, gry aktorskiej i orkiestrowej, w zakresie scenografii, tańca czy reżyserii. Kryteria sprawności warsztatowej obowiązują przecież te same. Nieco inaczej wygląda natomiast sprawa repertuaru. Nie jest on taki sam i przenikanie może być tylko jednokierunkowe. Do przybytku operetki nie zawita nigdy „Tosca" lub „Nabucco" aczkolwiek „muzie podkasanej" na „poważną" scenę zajrzeć od czasu do czasu wolno.

Kolejnym przykładem — ostatnia premiera w Teatrze Wielkim. Jest nią „Błękitny Zamek", musical Romana Czubatego wg powieści Lucy Maud Montgomery (autorki „Ani" z Zielonego Wzgórza"). Oczywiście tej pozycji Teatr Muzyczny wcześniej nie wystawił, choć... dał niedawno premierę innego „błękitnego" spektaklu: „Błękitnej maski" F. Raymonda. Doszło więc znów do czegoś w rodzaju dżentelmeńskiego zmierzenia sił. W efekcie Teatr Muzyczny zbudował zupełnie poprawny spektakl z fatalnego literacko materiału wyjściowego, natomiast konkurujący w relaksowaniu widzów Teatr Wielki osiągnął rezultat zbliżony, korzystając jednak z materiału o ileż znakomitszego!

Adresowana do młodzieży, sentymentalna opowiastka L. Montgomery ma chyba nie mniej uroku, niż popularna u nas „Ania". Libretto Krystyny Śląskiej i Barbary Wachowicz trafnie oddaje ducha książki, choć fakt, że np. marzaca o miłości główna bohaterka, Joanna, porzucając „straszną rodzinkę" i rozpoczynając nowe, „autentyczne" życie zamieszkuje najpierw u samotnego mężczyzny, Abla (w książce ma on chorą córkę), stwarza niepotrzebny podtekst, szczęśliwie nie przebiegła premiera II, sobotnia.

Na podkreślenie zasługują ładne dekoracje (głównie w akcie II) i efektowna, kostiumowa pointa całego zespołu. Mniej do pokazania miał tym razem balet, nieporozumieniem stało się wręcz w pewnym momencie „doczepienie" ansamblowego tańca „modern". A muzyka? Cóż, mnie nie zachwyciła, nawet nie zainteresowała. Za główny przebój „Zamku" uważać będę zacytowaną kolędę „Cicha noc". Reszta melodii mocno się zestarzała — również ze względu na sposób instrumentacji. Niepiosenkarska interpretacja też im nie pomogła.

Myślę, że mniej wymagający widzowie i tak będą z „Błękitnego Zamku" zadowoleni, bo też na wszelkie historyjki o spełnionych pragnieniach i szczęściu — zawsze jest zapotrzebowanie. Zresztą, jak napisała L. Montgomery w marzeniach: „każdy ma swój Błękitny Zamek, tylko nazywa go inaczej".

JANUSZ JANYST

Roman Czubaty: Błękitny Zamek. Kierownictwo muzyczne — Kazimierz Kryza, inscenizacja i reżyseria — Ryszard Kubiak, scenografia — Józef Napiórkowski, choreografia — Krystyna Mazurówna, ruch sceniczny — Emil Wesołowski, kierownictwo chóru — Leon Zaborowski. Premiera w łódzkim Teatrze Wielkim 2 grudnia 1988 r.

Na zdjęciu: Elżbieta Walaszczyk (Joanna) i Krzysztof Kolberger Foto: Chwalisław Zieliński

Has w Sofii

Nie słabnie zainteresowanie twórczością **Wojciecha J. Hasa.** Jest to o tyle zrozumiałe że nie dalej jak w styczniu br. minęła 30 rocznica premiery jego debiutanckiej „Pętli", a zupełnie niedawno swoje 40-lecie obchodziła łódzka szkoła filmowa. Wprawdzie Has jest jednym z niewielu liczących się polskich reżyserów, którzy nie są jej absolwentami ale jego sylwetka jako pedagoga tak bardzo zrosła się z pejzażem filmówki, że trudno wprost wyobrazić sobie szkołę bez Hasa. Kontynuując ten jubileuszowo-rocznicowy cykl Bułgarska Filmoteka Narodowa zaproponowała dużą retrospektywę filmów reżysera. Pokazy zaplanowano między 2 a 12 grudnia. Objęły one osiem tytułów, niektóre były już prezentowane w bułgarskich kinach i telewizji. Pokazano więc **„Pętle", „Złoto", „Jak być kochana", „Rękopis znaleziony w Saragossie", „Lalkę", „Sanatorium pod Klepsydrą" „Osobisty pamiętnik grzesznika"** i **„Niezwykłą podróż Baltazara Kobera".** Filmy Hasa miały zawsze swoją publiczność także dzięki udziałowi znanych i popularnych aktorów. Do szczególnie ulubionych przez sofijską publiczność należą filmy ze **Zbigniewem Cybulskim**, a więc „Jak być kochana" i „Rękopis..." a także „Lalka", za sprawą **Beaty Tyszkiewicz**, naturalnie. Z okazji przeglądu zaproszono na cykl spotkań z publicznością także reżysera. Z tej też okazji Muzeum Kinematografii zaprezentowało eksportową skróconą z konieczności, wersję wystawy dokumentującej trzydziestoletni dorobek fabularny Wojciecha J. Hasa.

Ta znana już łodzianom wystawa, której otwarcie w dniu 29 lutego było znaczącym wydarzeniem artystycznym, tym razem ograniczona została do podstawowych faktów z biografii twórczej autora. Znalazły się na niej zestawy fotosów do wszystkich jego filmów wzbogacone o cykle zdjęć roboczych z planu. W szczególniejszy sposób wyodrębniono niewątpliwie najważniejsze utwory, to znaczy „Rękopis..." i „Sanatorium...". Tu dodatkowo znalazły się zdjęcia dokumentujące prace scenografów a także wybrane projekty dekoracji i detali scenograficznych autorstwa między innymi **Andrzeja Płockiego, Jerzego Skarżyńskiego** czy **Bogusława Kobierskiego.**

Pokazano również wszystkie plakaty do filmów Hasa. Ich prezentacja była też swoistą małą retrospektywą polskiej szkoły plakatu, w ramach której znalazły się prace **Romana Cieślewicza** („Rozstanie"), **Franciszka Starowieyskiego** (2 wersje „Sanatorium..."), **Jerzego Skarżyńskiego** (wersje „Rękopisu..."), **Andrzeja Pągowskiego** („Pismak", wersje „Niezwykłej podróży..."), **Wojciecha Janowskiego** („Jak być kochana").

Na tak pomyślanej wystawie nie mogło oczywiście zabraknąć międzynarodowego uznania dla twórczości filmowej znakomitego polskiego reżysera. Wśród przedstawionego wyboru nagród i wyróżnień były oczywiście dyplomy z Locarno i Cork dla „Pożegnań", „Złote wrota" — Główna Nagroda Festiwalu w San Francisco dla „Jak być kochana", nagrody dla „Sanatorium..." z Triestu i Barcelony, „Złote Pióro" dla „Rękopisu..." z San Sebastian, nagrody dla „Lalki" z Panamy i „Pismaka" z Salerno. Były też „Lwy Gdańskie '88" za dźwięk do „Niezwykłej podróży..." (dla **Janusza Rosoła** z łódzkiej WFF) i dyplom uczestnictwa tego samego tytułu na XLV MFF w Wenecji.

Uzupełniały wystawę kostiumy najbardziej charakterystyczne dla ostatniego filmu, wykonane wg projektów **Magdaleny Biernawskiej i Marii Nowotny.** Wśród nich największym zainteresowaniem zwiedzających cieszył się kostium Archanioła Gabriela (w filmie postać tę odtwarza **Marek Barbasiewicz**). Na deser nieładnie zostawiono roboczy egzemplarz scenopisu „Niezwykłej podróży..." z odręcznymi zapiskami kompozytora muzyki **Zdzisława Szostaka.**

Wszystkie imprezy: filmy, spotkania z reżyserem, wystawę zlokalizowano w kinie filmoteki „Drużba". Jest to jedno z ciekawszych miejsc w Sofii, gdzie codziennie na 4 lub 5 seansach, pokazywane są najbardziej interesujące filmy światowe. Równolegle z pokazami Hasa można było obejrzeć filmy Pasolinigo i Coppoli.

Otwierając wystawę inaugurującą ten znaczący polski akcent w filmowej Sofii, dyrektor Bułgarskiej Filmoteki Narodowej Szulew nazwał imprezę dobrą lekcją popularyzacji polskiej sztuki filmowej.

MIECZYSŁAW KUŹMICKI

Na zdjęciu: Wojciech J. Has Foto: Konrad Turowski

Kronika

W DNIACH 7—9 GRUDNIA BR. obradował w Katowicach II Kongres Języka Polskiego. Patronat nad tym najbardziej reprezentatywnym forum miłośników języka polskiego objął I sekretarz KC PZPR, przewodniczący Rady Państwa — gen. Wojciech Jaruzelski. Uczestniczył on również w otwarciu obrad kongresu.
Głównym tematem omawianym przez jego uczestników był „Język polski w bogactwie swoich odmian" (język oficjalny, naukowy, młodzieżowy, wojskowy, prasy, radia i telewizji, polszczyzna Śląska oraz środowisk polonijnych).
Dyskusja koncentrowała się wokół nauczania języka polskiego w szkole.
Zaprezentowano uczestnikom 34 referaty, a wśród nich kilka poświęconych walce o język polski na Śląsku.
Z okazji kongresu zorganizowano w aglomeracji śląskiej liczne imprezy towarzyszące — wystawy, spotkania i konkursy.
Organizatorem tego forum była Rada Krajowa PRON, Polska Akademia Nauk, Narodowa Rada Kultury i Uniwersytet Śląski.

W MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO IM. WŁADYSŁAWA GOMUŁKI W ŁODZI, 13 bm. otwarta została okolicznościowa wystawa pn. „W 40 rocznicę zjednoczenia polskiego ruchu rewolucyjnego".

17 GRUDNIA 1988 R., W DUŻEJ SALI TEATRU NOWEGO odbędzie się premiera baśni Stanisława Grochowiaka pt. „Bestia i Piękna", w reżyserii Krzysztofa Rogoża, ze scenografią Iwony Zaborowskiej i muzyką Ewy Korneckiej.
W rolach głównych wystąpią: Krystyna Tolewska, Danuta Rynkiewicz, Barbara Dembińska, Zbigniew Paterak, Janusz Kubicki i Piotr Krukowski.

OŚRODEK SZTUKI MŁODYCH ŁDK zaprasza do udziału w Dorocznym Turnieju Jednego Wiersza „O puchar wina", który odbędzie się 19 bm. w Łódzkim Domu Kultury przy ul. Traugutta 18. Początek o godz. 17.30.

W GALERII TEATRU STUDYJNEGO ZAPREZENTOWANO w listopadzie br. prace Jana Czarnego (1918—1985), poety, prozaika, tłumacza, który uprawiał również malarstwo, rysunek i grafikę. Malował na małych deseczkach temperą oraz na kamieniach (otoczakach).
Była to pierwsza wystawa prac malarskich z pośmiertnej spuścizny tego oryginalnego twórcy.

ŁÓDZKI DOM KULTURY zorganizował w dniach 8—11 grudnia br. **II Łódzkie Spotkania z Piosenką Latynoamerykańską „FIESTA '88".** Podczas tej imprezy, z ciekawym programem artystycznym wystąpił zespół studentów z krajów latynoamerykańskich — ze Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców w Łodzi.

NA ŚWIATOWEJ WYSTAWIE, która odbędzie się w 1992 r. w Hiszpanii (w Sewilli), dla uczczenia 500-lecia odkrycia Ameryki, Wydawnictwo Literackie z Krakowa zaprezentuje swój dorobek edytorski z dziedziny literatury iberoamerykańskiej, składający się z ponad 500 publikacji.

W KILKUTYSIĘCZNYM (4250 egz.) **NAKŁADZIE,** w Czeskim Cieszynie, ukazuje się miesięcznik społeczno-kulturalny „Zwrot", wydawany przez Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego (mający tam swoją siedzibę). Ten bardzo ciekawie redagowany periodyk kulturalny adresowany jest do Polaków zamieszkałych w Czechosłowacji.

DYSKUSYJNY KLUB FILMOWY W KRAKOWIE, przy współudziale Ambasady ChRL oraz Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej, zorganizował sesję — „Filmowa historia Chin". Zaprezentowano kilka filmów chińskich. Publiczność mogła również zobaczyć „Ostatniego cesarza", w reżyserii Bernardo Bertolucciego.

W TEATRZE WIELKIM W ŁODZI można oglądać kilkadziesiąt obrazów, namalowanych przez Wiesława Ochmana. Dochód ze sprzedaży wielobarwnego katalogu (cena 3500 zł za egzemplarz), towarzyszącemu ekspozycji, zasili fundusz odbudowy zabytków Krakowa.

LAUREATAMI NAGRODY LITERACKIEJ MŁODYCH IM. STANISŁAWA PIĘTAKA zostali: Krystyna Sakowicz (za książkę „Ośmiornica"), Mikołaj Samojlik („Nie ma czarów, nie ma aniołów"), Krzysztof Bielecki („Ja, mały Bóg ziemi") i Piotr Cielesz („Jeszcze maleńka Europa").

Z MIESZANYMI OCENAMI spotkało się londyńskie przedstawienie najnowszej sztuki Harolda Pintera „Mountain language" — z doborową obsadą aktorską.
Niebawem po zajęciu foteli na widowni, muszą je widzowie już opuszczać — co jest ewenementem — spektakl ten trwa bowiem tylko... siedemnaście minut.

W MOSKWIE ODBYŁO SIĘ PRAWYKONANIE „REQUIEM" WIACZESŁAWA ARTIOMOWA, poświęconego ofiarom stalinizmu.

TEATR STARY W KRAKOWIE przygotowuje dwie ciekawie zapowiadające się premiery. Jerzy Jarocki rozpoczął próby sztuki Jerzego S. Sity „Słuchaj Izraelu", zaś Andrzej Wajda realizuje „Hamleta" (czwartą już w jego opracowaniu wersję).

„TONPRESS" przygotował kasetę magnetofonową — „Legiony to...", z nagraniami 16 pieśni i piosenek legionowych, w wykonaniu solistów, chóru i orkiestry Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego.

NA AUKCJI W NOWYM JORKU — za 24 mln 750 tys. dolarów sprzedano obraz Pabla Picasso „Macierzyństwo".
Jest to trzecia co do wielkości suma, jaką kiedykolwiek zapłacono za dzieło sztuki.

ARTYŚCI TEATRU WIELKIEGO Z ŁODZI wyjechali 4 bm. na kilkutygodniowe tournee do Francji z operą „Nabucco", która cieszy się wielkim powodzeniem wśród łódzkiej publiczności. Wystąpią m.in. w Lyonie i St. Etienne.

SŁAWNY WŁOSKI REŻYSER FEDERICO FELLINI przystępuje do pracy nad nowym filmem, osnutym na motywach zaczerpniętych z książki Ermana Cavazzoniego zatytułowanej „Poemat lunatyków". Jest to rzecz na poły bajkowa, pełna ironii i dobrodusznego humoru.
Odmawia podania dziennikarzom bliższych szczegółów dotyczących swego najnowszego dzieła. Wiadomo jedynie, iż będzie to komedia, przy realizacji której współpracować będzie z Fellinim najsławniejszy włoski aktor komiczny — Paolo Villagio.

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

swojej nowej książce w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel")

WYSTARTOWALI

Informowaliśmy swego czasu o powstaniu Klubu Miłośników Muzyki Poważnej przy Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Śródmieście I oto mamy już sygnały o pierwszych, wcale udanych próbach. Ostatnie spotkanie członków i sympatyków klubu poświęcone było gitarze klasycznej. Na koncert zaproszono wirtuoza tego instrumentu — Jacka Dulikowskiego, asystenta łódzkiej Akademii Muzycznej, w którego wykonaniu wysłuchano m.in. Preludium, Fugę i Allegro J.S. Bacha. Występ Jacka Dulikowskiego poprzedziło słowo wstępne Haliny Zielińskiej — studentki teorii Akademii Muzycznej.

Warto przy tej okazji odnotować, że klub zrzesza 16 członków rzeczywistych oraz jednego członka... korespondenta, który zgłosił się aż z Londynu. Jest nim p. T. Cherczyński — przedstawiciel „Skórimpexu" w Londynie, który nie tylko zaoferował współpracę, lecz i pomoc w dostarczaniu klubowi kaset i płyt kompaktowych z nagraniami najlepszych orkiestr światowych.

Następne spotkanie 19 grudnia br.

JUBILEUSZ H. SZWAJCERA

Kto z prawdziwych łodzian (i nie tylko!) nie zna, nie pamięta Henryka Szwajcera!? Znany, popularny aktor, śpiewak, tancerz, odtwórca wielu znakomitych ról, twórca rewii, składanek kabaretowych, tekstów piosenek, monologów, skeczy (pseudonim literacki „Migor"). Swoją drogę aktorską rozpoczynał przed półwiekiem w łódzkim Teatrze Popularnym Józefa Pilarskiego. Potem przyszła wojna, kampania wrześniowa, Warszawa, I Armia Wojska Polskiego, a w niej kierownictwo artystyczne w Centralnym Domu Żołnierza — Teatrze Małych Form w Lublinie, wreszcie powrót do Łodzi z całym zespołem lubelskim i praca z łódzkimi scenami. Był jednym z czołowych wykonawców teatrzyków „Gong", „Osa", Teatru Satyryków, a kiedy zabrakło podobnych scen w naszym mieście wyrusza na krótko do Poznania, by po trzech latach powrócić na łódzki grunt artystyczny. I znów praca w kabarecie literackim — „Łódzka katarynka", udział w „Wesołym autobusie", występy w NRD, Czechosłowacji, Kanadzie i USA...

Właśnie przed tygodniem w kameralnej sali widowiskowej Domu Środowisk Twórczych w Łodzi odbył się jubileusz 50-lecia pracy artystycznej Henryka Szwajcera zorganizowany staraniem łódzkiego Oddziału ZASP. W uroczystości wzięli udział przyjaciele jubilata, przedstawiciele młodszego pokolenia, m.in. Krystyna Nyc-Wronko, Witold Jawis, Wiesław Wieruszkowalski, Janusz Duński, Andrzej Jędrzejewski i Kazimierz Iwiński. Były kwiaty, gratulacje, do których przyłączają się „Odgłosy".

Galeria pisarzy

Rys. Sławomir Arabski

AUTOR „POTOMKÓW TESPISA"

W wąsach pod uśmiechem
Chowa swoje troski,
Niegdyś łódzki literat
Czyli... Jan Koprowski!

ROMAN GORZELSKI

Ze świńskiego łba — smaczna kaszanka, z szynki — dolary!

Dawniej to byli rzeźnicy

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Jeszcze w latach siedemdziesiątych w łódzkim „szlachtuzie", który za trzy lata obchodzić będzie 100-lecie istnienia, bito na przykład do 3 tysięcy sztuk trzody dziennie na dwie zmiany.

W życiu nie widziałem tylu świń na raz... Stłoczone w wąskim przejściu wyznaczonym metalowymi żerdziami kwiczą przeraźliwie, rozpychają się, próbują gryźć. Co kilka minut facet w białym kitlu wpuszcza kolejną partię do tunelu w obszernej hali...

W magazynie była dziwna cisza.

Jeszcze przed chwilą, na zewnątrz sądziłem, że jest tu pusto. Ale nie. Kilkadziesiąt głów zadartych do góry, kilkadziesiąt par oczu przygląda mi się bacznie. Stłoczone, ściśnięte stalowymi bramami, czekają na swą kolej...

Może to głupie i nie przyznaję się do tego mym przewodnikom, ale mam wrażenie, że krasule wiedzą, po co je tu transportowano...

— *Teraz ostrożnie, nie za blisko, bo czasem jeszcze rzucają się i kopią...* — tłumaczy szef produkcji Jędrzejczak wskazując w miarę bezpieczny narożnik wysokiego betonowego pomieszczenia. Nieco pobladły Grześ Gałasiński ładuje kolejny film do „Canona".

Młody człowiek w pobrudzonym kitlu wpędza do klatki na środku pomieszczenia kolejną krowę... Opada krata, nieco wyżej, z przodu, pojawia się inna postać.. Słychać uderzenie, syk sprężonego powietrza i łoskot padającego cielska...

Przez boczną uchylną ścianę klatki wypada wprost na nas tona mięsa. Jednym skokiem dopada jej Marek Wójciak, mocuje łańcuch potężnej windy do zadniej nogi. Odskakuje i włącza przycisk transportera. Szamocząca się czarna masa wędruje powoli pod sufit...

— *Trzeba to robić błyskawicznie, ale wiele razy zdarzyło się, że dostałem kopytem* — Wójciak korzystając z małej przerwy daje się namówić na krótki wykład. — *Wie pan, strzał w głowę, takim stalowym bolcem, nie zabija od razu, tylko ogłusza. Obok zobaczysz pan, jak kolega zakłuwa, to znaczy spuszcza krew, a ta nie może skrzepnąć.*

— To znaczy, że one...

— *Zdychają z upływu krwi, ale nerwy jeszcze długo działają; niektóre mięśnie, bywa, jeszcze w czasie ćwiartowania drgają.*

Zenon Grzejszczak wbija potężny majcher w szyję bujającej się na haku góry mięsa. Zręcznie uskakuje przed strumieniem krwi. Automatycznie ostrzy „narzędzie" — myje ręce w niewielkiej umywalce z boku i — rusza do kolejnej podjeżdżającej na transporterze krasuli.

— *Muszę ją idealnie trafić w splot naczyń krwionośnych, przeciętnie za jednym zamachem wypływa wtedy 7—10 litrów krwi* — tłumaczy cierpliwie Hieronim Jędrzejczak. — *Ta pierwsza, zwana spożywczą, używana jest w większości do kaszanek i „czarnego", ale zbieramy całą krew, z tym że reszta to już tak zwana krew techniczna.*

Kilkanaście osób, zajmujących miejsca na różnej wysokości, w tym i na kilkumetrowej wysokości balkonach z niebywałą wprawą oprawia kolejne cielska. Tu wszystko ma swoje miejsce: rogi, skóra na łbie, i już łeb leży w osobnym pojemniku. Maszyna zgrabnie ściąga całą skórę. Jeszcze cięcie mostka piłą, wyciągnięcie wnętrzności (na osobny wózek — nic się nie zmarnuje.) i przecięcie powtórne całości — już na dwie półtusze.

Mieszane uczucia człowiekiem targają, gdy widzi jak „walczą" z krowimi żołądkami Jan Karliński i Eugeniusz Kapłak, zwani przez kolegów pieszczotliwie „kałduniarzami". Kilka łbów wołowych na wózku może się w nocy słabszym nerwowo przyśnić.

Obserwuję pracę klasyfikatora mięsa, badania weterynaryjne ale Jędrzejczak wskazuje dyskretnie na zegarek, sugerując iż jeszcze wiele przed nami i czas goni.

Przenosimy się do hali, skąd nieprzerwanie dobiega przeraźliwy kwik.

W przelocie mijamy pojemniki pełne kopyt. Oczywiście, zakonserwowane trafią do... gastronomii, na galaretę.

Wieprzowina robi straszny gwałt, broni się, ale młody człowiek przy użyciu elektrycznego „poganiacza" skutecznie kieruje krnąbrne świnie do klatki, za którą czekają Stanisław Kędziora i Józef Baranowski. Ten drugi zakłada każdej na łeb elektryczne „słuchawki". Wieprzek pada, rzuca się w dzikich pląsach. Baranowski poprawia jeszcze raz i dalszy ciąg już znamy — za nogę, w górę, zakłuwanie. Teraz jednak zaczyna się na taśmie, która wije się w ogromnej hali, swoista dbałość o czystość „schabów". A więc najpierw świnia wędruje do myjni, potem do oparzelnika, potem do tak zwanej szczeciniarki, znów jest myta i skrobana przez kilka osób, a resztki szczeciny opalane nawet palnikami na gaz ziemny.

Kolejne mycie, teraz kilka nacięć nożem, bielutka świnia podjeżdża do maszyny, która w parę sekund obedrze ją ze skóry. Taśma zakręca po hali w dziwacznych zakrętach, im dalej tym mniej to przypomina wieprzka. Ludzie w kitlach i kaloszach pracują szybko i precyzyjnie, każdy ma swój mały odcinek roboty, przyhamować nie może, bo już nadjeżdża następna tusza.

Do akcji wkracza facet z ręczną piłą tarczową, którą precyzyjnie tnie „byłą" świnię na zgrabne półtusze. Ale nie do końca; dokładnego rozcięcia dokonuje jego kolega, który po małej przymiarce jednym ciosem potężnego „tomahawka" rozpłatał właśnie kolejny łeb. Cięcie musi być wyjątkowo dokładne, by nie uszkodzić gruczołu przysadki mózgowej. Bowiem na kolejnym stanowisku panie w białych kitlach wyciągają z podjeżdżających półtuszy gruczoły — nadnercza, rdzeń, grasicę, przysadkę, śluzówki.

— *Gruczolarnia, to może i niezbyt szczęśliwa nazwa* — przyznaje majster — Henryka Kujawska — *ale jakże nas określić inaczej, jeśli zajmujemy się obróbką gruczołów dokrewnych, to znaczy ich odtłuszczeniem i odpowiednim zakonserwowaniem. Od nas jadą do różnych zakładów „Polfy", gdzie na przykład z grasicy produkuje się bardzo poszukiwany lek odpornościowy „TFX", z trzustki — insulinę, a ze śluzu — zapobiegającą nadmiernej krzepliwości krwi — heparynę.*

Mijamy bez żalu jelciarnię, ze stertami żołądków i kilometrami wołowych i wieprzowych jelit, mijamy kolejne stalowe drzwi i zaraz za progiem wpadam na prasowaną belę jakiegoś włosia czy innej szczeciny.

— *Tak, tak* — śmieje się brygadzistą Andrzej Gołąb — *to rzeczywiście zbelowana świńska szczecina. Dokładnie wyprana, wysuszona, zakonserwowana. To nasz eksportowy przebój! Wędruje między innymi do Francji, wykorzystywana jest przy produkcji siedzeń samochodowych, tapczanów, pędzli. A te wycinki z wołowych uszu, o proszę, niech pan spojrzy — cały kontener. Oczywiście, po odpowiednim uszlachetnieniu włos jest mocny i delikatny jak aksamit. Produkuje się z niego między innymi pędzelki do malowania dla pań...*

Do swojego królestwa zaprasza nas magazynier Wiesław Kornacki. Czysto, chłodno, setki metrów kwadratowych komór, kafelki wokoło. Grzegorz Gałasiński pstryka malowniczą perspektywę kilkudziesięciu wieprzowych półtuszy, które tu poczekać muszą minimum dobę, aż ich temperatura spadnie do 4—6 stopni Celsjusza. Wiele komór pustych, a tłoku nie ma nigdzie... Cieniutko...

Teraz? Do tysiąca, nie więcej, na jedną zmianę. Brak i surowca, i ludzi do roboty. Praktycznie w każdym dziale zakładu... A wołowina bez kości? Były czasy, że także w systemie dwuzmianowym bito do 409 sztuk bydła, a także sporo „drobnicy" — cieląt, baranów. Dziś dzienna średnia porcja to 240 — 250 sztuk bydła. Czasem trochę baraniny. A ile cieląków? Śmieją się, że pamiętają je tylko starzy ludzie, a młodzi z filmu wyłącznie.

— *Cieląków brakuje. Rolnik kartek nie ma, a najłatwiej mu zarżnąć cielaka. Przy biciu wieprzka nie obejdzie się bez udziału weterynarza, mięso musi być badane, ale już cielęcina, w ogóle wołowina — nie.*

Słucham wspomnień o jakichś ważących dobrze ponad tonę bykach, pod których ciężarem trzeszczały urządzenia. Notując, że zdarzały się już i stare maciory o wadze przekraczającej 350—400 kilogramów i krowie kolosy, ważące ponad pół tony. Wszystko to „było", a tymczasem w drugim kwartale 1988 roku ponad 11 tysięcy sztuk trzody sprowadzono z... NRD. Tego jeszcze nie było i starzy rzeźnicy kręcili głowami z niedowierzaniem.

Brak ludzi do pracy? W rzeźni? Gdzie wydawałoby się robota czysta, w cieple, przy mięsku i wędlinach. A jednak... W „jedynce" pracuje około 950 osób, a 300—400 osób przydałoby się od zaraz, tylko w produkcji. Ale powiedzmy też szczerze — rarytasów tu nie ma: w zbiorowym akordzie, z dodatkami i premiami „wyciskają" niewiele ponad 40 tysięcy, a i to po dwukrotnej w tym roku podwyżce. Zatrudnieni w rzeźni — to też ciekawostka — nie mają kartek mięsnych, przysługuje im deputat — 8 kilogramów miesięcznie, za które muszą oczywiście zapłacić w cenach detalicznych...

Schodzimy na dół. To piękny widok! Przed nami polędwice, szynki ogromne i schaby potężne.

Tu dwie taczki słoniną wyładowane bielutką, a tam dalej — sterty smakowitych żeberek i wołowina bez kosteczki. Czerwony z wysiłku facet w fartuchu pcha wózek dosłownie obłożony golonkami (gdzie się podziały te restauracje, gdzie z całym kunsztem i piwem golonkę serwowano?...). To budujący obrazek. Do symbolu „epoki sukcesu" brakuje może tylko uśmiechu na wszystkich twarzach i płynącego z głośników hymnu rzeźników: „*Były sobie świnki trzy...*" Choć poczucia humoru łódzkim rzeźnikom nie brakuje: od wielu miesięcy zakładowy kurant, dzieło złotych rzemieślniczych rączek Krzysztofa Jędrycha, wygrywa od rana „Świnki" na zmianę z innym przebojem — „*Miała babuleńka kozła rogatego*".

W progu malowniczego działu rozbioru i pojemnikowania wita nas dwoje doświadczonych majstrów: Elżbieta Zieleniewska, pracująca tu już dwadzieścia cztery lata i „walczący" z półtuszami o rok dłużej — Karol Bujnowicz. Tłumaczą, że ten tłum kłębiący się w sali — to pozory: dziś pracuje tu niewiele ponad setka ludzi, przydałoby się i drugie tyle, w okresach mięsnego boomu uwijało się przy tych stołkach i 240 osób.

— *Niech pan łaskawie spojrzy* — tłumaczy Karol Bujnowicz — *tu tniemy biodrówkę i szynkę, tam dalej odchodzi nam schab, boczek i karczek. Ale wcześniej tniemy głowę — na salceson, gulasz i kaszaneczkę.*

— Łeb w kaszance?

— *Ależ oczywiście, niech pan posłucha, biorę świeży łeb, obgotowuję dokładnie* (z tą uduchowioną twarzą pan Karol powinien prowadzić kącik kulinarny w telewizji), *potem obieram, rozdrobnię, dodaję kaszy gryczanej, pieprz i inne przyprawy do smaku, teraz krew, pakuję to w jelito, sparzę i kaszaneczka — palce lizać!*

Zafascynowany widokiem sterty płatów surowej szynki, pytam o jej dalszy los. I słyszę pogodne:

— *No, z szynek produkujemy dolary...*

W pokoju obok, przy herbacie, pani Elżbieta dyktuje, niczym komputer, dzisiejsze plany ich działu:

— *Około 40 ton wieprzowiny, z tego 25 procent damy szynki, siedem — schabu, niewiele mniej — karczku, 10—11 procent będzie łopatki i boczku, 5 procent — głowy, no a reszta to mięsa drobne, słonina, biodrówka.*

— *A nóżki?* — pyta Grzegorz G.

— *Nogi wieprzowe oczywiście idą też do sprzedaży detalicznej, podobnie — ogony, uszy.*

— *Ogony — najlepsze do kapuśniaczku...* — dorzuca z boku pan Karol.

— *Równolegle rozbieramy też wołowinę* — cierpliwie tłumaczy Elżbieta Zieleniewska. — *Średnio około 22 tony. Z tego: 7 ton zadów, z których 40 procent to poszukiwana „beka"* (czytaj: wołowina bez kości), *trochę polędwicy wołowej i mięsa drobne. Pozostaje 15 ton przodów, z których wykrawamy antrykot, czyli schab wołowy, kark oraz szponder i mostek.*

— *Szponder nie za bardzo idzie, a to przecież świetna rzecz na rosołek...* — to znów niezmordowany Karol Bujnowicz.

— Czy rzeczywiście, ponaglany przez klientów handel najchętniej brałby sam schab? — to moje pytanie.

— *A żeby pan wiedział!* — zaperzają się oboje. — *Jakby świnia miała za przeproszeniem tylko d...! A już łopatki detal za bardzo nie chce, boczku, golonki — też nie.*

— Ja się nie dziwię, bo ludziska, ściskając w garści nieszczęsne kartki, wolą te mięsa, gdzie procent kości jest niewielki — mądruję się już na całego. — A może by tak te mniej chodliwe gatunki mięsa sprzedawać wreszcie bez kartek?

— *Słusznie* — potakują — *tylko że ta propozycja już nie do nas.*

Robi się późno, a zostało nam jeszcze sporo do obejrzenia. Więc szybko do „smalcowni". Kolejny wykład w wykonaniu szefa Jędrzejczaka:

— *W tych dwóch kotłach tłuszcz wykrojony warzymy, to jest odmulacz, to wirówka, obgotowany powtórnie tłuszcz zlewany jest do tych zbiorników, a w następnej sali trafia do kartonowych pudełek o wadze 12,5 kilograma. Dziennie schodzi zwykle około 12 ton. Po schłodzeniu smalec paczkujemy — to te dwie kolejne sale, ponad 6 ton dziennie wędruje do handlu. Resztę biorą piekarnie, „Polfa", trochę wojsko.*

Niewiele się dowiedziałem o budowanym magazynie niskich temperatur, gdzie można zamrażać mięso do minus 20 stopni Celsjusza, bo wyszliśmy na rampę zewnętrzną, gdzie ładowano samochody-chłodnie. W łoskocie metalowych pojemników nie sposób się porozumieć, więc tylko przewodnik krzyczy mi w ucho:

— Idziemy na eksport!

Dwa długie stoły. Po jednej stronie około czterdzieści par wprawionych rąk, po drugiej — młode twarze i ręce też nieco mniej wprawne.

— *Brzydałoby się jeszcze ze trzydzieści osób stałej obsady* — tłumaczy Lechosław Renn, starszy mistrz oddziału produkcji eksportowej. — *Ale i tak te 3—4 tony szynki dziennie się wykroi.*

Ci młodzi, to uczniowie trzeciej klasy Szkoły Przemysłu Spożywczego, pod wodzą Mariana Głusińskiego mają dziś praktyczne zajęcia.

Przekraczamy kolejne stalowe drzwi. To peklownia eksportowa — królestwo starszego mistrza dyplomowanego Tadeusza Zakrzewskiego. Znów przechodzę błyskawiczny kurs z zakresu selekcji mięśni, masowania, nastrzykiwania, leżakowania. Jeszcze puszkownia, zaledwie kilka osób przy automacie, który „Polish ham" zamienia w blaszankę. Szynka, po tych wszystkich operacjach, między nami — przypomina raczej zwykłe mielone... Ale pewnie się nie znam. Teraz puszki wędrują do pasteryzacji, na parę godzin, potem są jeszcze schładzane i — do magazynu. Jeszcze przebiegamy przez myjnię puszek, oglądamy maszynę do kodowania czyli wybijania w blasze daty, numeru zakładu i asortymentu, jeszcze magazyn puszek, magazyn przypraw, estetyczne szatnie, natryski, mała stołówka dla załogi. Uff, wystarczy na dziś...

— *To raptem 50 procent tego co robiliśmy i co nadal moglibyśmy, gdyby był surowiec, no i ludzi nie brakowało. W okresie przedświątecznym i tak wyhamowuję eksport do zera, szynkę sam przygotowuję i jako półfabrykat wysyłam do przetwórni. Bo wędzonek nie robimy, to już pan wie. Jedynie przed świętami zamiast konserw — robimy trochę białej kiełbasy* — wyjaśnia Jędrzejczak.

Dogania nas po drodze zastępca kierownika „jedynki" do spraw technicznych — Krzysztof Miecznikowski. Chwilę dyskutują o jakichś sprężarkach, betonowych wylewkach, a potem wspólnymi siłami udowadniają, że są praktycznie samowystarczalni. Przecież handlują wszystkim: sprzedają i skóry, i ogony, także nawóz i mierzwę. Wiem też, że działalność eksportowa to rodzaj bata nad głową: przyjeżdża mniej więcej raz w kwartale weterynarz-technolog, „*Amerykan*" — jak na niego mówią w rzeźni, toteż i proces technologiczny, i czystość muszą być na najwyższym poziomie. A robota tu specyficzna, co sam mogłem stwierdzić. Choćby rzeźnik, który zakłuwa (no tak się to zwie.) — może się tym też zająć do dwóch lat, nie dłużej.

Mają też w łódzkiej rzeźni „*komputerowego strażnika*". Każdy z opuszczających zakład wciska guzik. Zielone światełko — wychodzisz, czerwone — musisz poddać się kontroli. Nic to przyjemnego, choć i strażniczki przystojne widziałem. Komputer zaprogramowany — nic nie wymyślisz. Grzegorz Gałasiński wyszedł bez kłopotów, a przy mnie czerwone światło mruga.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Foto: Ryszard Łucyszyn

W pierwszą rocznicę śmierci.

Profesor Władysław Bortnowski

Pierwsze publikacje Władysława Bortnowskiego — młodszego asystenta Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu im. S. Batorego — ukazały się na łamach wileńskich gazet i czasopism równo pięćdziesiąt lat temu. Rocznicę tę obchodzimy niestety, już bez Jubilata. Nieubłagany los sprawił, że od roku nie ma Go wśród nas Odszedł nagle, choć był uosobieniem niezwykłej żywotności. Jego aktywny sposób bycia, gesty, pogodne usposobienie, charakterystyczny głos, żywe reakcje na wszystko to, co się wokół działo, zdradzały bowiem człowieka o wielkiej sile witalnej. Z tego też powodu w pamięci wielu znajomych utrwalił się w mundurze oficera Wojska Polskiego, w którym podobno znakomicie się prezentował, przekraczając po raz pierwszy próg Uniwersytetu Łódzkiego u schyłku lat czterdziestych.

Urodził się w Kisłowodzku (ZSRR) 21 lipca 1913 r. w rodzinie inteligenckiej. Po ukończeniu gimnazjum w Grodnie rozpoczął studia historyczne na Uniwersytecie Wileńskim (1931 r.). Myślał o karierze dziennikarza. I nie było to marzenie bez pokrycia — zawsze miał „lekkie" pióro. A przy tym był znakomitym mówcą. Niekiedy żartobliwie przypominał, że w czasach wileńskich zwyciężył w konkursie krasomówczym.

Okres studiów był dla Niego dość trudny ze względu na kłopoty materialne. W 1938 r. otrzymał jednak upragniony dyplom ukończenia Uniwersytetu i rozpoczął pracę zawodową na macierzystej uczelni. Zatrudniono Go tam w charakterze młodszego asystenta w Gabinecie Nauk Pomocniczych oraz w Oddziale Ochrony Zabytków Jednak wybuch II wojny światowej i zamknięcie Uniwersytetu Wileńskiego przerwały dopiero co rozpoczętą pracę naukową. Od tego czasu dzielił skomplikowane losy Wileńszczyzny. Kolejno przeżył tam okresy polski, litewski, radziecki, niemiecki i znów radziecki. Zarabiał, pracując jako robotnik, księgowy i ponownie robotnik. Kiedy nadeszło wyzwolenie spod okupacji hitlerowskiej, zaciągnął się na ochotnika do Ludowego Wojska Polskiego. Ukończył Szkołę Oficerską w Lublinie i podjął pracę w Głównym Zarządzie Politycznym Wojska Polskiego. Był m.in. kierownikiem drukarni wojskowej w Łodzi oraz redaktorem działu historycznego Wydawnictwa „Prasa Wojskowa".

W 1947 r. zgłosił się — jeszcze jako etatowy pracownik wojska — do swego wileńskiego Mistrza, prof. S. Zajączkowskiego, kierującego wtedy Katedrą Historii Średniowiecznej UŁ, i od 1 października 1947 roku został starszym asystentem Jednak brak zgody władz na demobilizację sprawił, że czasowo zrezygnował w 1951 r. z pracy na Uniwersytecie. Wrócił tu już jako major rezerwy. 1 stycznia 1953 r. wznowił działalność naukową na etacie adiunkta — początkowo w Katedrze Historii Polski, a następnie w Zakładzie Historii Powszechnej Nowożytnej i Najnowszej, kierowanym przez prof. J. Dutkiewicza. W 1958 r. obronił przygotowaną w jego zespole pracę kandydacką na temat: „Walka o cele powstania listopadowego (od 29 listopada 1830 r. do lutego 1831 r.)" W 1964 r. złożył kolokwium habilitacyjne i na podstawie dysertacji „Powstanie listopadowe w oczach Rosjan" uzyskał od 1 stycznia 1965 r. etat docenta. Umożliwiło Mu to objęcie kierownictwa Katedry Historii ZSRR.

21 maja 1973 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a 13 września 1979 r. — profesora zwyczajnego. Tak więc, mimo stosunkowo późnego startu, osiągnął w karierze naukowej najwyższe godności Z dniem 1 października 1983 r. przeszedł na zasłużoną emeryturę.

Oprócz kierowania Katedrą (od 1972 r. — Zakładem Historii Narodów ZSRR) pełnił — w trudnych nie tylko dla uczelni latach — także funkcje prodziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ (1968—1972) oraz dyrektora Instytutu Historii UŁ (1981—1983).

Dorobek naukowy Profesora obejmuje imponującą liczbę prawie 500 publikacji. Składają się nań zarówno opracowania monograficzne, wydawnictwa źródłowe, biografie, jak i bardzo liczne publikacje w prasie wojskowej i łódzkiej.

Kształcenie kadry rozpoczął wraz z uruchomieniem w roku akademickim 1964/1965 własnego seminarium magisterskiego. Jego tematyka dotyczyła dziejów Rosji i Związku Radzieckiego, historii wojskowości (zwłaszcza LWP) oraz stosunków polsko-radzieckich. Seminarium tym kierował także już po przejściu na emeryturę. Ogółem wypromował ponad 100 magistrów oraz ośmiu doktorów. Jeden z Jego uczniów został docentem Sześć prac magisterskich przygotowanych pod kierunkiem Profesora uzyskało nagrody w ogólnopolskim Konkursie im. A. Zawadzkiego, a dwie w Konkursie ZG TPPR. Nagrodzono w nich również aż czterech Jego doktorów. Jest w tych wyróżnieniach ogromna zasługa Mistrza, który nie szczędził czasu na cierpliwą pracę ze swymi podopiecznymi. Choć był człowiekiem w gruncie rzeczy liberalnym, potrafił taktownie i skutecznie, jak mało kto, mobilizować uczniów do efektywnego wysiłku, przypominając im, że teksty mają jeszcze „w kałamarzu".

Wyrazem uznania dla osiągnięć Profesora w pracy dydaktyczno-wychowawczej było przyznanie Mu w 1983 r. zaszczytnego tytułu „Zasłużony Nauczyciel PRL". Posiadał też „Medal Komisji Edukacji Narodowej".

Jest znamienne, że dobierając sobie kolejnych asystentów, czynił to po uprzedniej szczerej konsultacji z dotychczasowymi współpracownikami. Czuł taką potrzebę. Chciał pracować z zespołem ludzi, którzy nawzajem akceptują siebie. I myślę, że udawało Mu się to. Co ciekawe, zatrudniał tylko mężczyzn. Z nimi łatwiej było Mu osiągnąć porozumienie i rozmawiać na każdy temat. Z autentyczną dumą i zadowoleniem przyjmował nawet drobny sukces swoich uczniów Pomagał im w przełamaniu szlaków wydawniczych, w nawiązywaniu kontaktów naukowych w kraju i za granicą, w rozwiązywaniu problemów mieszkaniowych i bytowych. Cieszył się z ich społecznego zaangażowania i awansów organizacyjnych. W gorących chwilach kolejnych polskich zakrętów nie próbował sugerować nam decyzji i zachowań. Wierzył w nasz rozsądek. Po latach podziękował za to, że nie zawiódł się wtedy na nas.

Był Profesor człowiekiem aktywnie zaangażowanym społecznie i politycznie. Choć nie należał do partii, ściśle współpracował z Łódzkim Ośrodkiem Kształcenia Ideologicznego z Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych i Ośrodkiem Szkolenia Kadr Kierowniczych MSW. W październiku 1982 r. otrzymał indywidualną nagrodę „Trybuny Ludu" — „Za upowszechnianie ideologii partii i za wkład w rozwój nauk społecznych" Posiadał też medal pamiątkowy KC PZPR za działalność w upowszechnianiu marksizmu-leninizmu i polityki partii.

Pełnił odpowiedzialne funkcje w Zarządzie Łódzkim TPPR Był członkiem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, Polskiego Towarzystwa Historycznego, Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Związku Nauczycielstwa Polskiego. W 1982 r. został członkiem Tymczasowej Rady Wojewódzkiej PRON. W tym samym roku znalazł się też w Tymczasowym Zarządzie Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Autorów im. B. Prusa.

Był częstym gościem także w tzw. terenie: w Sieradzu, Wieluniu, Piotrkowie, Kaliszu, Tomaszowie Maz. Uczestniczył tam w sesjach naukowych i popularyzował wiedzę historyczną Wyrazem uznania dla Jego dorobku naukowego było zaproszenie Go w 1968 r. do ścisłej współpracy z Polską Akademią Nauk.

Za pracę naukową i działalność społeczną, za zasługi w okresie służby wojskowej uhonorowany został wieloma odznaczeniami państwowymi, licznymi medalami, odznakami i nagrodami. Posiadał m.in. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Bardzo satysfakcjonowały Go te różne dowody uznania. Myślę jednak, że największą dla Niego nagrodą jest nasza o Nim pamięć.

ALBIN GŁOWACKI

Mój subiektywny bilans.

Dziesięć książek 1988 roku

GRZEGORZ GAZDA

Od lat kilku, pod koniec każdego roku „Odgłosy" oddają mi kilkadziesiąt centymetrów kwadratowych na felieton o dziesięciu książkach, które wyraźniej zapisały się w pamięci czytelników. Także w mojej pamięci. Nie jest to zatem żadna lista rankingowa arcydzieł, ani zapis z ostatnich notowań giełdowych. Po prostu: dziesięć tytułów, które — z różnych zresztą powodów — zwróciły szczególniejszą uwagę czytającej publiczności, krytyków i księgarzy.

W istnej powodzi wspomnień, relacji z przeszłości i pamiętników, z którą w ostatnich latach mamy do czynienia w roku 1988 niekwestionowaną sensacją okazały się

„Dzienniki" Marii Dąbrowskiej

wydane całkiem porządnie przez „Czytelnika" w nakładzie 50-tysięcznym (5 tomów w cenie 5.000 zł). **Tadeusz Drewnowski,** edytor, autor wstępu i przypisów dokonał rzeczy arcytrudnej. Jego wybór (całość według woli autorki będzie mogła się ukazać dopiero w roku 2005) sprawia wrażenie niemal integralnej całości. Chwalę edytora, ale przecież te pięć tomów (bogato ilustrowanych dokumentalnymi zdjęciami) to literacki powrót Marii Dąbrowskiej, która już dawno przeszła do grona klasyków, czyli autorów wprawdzie cenionych, ale czytywanych rzadziej („znam, znam — przerabiałem w szkole") „Dzienniki" napisane wspaniałą polszczyzną przynoszą rozległą panoramę czasów, ludzi i spraw z półwiecza naszej historii (1914—1965) dając jednocześnie obraz osobowości na miarę pokolenia, któremu Maria Dąbrowska kreśliła główne kierunki

Pamiętnikiem choć zbeletryzowanym i literacko wysmakowanym można nazwać też sygnowaną przez „Czytelnika" książkę

„Zostało z uczty bogów" Igora Newerlego

wydaną w nakładzie 60 tys. (cena 850 zł). I ten autor, podobnie jak Maria Dąbrowska, miał czytelniczo istnieć w czytankach wypisach szkolnych. Oklepane na wszystkie strony utwory „Chłopiec z Salskich Stepów" „Pamiątka z Celulozy" zepchnęły Igora Newerlego na literacki margines. Dopiero ta książka następca (choć wydana wcześniej) czyli „Wzgórze błękitnego snu" przemieszczają ich autora w hierarchiach współczesnej literatury polskiej. A to dzięki prawdziwie poruszającej tonacji nieobecnego już dziś prawie humanizmu oraz egzystencjalnej refleksji, w której jednostkowy los staje się metaforą historii całych zbiorowości. Szkoda, że ta najważniejsza w dorobku pisarza książka musiała czekać na swój czas, a jej autor nie może cieszyć się jej niekwestionowanym sukcesem.

Też przypomnieniem przeszłości, tyle że wspartym arcysolidną pracą historycznoliteracką jest sześciusetstronicowa książka

„Pieśń niepodległa" Lesława W. Bartelskiego

wydana przez krakowskie „Wydawnictwo Literackie" (nakład 10 tysięcy — zniknął w parę godzin, cena 750 zł). Autor, świadek a potem niestrudzony kronikarz życia literackiego czasów okupacji niemieckiej napisał tym razem swoje opus magnum: niezwykle szczegółowy opis wydarzeń w kręgu kultury literackiej lat 1939—1945 (książka, którą tu przedstawiam to tom pierwszy, dotyczy lat 1939—1942, drugi ukaże się niebawem). „Jest to w jakiejś mierze — rekomenduje dzieło **Lesława W. Bartelskiego** wydawca — wielka księga losów pisarzy i zarazem księga strat literatury polskiej, jaka do tej pory nie została jeszcze napisana". Emocjonalna — bym tak powiedział — wartość tej książki polega jeszcze na tym, iż udało się Bartelskiemu złączyć w jedność ton subiektywnego świadectwa (ja narracyjne) z punktu widzenia kronikarza-historyka, który nie chce uronić nawet najdrobniejszego faktu z tamtych lat.

I jeszcze jeden tytuł z kręgu prozy inspirowanej autobiograficznymi doświadczeniami. Powieść niezwykła i porażająca prawdą przeżyć, naturalistycznym ekshibicjonizmem i literacką urodą, czyli

„Zbrodnia i..." Jerzego Trębickiego

opublikowana w Krakowie przez „Wydawnictwo Literackie" (nakład 40 tys., cena 680 zł). Gdyby szukać literackich antenatów dla tego autora (Trębicki to pseudonim) to trzeba byłoby podać nazwisko i **Fiodora Dostojewskiego,** i **Jeana Geneta,** ale też **Mariana Czuchnowskiego** („Cynk") i **Sergiusza Piaseckiego.** Parantele to nierównoznaczne. Zresztą nie o nie chodzi. Trębicki napisał „swoją" książkę, bo pisał ją swoim życiem i swoją tragedią, małością i wielkością. Poniżeniem aż do ludzkich granic i ponadludzkim wzlotem. A poza tym potrafił dokumentalny niemal zapis wznieść na poziom prawdziwie literackiego osiągnięcia. Oprócz opinii jednoznacznie pochwalnych **Romana Bratnego** (jego „Rok w trumnie" wydaje się pomysłem przejętym z losów bohatera „Zbrodni i..") nie widziałem żadnych recenzji. Boję się więc, że książka pogrążona zostanie w aurze obyczajowego skandalu.

Sensacją spóźnioną o całe dziesięciolecia z winy naszych kulturalnych polityków, ale jednak sensacją, bo ma działania demitologizacyjne jest książka

„Rok 1984" George'a Orwella

wydana przez PIW (nakład 50 tys., cena 600 zł). Powieść napisana w roku 1949, mająca być w intencji futurologiczną, a jednocześnie satyryczną wizją wszechpotężnej machiny państwowej, na skutek strachu stalinowskich decydentów stała się metaforą konkretnych spraw i konkretnych czasów. Sam Orwell, gdyby dożył tamtych czasów, zapewne nie mógłby wyjść z zadziwienia (zmarł w 1950). Książka zniknęła z księgarń tak jak zniknął jeszcze jeden Czarny Lud, przed którym drżeli cenzorzy połowy Europy. Aby być w zgodzie z samym sobą należy dodać, iż w międzyczasie znika świat, który tak nieszczególnie — a przez całe lata — z wizją Orwella się kojarzył.

Inną książką, która też czekała na właściwy czas jest

„Piłsudski" Andrzeja Garlickiego

wydany przez S. W. „Czytelnik" w nakładzie 50 tys. egzemplarzy, i w cenie 2.700 zł. Cieszy ten rocznicowy prezent, choć jednocześnie rozczarowuje swoją wtórnością wobec poprzednich książek Andrzeja Garlickiego („U źródeł obozu belwederskiego", „Przewrót majowy", „Od Brzescia do maja" etc.). Ale jak tamte książki jeszcze tu i ówdzie leżą, nawet na ladach z przeceną, tak nazwisko Komendanta wywołało niesłychany rum na księgarnie. Zadowolony jest więc autor i wydawca Sądzę, że ostatecznie zadowolony będzie i czytelnik, zwłaszcza ten, który myśli o Marszałku bez zbytnich emocji. Andrzej Garlicki bowiem, choć nie odżegnuje się od ujęć subiektywnych, zrekonstruował czasy II Rzeczypospolitej jak na historyka przystało.

Teraz na tej liście chcę zaproponować dwie książki poetyckie. Pierwsza to opasły, nobliwy i imponujący tom

„Rimbaud, Apollinaire i inni" Artura Międzyrzeckiego

czyli znakomity wybór przekładów poetyckich z liryki francuskiej, angielskiej, hiszpańskiej, włoskiej i rosyjskiej („Czytelnik", nakład 10 tys., cena 1500 zł). O artystycznych wartościach tych przekładów niechaj dyskutują specjaliści. Dla zwykłego czytelnika zainteresowanego poezją propozycja Artura Międzyrzeckiego ma walor niepodważalny i oczywisty: to co obce ze względu na język staje się swojskie, wspólne, tak jak wspólny jest nasz europejski dom (przynajmniej w sferze kultury) Ten ogromny tom jest równocześnie monumentem na cześć samego Międzyrzeckiego który przez całe życie — równolegle do własnej twórczości — przyswajał w polszczyźnie najważniejsze, a jednocześnie najtrudniejsze dzieła poetyckie całej Europy.

Druga książka poetycka, którą mimo wszystko (o tym za chwilę) tu chcę wymienić nobliwa nie jest. Wręcz przeciwnie.

„Od Staffa do Wojaczka" B. Drozdowskiego i B. Urbankowskiego

to antologia poezji polskiej z lat 1939—1985 („Wydawnictwo Łódzkie", nakład 30 tysięcy, cena za 2 tomy 2000 zł). Antologie zawsze są wydarzeniem (stąd i ta na mojej liście), choć rzadko wydarzeniem jednoznacznie przyjmowanym. Zwłaszcza jeśli próbują ogarnąć twórczość autorów jeszcze żyjących. Ileż w takiej antologii powodów do ansów, żalów, a przecież i inwektyw Tym bardziej, że jej autorami są dwie postacie, bez których — od wielu lat — niewazna jest każda polemika, literacka dyskusja i felietonowa napaść. Nie miejsce tu na recenzję. Tak czy tak, antologii wróżę sukces w księgarniach. A co się będzie działo w prasie literackiej wokół niej to strach pomyśleć! Czyli, hejże panowie na antologistów!

Kończą dziesiątkę dwie pozycje encyklopedyczno-słownikowe. Pierwsza to

„Słownik terminów literackich"

Michała Głowińskiego, Teresy Kostkiewiczowej, Aleksandry Okopień-Sławińskiej i Janusza Sławińskiego („Ossolineum", nakład 100 tys., cena 2400 zł). Wprawdzie to drugie wydanie i rzecz — wydawałoby się — dla wtajemniczonych, jednak uznaję redakcję „Słownika" (poszerzoną i poprawioną) za wydarzenie. A to z wielu powodów. Decyduje o tym m. in. ranga poznawcza, także bardzo wysoka w porównaniu z podobnymi wydawnictwami na świecie. Także — by tak rzec — koherencja metodologiczna tego dzieła, która utwierdza w powszechnej świadomości model poznania i rozumienia literatury, jaki propagują w swoich pracach i książkach autorzy „Słownika" od wielu lat. Mówię o powszechnej świadomości bez zająknięcia, bo też stutysięczny nakład zniknął z księgarń w ciągu dosłownie kilku dni.

Druga pozycja encyklopedyczna będzie zapewne dla czytelników tego tekstu zaskoczeniem. Bo jest to radziecka książka zbiorowa zatytułowana

„Mify narodow mira. Encykłopiedia"

która była obecna na naszym rynku księgarskim (wydana w **Moskwie** przez wydawnictwo „Sowietskaja Encykłopiedia" w nakładzie 152 tys.) w empikach i księgarniach specjalistycznych. Dwa obszerne (po 700 stron) tomy in quarto w znakomitym opracowaniu najwybitniejszych znawców przedmiotu w ZSRR. A kształt edytorski tych tomów! Istne marzenie miłośników pięknej książki. Jakie ilustracje! Po prostu arcydzieło kunsztu encyklopedycznego i wydawniczego. Niedoścignły wzór dla naszych oficyn wydawniczych. Drukowano te dwa tomy wprawdzie w Finlandii, ale fakt ten nie umniejsza w żaden sposób moich pochwał.

Na tym kończę. A wszystkim tym, którzy rozglądając się po regałach swoich bibliotek widzą tytuły, o jakich napisałem, gratuluję i życzę w roku 1989 książek jeszcze bardziej satysfakcjonujących.

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

— Tak, w Teatrze Rapsodycznym spotkaliśmy się po raz pierwszy i jak na klasyczny związek uczuciowy przystało, wszystko zaczęło się od wielkiej nienawiści, która rychło ustąpiła miejsca wielkiej miłości. Od tamtej pory razem wędrujemy przez różne sceny w Polsce, ale zawsze jako oddzielne, niezależne od siebie firmy: Voit i Horawianka. Nigdy nas nie łączono przy angażowaniu do teatru, jako parę małżeńską, ale właśnie jako osobnych aktorów grających w tym samym zespole aktorskim.

— W przeciwieństwie do innych par aktorskich dość często grała pani z mężem na scenie i w filmie. Czy to nie przeszkadzało pani?

— Widzi pani, tak się potoczyły nasze losy, że my przez kilka lat nie tylko braliśmy udział w tych samych przedstawieniach, ale wręcz graliśmy pary filmowe i teatralne. Zawsze lubiliśmy grać wspólnie. Nasza współpraca zaczęła się od romantycznego spektaklu „Romeo i Julia"... Pomagaliśmy sobie wzajemnie w pracy zawodowej i tak pozostało do dzisiaj, choć mamy znacznie mniej okazji do wspólnych występów... Często w domu prowadzimy ożywione dyskusje wokół analizy postaci, ucząc się na pamięć roli „podrzucamy" sobie tekst. To cenna pomoc ułatwiająca życie zawodowe. W końcu jesteśmy ze sobą trzydzieści parę lat. Mąż jest dla mnie przyjacielem, kochankiem, synem, bratem. Wypełnia mi sobą cały mój świat. Wszystko w nim — jest mi najbliższe i najdroższe. Nie ma u nas rywalizacji zawodowej, tak powszechnej w aktorskich małżeństwach. Dla mnie osobiście najważniejszy jest sukces mojego męża, na własnym mniej mi zależy...

— Ale spróbujmy porozmawiać jednak o pani drodze artystycznej. Nie była ona usłana różami. Maciej Maniewski w lipcowym numerze „Filmu", w artykule: „Barbara Horawianka: Realizm i niedopowiedzenia", skrupulatnie analizuje, jak na pani życiu filmowym zaciążyło niedobre fatum. Co pani na to?

— Zupełnie przypadkowo w czasie urlopu przeczytałam ten tekst i doprawdy byłam wielce wzruszona jego treścią, a zarazem zdziwiona, że kogoś mogły zainteresować moje losy, zwłaszcza, że autora nie znam i dużą niespodzianką dla mnie okazało się, że tak wiele poświęcił mi uwagi. Tam cała moja droga artystyczna opisana jest z taką drobiazgowością, że sama lepiej bym tego nie zrobiła choćby z prostej przyczyny — tak wiele zdarzeń zatarło się w mojej pamięci. Dopiero po chwili refleksji sama z przerażeniem stwierdziłam, że tam jest napisana szczera prawda. Faktycznie mając dobre dane wyjściowe zabrakło mi łutu szczęścia...

— W teatrze dobra passa dopisywała. Spodziewam się, że aktorstwo teatralne jest pani bliższe?

— O tak. Teatr jest dla mnie najwspanialszy i jedyny. Uwielbiam bezpośrednią łączność z publicznością, choć to może trudniejsze niż praca przed kamerą, a dzisiaj szczególnie trudne. Obecnie stawia się na młode pokolenie. Nam dojrzałym aktorkom trudniej jest wpasować się w jakiś spektakl.

— Mam ochotę zapytać pania o to, czego nie ujął pan Maniewski w swojej analizie o pani — odnoszę wrażenie, że niezależnie od różnych ekranowych wcieleń, najczęściej była pani obsadzana w rolach matek. Czy nie odczuwa pani zmęczenia monotonnością propozycji filmowych, choć trzeba oddać, że matki w pani wykonaniu są bardzo zróżnicowane, począwszy od ciepłej w „Kamiennym niebie" do zimnej i nieprzyjemnej matki Ani w serialu telewizyjnym „Daleko od szosy"...

— Tak, to prawda grałam niesamowita ilość matek. Doszło u mnie wręcz do obsesji, że kolejna propozycja może okazać się rola matki, na samą myśl drże... Wydaje mi się, że już mi brak środków wyrazu do zagrania kolejnej krzewicielki ogniska domowego. Mam po prostu dość... Kiedyś przyszedł mi do głowy pomysł, żeby zorganizować spotkanie ze wszystkimi moimi dziećmi filmowymi. Gdyby mi w tym pomyśle pomógł jakiś reżyser, to kto wie, może takie telewizyjne spotkanie byłoby ciekawe...

— Czy ostatnia propozycja filmowa Juliusza Dziedziny do filmu „Dziewczyna z Mazur" przełamała stereotyp postrzegania pani?

— Propozycję Juliusza, naszego przyjaciela, przyjęłam z wielką radością. Choć postać epizodyczna, to w końcu odmienna w swym charakterze. Gram właścicielkę szalenie ekskluzywnego lokalu. Osobę bardzo zadbaną, kobietę interesu, nie posiadającą dzieci. Taką trochę groźną, trochę przeboiową...

— Ale to znowu nie takie nowe dla pani doświadczenie zawodowe. Widzieliśmy już panią w rolach kobiet zasadniczych, twardych, pozbawionych uczuć, a nawet okrutnych („Krzyżacy" bezwzględna służka zakonna dręcząca Jurandównę, „Jeśli się odnajdziemy" — kostyczna pani prof. Kowalewska, „Rycerze i rabusie" — przebiegła intrygantka i morderczyni, „Stawka większa niż życie" — Anne-Marie Elken — agentka amerykańskiego wywiadu). Do jakich ról pani sama czuje się bardziej predestynowana?

— W tej chwili wydaje mi się, że do ról charakterystycznych, wręcz komediowych. Choć może nie posiadam vis comicy usprawiedliwiającej moje ciągotki.

— A czy jest pani przekonana, że aktor musi mieć takie cechy zapisane w swojej twarzy, posturze... Może warunki wyzwalające śmieszność sytuacji wystarczą?

— Może, nie wiem do końca jak to jest. Znajomi często mi powtarzają, że jestem śmieszna. Mąż także twierdzi, że go rozśmieszam — ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Skąd mam mieć pewność, że publiczność także potrafię bawić ale chciałabym choćby raz spróbować.

— Zatem życzę powodzenia i dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

„Czy jestem śmieszna?"

Rozmowa z BARBARĄ HORAWIANKĄ.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

5 stycznia 1989 r. — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

12 stycznia 1989 r. — EUGENIUSZ IWANICKI — godzina 10—15.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU Z DNIA 8 GRUDNIA 1988 R.

Nasza stała Czytelniczka, pani **Izabela Pokorska**, jest zdania, że dziennikarze sportowi wyjeżdżają za granicę, krytykują zawodników, nigdy natomiast nie uderzyli się w pierś i nie przyznali, że to dzięki sportowcom mogą zwiedzać świat.

Pani Pokorska proponuje także, aby przy budowie nowych domów i osiedli tworzyć społeczne komisje złożone z fachowców, np. emerytów, którzy nie dopuszczaliby do fuszerki i narodzin bubli budowlanych. A skoro już o budownictwie mowa, to czemu Łódź staje się taką betonową pustynią, pozbawioną zieleni i świeżego powietrza, skoro w innych miastach wraz z budową domów sadzi się krzewy i drzewa?

Pada śnieg, święta coraz bliżej, a w domu płacz. Nasza Czytelniczka, emerytka, która wyrzekając się wszystkiego wykształciła córki na nauczycielki, jest załamana i rozgoryczona. Jeden z zięciów pije, znęca się nad dziećmi i psem. A pracuje w Śródmieściu, w służbie, której funkcjonariusze powinni święcić przykładem. Czy nie ma nikogo, kto by sprawował kontrole w zakładach pracy, aby ulżyć żonom, matkom i dzieciom?

Pan **Stanisław Olejnik** z ul. Północnej 13, emeryt l. 78, stwierdza, że po jego interwencji na łamach „Odgłosów" w sprawie remontu domu, przyszło dwóch fachowców z tarcicą, podstemplowało schody, a budynek, któremu grozi śmierć techniczna, nadal pęka i wali się, grożąc śmiercią lokatorom.

Pani **Kazimierska**, wicedyrektor Liceum im. S. Staszica w Zgierzu, prosi o sprostowanie. Chodzi o to, że w kronice kulturalnej, pomieszczonej w „Odgłosach", które ukazały się 8. XII, podano, iż 4. XII. odbyła się uroczystość 70-lecia liceum, na której między innymi odznaczono zasłużonych pedagogów. Wszystko się zgadza, poza tym, że uroczystość miała odbyć się dopiero 10 grudnia. Przepraszamy i życzymy wszystkiego najlepszego.

Dziesięcioletnią **Bożenką Mamełko**, sierotą, opiekuje się ciotka, pani **Pawłowska**. Dziecko jest znerwicowane, nie pozwala się ubrać ani umyć, dostaje drgawek. Uczy się w Państwowym Domu Dziecka przy ul. Parzeczewskiej w Zgierzu. Kiedy opiekunka zwróciła się do lekarza PDD o poradę w sprawie zdrowia dziewczynki, została — a stało się to 8. XII w godz. 13—14 — zbesztana przez lekarza i wyrzucona za drzwi. Pani Pawłowska ma 59 lat i uważa, że nie zasługuje na takie traktowanie.

Obchodzimy uroczyście 40-lecie Łódzkiej Szkoły Filmowej, a p. **Rajmund Drzazgowski**, jak zwykle wrażliwy na skrzeczącą rzeczywistość, dokłada łyżkę dziegciu do beczki miodu. Denerwuje go fakt, że tablice ku pamięci aktora W. Pilarskiego na rogu Bazarowej i Zachodniej umieszczono akurat nad trawnikiem dla psów, choć można było w lepszym miejscu. A profesorowie obchodzącej jubileusz uczelni, Hanna i Witold Małkowscy zajmowali kiedyś mieszkanie p. Drzazgowskiego, lecz o nich jakby zapomniano.

Jedna z Czytelniczek wytyka nam błąd gramatyczny, popełniony w artykule „Bibliotekarz na telefon" z poprzedniego numeru. Oczywiście, mówimy i piszemy o książkach Rodziewiczówny, a nie Rodziewiczównej. Dziękujemy za uwagę.

Ojciec wychowujący samotnie syna (prosi o dyskrecję) zwraca z kolei uwagę na problem, który mógłby podjąć dociekliwy publicysta. Chodzi o to, że w szkole podstawowej rodzice, często w sposób napastliwy, wymuszają na nauczycielach zawyżanie ocen, a tragedia zaczyna się przy egzaminach do szkół średnich. Potem zaś, gdy wyraźna jest już „druga jakość", szerzy się epidemia korepetycji, młodzież jest przemęczona, znerwicowana, a rodzice płacą za to w przenośni i dosłownie.

Pan **Tomasz Nowicki** po 2-letnim stażu przywiózł z Francji dewizy, które wpłacił na konto. Ostatnio dowiedział się, że „Baltona" i „Pewex" nie przyjmują monet 10-frankowych, bo podobno trafiają się fałszywe. W bankach potwierdzono ten fakt i jedynie droga wyjątku p. Nowickiemu wymieniono taką monetę. Ale nie było żadnej informacji w prasie ani w radiu i telewizji i wielu obywateli jest tym zaskoczonych, a częstokroć i stratnych, bo każdy trzyma przecież parę drobnych monet w kieszeni.

Pani **Walczak** z Pabianic pyta, czy będzie drukowana druga część powieści Andrzeja Brychta „Azyl polityczny". Tak będzie. Autor obiecał, że za kilka miesięcy dostarczy dalszy ciąg przygód Jana Ducha, tym razem w Kanadzie.

Problem poruszony przez pana **Jana Jarotę** zostanie przedstawiony w odrębnej publikacji. Podobnie potraktowana zostanie sprawa p. **Audrzeja Mirysa**.

Blok rotacyjny nr 404 przy ul. Czernika straszy. Na koszarowych korytarzach pali się dniem i nocą po sześnaście żarówek, a na półpiętrach ciemności jak w kieszeni u kominiarza. Dozorca mieszka w tym samym bloku, ale jest tak, jakby go wcale nie było. Gdy skradziono drzwi od piwnicy, lokatorom przemarzły przetwory. Pania **Jadwigę Antosik** napadło dwóch zboczeńców, którzy urządzili sobie w piwnicy melinę. Teraz jest otwarta krata, bo lokatorzy nie mają do niej kluczy. Kiedy zalało piwnice, przyszli elektrycy i poradzili zrobić dziurkę w posadzce, to woda zejdzie. Tylko że ona leje się z nieszczelnej rury. A w kiosku na parterze kupuje się brzozówkę i chleje na miejscu. Jeden facet już się w piwnicy powiesił, ale spółdzielnia „Bawełna" nie partycypowała w pogrzebie.

Wesołych Świąt!

RYSZARD BINKOWSKI

Mówi: BEATA BĘDZIŃSKA — lekarz specjalista bariatrii, prowadząca w Łodzi gabinet kosmetyki lekarskiej „SABA".

— Ile lat prowadzi pani działalność lekarską w zakresie odchudzania ludzi z nadwagą?

— Siedem lat. Myśl o zajęciu się chorobą otyłości i jej powikłaniami zrodziła się w chwili gdy jako lekarz medycyny pracy obserwowałam chore kobiety a przy tym jeszcze bardzo otyłe. Wiedziałam że jeśli schudną choćby kilka kilogramów, to ich samopoczucie i stan zdrowia znacznie się poprawia.

— Pierwszy duży sukces?

— Odchudzenie w ciągu jednego roku młodego chłopca-ucznia o 110 kg.

— A następne?

— Ostatnio odchudziłam najcięższego Polaka, taksówkarza z Płocka z 249 kg do 170 kg. Planuje odchudzić go do 99,5 kg.

— Dlaczego zawieszono działalność „Saby"?

— Zawieszenie działalności było przymusowe. Brakowało leku o nazwie „Avipron", który zaprzestała produkować Spółdzielnia „POLON" w Łodzi.

— Co na to dyrekcja „Polonu"?

— Pani prezes uważa, że silna wola ludzi może zastąpić „Avipron", a otyłość jest drobną sprawą wobec ważniejszych schorzeń. Ponadto remont „Polonu" był konieczny co było znakomitym pretekstem do zrezygnowania z niewygodnej dla zakładu produkcji leku. Od niedawna myśli się o poszukiwaniu nowego producenta. Wszyscy go szukają i nikt nie może znaleźć. A ludzie czekają i chorują.

— Wznowiła jednak pani działalność?

— Nie poddałam się. Pracowałam nad skomponowaniem nowych składników i wymyśliłam na czas nieobecności „Avipronu" krople ziołowe które hamują łaknienie, przygotowałam do pracy koleżankę lekarkę, bo sama nie dałabym rady w przyjmowaniu wszystkich pacjentów. Można telefonować do mojego gabinetu w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 18 pod nr 33-54-61 i zapisać się na wizytę.

— Problem otyłości wzrasta czy maleje?

— Wzrasta i to z miesiąca na miesiąc na całym świecie. Otyłość jest chorobą cywilizacji i chociaż sporo na ten temat się mówi, to jemy bardziej nieracjonalnie. Coraz więcej osób porusza się samochodami, a za kierownicą szybko się tyje.

— Czy jest pani w stanie odchudzić każdego?

— Tak jeśli nie będzie posiadał zaawansowanych schorzeń organicznych spowodowanych otyłością. Kuracja odchudzająca wbrew pozorom obciąża organizm w czasie jej trwania, dlatego musi być przemyślana i stosowana ze wszystkimi szczegółami zaleceń.

— Czy pani lubi eksperymenty i innowacje?

— Wypracowane metody dały znakomite efekty, jednak wprowadzam także zmiany. Obecnie konieczność zmusiła mnie do sporej rekonstrukcji zaleconych kuracji i chyba z wynikami nie gorszymi niż do tej pory. Zobaczymy.

— A kiedy metody są bezsilne?

— Tylko wtedy, gdy pacjent jest nieposłuszny i nie stosuje się do moich zaleceń.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

A może do kina?

Proponujemy dziś najnowszy film **Wojciecha J. Hasa pt. „Niezwykła podróż Baltazara Kobera"**, oparty na powieści **Frederica Tristana**, rozgrywającej się w XVI-wiecznej Europie. Bohaterem filmu jest 16-letni Baltazar, który po śmierci ojca opuszcza rodzinne strony w poszukiwaniu prawdy i sensu życia. Są w tej bajce o wróżbach liczne przygody — spiski, walki, ucieczki, a cała podróż bohatera przez Niebo i Piekło prowadzi do tego, by na końcu spotkać się ze śmiercią i... miłością.

Obok aktorów polskich w filmie występują znani aktorzy francuscy. Zdjęcia realizowano w Czechosłowacji, Wenecji i okolicach Zakopanego.

O F E R T A

ZAKŁADY SPRZĘTU PRZECIWPOŻAROWEGO w Łodzi, ul. Wólczańska 241

ogłaszają

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na

wykonanie detali z rury aluminiowej Φ 70 × 17,5 (kształt kuli)

— ilość roczna: 30 tys. sztuk.

Wymagana obróbka: frezowanie, toczenie, polerowanie.
Zakład dysponuje dokumentacją konstrukcyjną i rysunkami.
Zakład zabezpiecza materiał tj. rurę aluminiową Φ 70 × 17,5.
Oferty zostaną otwarte 14 dnia od momentu ukazania się ogłoszenia.
Bliższych informacji udziela Dział Zaopatrzenia: tel. 84-38-91, 84-73-94 lub 81-01-40 w. 22.
Zastrzegamy prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn.

3430/K

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

· polemiki · listy · opinie · polemiki · listy · opinie ·

NIEPOROZUMIENIA WOKÓŁ POLITYKI SOCJALNEJ PAŃSTWA

BRONIĘ SWEGO STANOWISKA

Szanowny panie Redaktorze Dyżurny!!!

Jak sądzę — nie odmówi mi pan prawa do obrony, a to w związku z pańskim komentarzem do mojej korespondencji pt. „Mity", zamieszczonej w „Odgłosach" z 5 listopada 1988 r. Otóż — nie zgadza się pan, a tym samym zarzuca mi, iż błędnie wywodzę o nadmiernej *„opiekuńczości"* naszego państwa, po wtóre zaś — że powinienem wybrać w czyim imieniu występuję: społeczeństwa czy przeciętnego człowieka. A najlepiej — mówi pan — występować w imieniu własnym.

Co do pierwszego zarzutu: powołując się na *„wcale nie socjalistyczne państwa"*, które dają swoim *„potrzebującym"* obywatelom więcej niż nasze, pomija pan, że *„potrzebujących"* jest zwykle dużo, szczególnie gdy pomyśleć o subiektywnej ocenie potrzeb. Mnie zaś chodzi o to, czy u nas *„potrzebujący"* rzeczywiście i w każdym przypadku zasłużyli na to, czego żądają i co otrzymują? I mam wątpliwości, bo m.in. nie gdzie indziej jak w „Odgłosach" publikuje się materiały, z których wynika, że z jednej strony rzeczywiście potrzebujący nie otrzymują nic lub mało, z drugiej zaś sfora formalnie uprawnionych wykorzystuje sytuacje jak tylko się da, pazerność i możliwość nadużyć biorą górę nad elementarną uczciwością. Przypomnijmy — choć to już oklepane — wyjazdy zagraniczne „na handel" w czasie pobierania zasiłków chorobowych, „opłacalność" niepracowania w ogóle kosztem pobierania jakichkolwiek świadczeń socjalnych i „kombinowania" na naszym niestabilnym rynku. Wcale nie dlatego, aby konkretna osoba była naprawdę niezdolna do wykonywania jakiejkolwiek pracy! Powie pan może, że szczytna teoria i podła praktyka to dwie różne rzeczy? Pewno tak. Gdy jednak słucha się obiegowych opinii o zachodnim raju (gdzie wkład własny pracy się ceni i manna z nieba nie spada) rad bym widzieć choć część tych naszych *„podopiecznych"* w tamtych warunkach. A nie czekających na przekaz pocztowy, choć sił starcza, aby godzinami wystawać po deficytowe towary... I niech mi nikt nie wmawia, że tylko i wyłącznie dlatego, że *„nie da się wyżyć"!* Bo szczególnie ostatnio nikt nikomu nie wzbrania jakiegokolwiek, choćby częściowego, zajęcia zarobkowego, a rąk do pracy brakuje.

I to miałem na myśli. A co do zarzutu drugiego? Aluzję pojąłem. Nie rozumiem jednak, czy przekraczałoby możliwości normalnego rozumienia, że wypowiadałem się we własnym imieniu, jako przeciętny człowiek, będący członkiem społeczeństwa?

Jeśli wyraziłem w swej wypowiedzi przejawy znużenia od lat powtarzającymi się stereotypami, sytuacjami itp. mitami, to nie zrobiłem nic innego jak szereg autorów również drukowanych w „Odgłosach". Całkiem zacne nazwiska! Nie oznacza to oczywiście, że tłumaczę się z plagiatu. Mogę się natomiast przyznać do jednego: do zbyt mentorskiego tonu wypowiedzi. Pisałem to jednak w czasie, gdy była tylko mowa o „okrągłym stole" a nie znaliśmy jeszcze ekipy M. F. Rakowskiego i jej posunięć, natomiast już z różnych względów zaczęło się rysować, że „okrągły stół" staje się nieco kwadratowy. I stąd mój niepokój.

Upływ czasu od wysłania korespondencji do jej wydrukowania (*jak ten czas ostatnio szybko biegnie!*) sprawił, że pouczenia Redaktora Dyżurnego wydają się na pozór całkiem zasadne, ja zaś pretenduję do miana wroga osiągnięć socjalnych PRL lub poststalinowskiego „betonu" — jak kto woli. Może Redaktor Dyżurny też zdecydowałby się na coś, sugerując opisane wyżej zarzuty.

Serdecznie pozdrawiam
W. AFELT

MITY

Z ciekawością przeczytałem list W. Afelta poruszający mity ostatnich lat. Z uwagą odczytałem też wypowiedź redakcji wyrażającą swoją opinię na temat listu. Zastanowiła mnie wypowiedź określająca słusznie jeden z okresów naszej historii: **„Państwo nasze jest niestety nadmiernie opiekuńcze, a owa „opieka" ma coś wspólnego z rzeczywistymi zasługami „podopiecznych"**

Wydaje mi się, że w tym zdaniu jest ukryta bardzo głęboka myśl.

Od wielu lat obserwuję pewną rodzinę zamieszkałą w tym samym co i ja domu. Najstarsza córka tej rodziny rozpoczęła pracę (wywodzącą się z nazwy starego greckiego miasta portowego). Rodzina nie orze, nie sieje, a zbiera plony. I to bardzo prostym sposobem „na dziecko". Na czym polega ten sposób?

Matka rodu co najmniej raz na rok wydaje na świat potomka, nie troszcząc się o to, kto jest jego ojcem i czy da się go wychować? Zresztą w tym zamiarze utwierdza ją polityka organów państwowych, które czynią wszystko co w ich mocy, aby tego rodzaju polityka nie ucierpiała. Nie wnikają w to, że rodzice owych dzieci nie interesują się ich wychowaniem i zabezpieczeniem dalszej egzystencji, cedując te „drobnostki" na państwo.

Sposoby utrzymywania się „na dziecko" zataczają coraz szersze kręgi, coraz bardziej szerzą się w naszym społeczeństwie. Świadczą o tym przykłady. Pewna pani z instytucji naukowej, której sprzykrzyła się monotonna praca postarała się o „przychówek". W następnych latach uzyskała utrzymanie przysługujące samotnym matkom.

Rzecz w tym, że ojciec dziecka, utrzymujący ową panią, ma dość duży sad w pobliżu dużego miasta wojewódzkiego i traktuje owo „utrzymanie" jako dotacje do swojego przedsiębiorstwa. Prosty ten przykład wskazuje na to, że polityka socjalna w naszym kraju nie jest całkowicie uregulowana, a jej ustawy są zbyt często omijane przez niektóre warstwy społeczeństwa.

Zachodzi tutaj pytanie. Czy państwo, tzn. my wszyscy, mamy się przyczynić do wychowywania rodzin „niebieskich ptaków" i tych „urodzonych w niedzielę"? Czy ustawodawstwo naszego kraju musi koniecznie własnymi decyzjami podtrzymywać ten stan rzeczy? Wydaje się, że nie, że wreszcie muszą nastąpić jakieś definitywne cięcia potrafiące uzdrowić chorą politykę socjalną.

Społecznym obowiązkiem jest pomaganie rodzinom, które z rozmaitych przyczyn popadły w nędzę, ale nie powinno to dotyczyć ludzi, którzy mówiąc o swojej „nędzy" starają się z niej czerpać jak najwięcej korzyści.

Ideą dużej części naszego społeczeństwa jest przeświadczenie, że za własne posunięcia i „grzechy" powinno przejąć odpowiedzialność państwo. Jest to choroba, którą należy zwalczać wszelkimi posiadanymi środkami. W przeciwnym wypadku staniemy się krajem, którego „obowiązkiem" będzie utrzymywanie owoców beztroski ludzi nie zasługujących na żadne poparcie.

MIECZYSŁAW KOZAK

Nieporozumienie wzięło się stąd, że zupełnie co innego rozumiemy pod pojęciem funkcji opiekuńczych państwa — inaczej: polityki socjalnej. Autorzy obu listów pod tym pojęciem rozumieją stosunek do zjawisk z dziedziny patologii społecznej. Dla mnie natomiast polityka socjalna państwa zawiera się w realizacji konstytucyjnych postanowień, jak zapewnienie wszystkim obywatelom Polski prawa do korzystania z bezpłatnego nauczania w szkołach wszystkich stopni, opieki lekarskiej w pełnym wymiarze, pomocy niezbędnej ludziom niepełnosprawnym i wreszcie zapewnienie godziwych warunków życia ludziom na rencie lub emeryturze. We wszystkich tych dziedzinach państwo — które środki na zaspokojenie tych potrzeb społecznych bierze z wartości dodatkowej wypracowanej przez ludzi pracy w Polsce — nie jest w stanie spełnić tego, co w Konstytucji gwarantuje. I dlatego mam prawo upierać się, że nie tylko nie jest nadopiekuńcze, ale nie spełnia swoich funkcji opiekuńczych — powiedzmy — w przyzwoitych wymiarach.

Brakuje miejsc w przedszkolach, szkoły są przepełnione, brakuje lekarstw i miejsc w szpitalach, opieka nad niepełnosprawnymi pozostawia więcej do życzenia niż to, co się w tej dziedzinie dzieje, brakuje mieszkań — choć dawno odeszło się od dawania mieszkań za darmo, jak to niegdyś bywało — ludzie, którzy swoje życie poświęcili odbudowie i rozbudowie Polski żyją więcej niż skromnie, co już można nazwać skandalem. Czy mam więcej wyliczać?

Udział wynagrodzeń w Polsce w dochodzie narodowym wynosi 26 procent, podczas gdy na przykład w USA — 60 procent, a w Szwecji — 70 procent. Ale i tam wszystkich nie stać na kupowanie sobie usług lekarzy, na posyłanie dzieci do różnych szkół — często młodzież pracuje, aby zarobić na studia — i tak dalej. Gdyby więc w Polsce państwo chciało zrezygnować ze swoich funkcji opiekuńczych, to trzeba najpierw zmienić Konstytucję PRL, a następnie zapewnić pracującym takie zarobki, aby stać ich było na płacenie lekarzom, na płacenie czesnego w prywatnych lub państwowych szkołach, na odkładanie sobie pieniędzy w banku na starość i tak dalej. Wiemy, że jest to w naszej sytuacji niemożliwe.

Natomiast zjawiska negatywne, o których piszą obaj autorzy listów, źródło swoje mają w pozomie kultury, a nie są wynikiem takiej czy innej polityki socjalnej. Poza tym, czy Mieczysław Kozak zastanowił się nad tym, co pisze? Nie przeczę nadużyciom popełnianym w stosunku do opieki społecznej, ale co zrobić z dziećmi, które poczęto z „niefrasobliwości" rodziców? Spalić na stosie? Wyrżnąć?

I jeszcze jedna uwaga. Otóż z przeszłości nauczyliśmy się pewnej niefrasobliwości w uogólnianiu opinii. Witold Afelt niezależnie od jego intencji nie potrafi pisać we własnym imieniu, ale musi przemawiać w imieniu społeczeństwa. To już „przerabialiśmy" i nic dobrego z tego nie wyszło. Stąd moja uwaga.

Mieczysław Kozak pisze, że zjawisko „zatacza coraz szersze kręgi, coraz bardziej szerzy się" **a następnie przytacza dwa przykłady. Trochę za mało dla uogólnienia. Do tego potrzeba jednak danych liczniejszych, wyników badań socjologicznych i tak dalej. A tymi, obaj autorzy nie dysponują i dlatego przestrzegałbym przed zbyt pochopnymi kwalifikowaniami rozmiarów zjawiska.**

Polecam również ciekawy artykuł Michała Kosinia, „Obowiązek czy filantropia" **opublikowany w 49 numerze „Perspektyw".**

REDAKTOR DYŻURNY

KTO UPORZĄDKUJE ŁÓDZKIE ULICE?

Z racji wykonywanego zawodu (jestem kierowcą autobusowym), codziennie przemierzam ulice Łodzi. Zdarza się, że są to ulice peryferyjne, co wcale nie świadczy o tym, że ruch jest tam mniejszy. Niektóre z tych ulic są niezmiernie wąskie. Tę ciasnotę pogłębia jeszcze fakt zalegania na jezdniach wydm piaskowych. Zachęcam do przejażdżki ulicami: Wycieczkową, Warszawską, Okólną, Nowotki za Stokami, Łagiewnicką za mostem, Liściastą. Przypuszczam, że w dawnych czasach, szerokość tych ulic wytyczały krawężniki i prawdopodobnie znajdują się w miejscu wyznaczonym. Jednakże są zasypane, a więc zachowane dla archeologów. Łza w oku się kręci na wspomnienie biało wymalowanych krawężników. Czy nie podnosiło to walorów estetycznych miasta? Czy nie ułatwiało bezpiecznego ruchu pojazdów (w nocy)? Tak, ale wtedy było wapno, wiadra, szczotki, dozorcy, którzy nie robili łaski i wymagający stróże porządku publicznego. Trudną sytuację tych ulic pogłębia fakt zarastania przez przydrożne drzewa i krzewy. Jestem człowiekiem głęboko miłującym przyrodę i oskarżam ludzi o działanie przeciwko niej, ale w tym wypadku bezpieczeństwo pasażerów (MPK) jest ważniejsze. Należy gałęzie drzew i krzewów przyciąć w przyzwoitych ramach. Śnieg i gołoledź zimą powodują, że ulice jeszcze bardziej się zawężają. A więc stopień bezpieczeństwa podróżowania jeszcze bardziej się obniża. Trzeba również pamiętać, że autobusy prowadzą ludzie. Ludzie często zestresowani, podlegający różnego rodzaju emocjom, a także niedoświadczeni kierowcy (bezpośrednio po kursie). Zwykły ludzki błąd może doprowadzić do ogromnej tragedii. Kto będzie usatysfakcjonowany wyrokiem na winnych, co pomogą krytyczne artykuły w prasie? Apeluję więc o uporządkowanie wszystkich arterii naszego miasta. Apeluję do decydentów o wymuszanie dobrej roboty na odpowiedzialnych za stan ulic i biorących za to pieniądze. Właściciele wspaniałych domów muszą dbać również o „swoją" część ulicy.

Nie czekajmy na wzmiankę w kolumnie „KATASTROFY" w naszych dziennikach.

WOJCIECH PIASECKI
Zgierz

INSTYTUCJE ODPOWIADAJĄ

ZDZISŁAW SZADKOWSKI, dyrektor I Oddziału PKO w Łodzi, przysłał nam obszerną informację w związku z listem **Stefana Burzyńskiego** „Gdzie oszczędzać?" opublikowanym w 43 nr „Odgłosów". Przytaczamy fragmenty odpowiedzi dyr. Z. Szadkowskiego:

„Obsługę książeczek oszczędnościowych prowadzą poza oddziałami PKO — urzędy pocztowe, agencje PKO, jak również na zasadzie wzajemnych usług — oddziały Banku Gospodarki Żywnościowej. Zdarzają się przypadki powstawania różnic w zapisach na rachunku klienta w stosunku do wpływających dowodów księgowych z innych placówek bądź w stosunku do zapisu dokonanego w książeczce oszczędnościowej. W takich przypadkach oddział prowadzący rachunek wkładu zobowiązany jest do niezwłocznego dokonania stosownych wyjaśnień i doprowadzenia zapisów do ich zgodności. (...). Wprowadziliśmy szereg usprawnień merytorycznych i organizacyjnych i o ile jest to tylko możliwe, wszelkiego rodzaju korekty dokonywane są bez udziału klienta. Istnieją sytuacje, kiedy książeczka oszczędnościowa niezbędna jest do wyjaśnienia różnicy. W tych wyjątkowych sprawach klient jest proszony do przedłożenia jej w oddziale PKO i sprawę najczęściej wyjaśniamy „od ręki". Bywają jednak przypadki, gdy zapis w książeczce należy skonfrontować z dokumentami, znajdującymi się poza oddziałem PKO. (....). Zatrzymywanie książeczek do wyjaśnienia ograniczone jest do przypadków rzeczywiście koniecznych"

Z pracownikami bezpośredniej obsługi klienta i naczelnikiem wydziału przeprowadzono rozmowy na temat właściwego traktowania klientów banku, natomiast dyr. Z. Szadkowski w imieniu kierownictwa i pracowników I Oddziału PKO przeprasza naszego Czytelnika **„za nieuprzejme i mało wyczerpujące wyjaśnienie sprawy"** przez pracownika banku.

Z III Oddziału PKO w Łodzi nadeszło wyjaśnienie podpisane przez **MARIĘ HETMANEK**, dotyczące niemożliwości uzyskania telefonicznej informacji na temat **salda na rachunku oszczędnościowym.** Na mocy artykułu 89 Prawa Bankowego PKO jest zobowiązane do **„ścisłego przestrzegania tajemnicy wkładów oszczędnościowych i udzielania wszelkich informacji tylko osobom i instytucjom ściśle określonym prawem bankowym".** Rozmowa telefoniczna, nawet jeśli podane jest nazwisko i numer rachunku oszczędnościowego, nie daje pewności czy rzeczywiście rozmówca jest właścicielem rachunku, ponieważ, jak czytamy w piśmie:

„Numer rachunku bywa przekazywany różnym osobom i instytucjom chociażby w celu przelania należnych właścicielowi rachunku kwot i z tego względu dane identyfikacyjne mogą być znane szerokiemu gronu osób. Nie można więc wykluczyć próby uzyskania informacji (...) przez osobę nieuprawnioną, co w sposób oczywisty godziłoby w prawa tego właściciela".

Warto wiedzieć również, że **„o każdej operacji na rachunku, jeśli klient sobie tego życzy, jest informowany drogą pocztową".**

Ze **ZRZESZENIA TRANSPORTU PRYWATNEGO** otrzymaliśmy dwa wyjaśnienia podpisane przez prezesa zarządu **KAROLA KWIATKOWSKIEGO** i dyrektora **BOGDANA MARASIAKA.** Pierwsze dotyczy kierowcy taksówki osobowej nr 4268.

„Komisja (Skargowo-Pojednawcza) dokonała przeglądu estetycznego samochodu, w wyniku którego zarzuty pasażerki nie w pełni się potwierdziły. Niemniej z kierowcą wspomnianej taksówki została przeprowadzona rozmowa profilaktyczno-wychowawcza na temat kultury obsługi pasażerów, a także zobowiązująca do ciągłej dbałości o czystość i estetykę pojazdu".

W drugim piśmie **Zrzeszenie** informuje nas, że **„nie udzielało kierowcom zaleceń, ażeby na koszt klienta rozmieniali banknoty 10-tysięczne bądź inne".**

Zrzeszenie zaleca i będzie zalecać kierowcom, żeby **„posiadali drobne pieniądze w razie konieczności wydawania reszty z banknotów o wyższym nominale".**

Kolejne dwa pisma otrzymaliśmy z **Dyrekcji Okręgowej KPKS,** oba podpisane przez mgr **LECHA KUKUŁKĘ,** z-cę dyr. ds. przewozów. Pierwsze wyjaśnia:

„W myśl obowiązujących przepisów „Taryfy przewozu osób i bagażu w międzymiastowej komunikacji autobusowej" **wprowadzonej w życie Zarządzeniem Ministra Komunikacji z dnia 10 listopada 1982 r.** (Dz. T. i Z. K. nr 13 poz. 102) **zgodnie z § 24 pkt. 2** „za przewóz rowerów dziecięcych oraz składanych wózków dziecięcych nie pobiera się opłat".

Drugie pismo dotyczy obsługi komunikacyjnej rejonu Lutomierska:

„Przez miejscowość Lutomiersk jest prowadzona komunikacja autobusowa PKS w następujących relacjach: Łódź — Lutomiersk — Sieradz, Pabianice — Lutomiersk, Pabianice — Lutomiersk — Zgierz, Łask — Lutomiersk — Poddębice, Łódź — Lutomiersk — Poddębice. Z wyżej wymienionych kierunków przewozowych jedynie kursy w relacji Łódź — Lutomiersk — Poddębice obsługiwane są autobusami wysokopojemnymi i z uwagi na trudności w manewrowaniu na wąskich ulicach Lutomierska autobusy II Oddziału PKS w Łodzi nie podjeżdżają do przystanku Lutomiersk (centrum), lecz zatrzymują się w odległości około 700 m na przystanku Lutomiersk skrz.".

Reszta wydaje się zależeć od Urzędu Gminy w Lutomiersku. W 1987 r. gmina zobowiązała się do wybudowania przystanku zwrotnego w okolicy restauracji „Bogdanka". Przystanku jeszcze nie ma, nie ma też wyznaczonego tymczasowego miejsca, gdzie „długie" autobusy mogłyby bezpiecznie manewrować.

Mgr inż. **HENRYK WILK** donosi, że **Wydział Komunikacji UMŁ** uznał za słuszny wniosek naszej Czytelniczki w sprawie przejścia dla pieszych przez ul. Lodową, na wprost wyjścia z cmentarza. **„Oznakowanie poziome przejścia zostanie wykonane po nastaniu sprzyjających warunków atmosferycznych, zaś oznakowanie pionowe w terminie do dnia 1 grudnia br.".**

Mgr inż. **EDWARD PASTWIŃSKI** z **SM „Zarzew"** pisze, że sprawa nieustannego zalewania mieszkania **Lucyny Przeniosło** została skierowana do Prokuratury Wojewódzkiej. Z tej samej **SM** nadeszło pismo, również podpisane przez mgr inż **E. Pastwińskiego,** z którego wynika, że interwencja **Lucyny Koper** z ul. Podhalańskiej 4 w sprawie nie dogrzanej wody jest bezzasadna, gdyż dokonane pomiary wykazały, że woda ma temperaturę plus 50 stopni Celsjusza. Drugiego pomiaru nie dokonano z powodu nieobecności w domu zainteresowanej.

Z PGM Łódź-Górna nadeszła niewesoła odpowiedź dla **Jerzego Sobczaka.** Dotyczy ona również innych mieszkańców kamienicy przy **ul. Mazurskiej 25.** Inż. **KRZYSZTOF JAROCIŃSKI** przyznaje wprawdzie, że trzeba naprawić tynk na domu oraz gzyms, co można było zrobić przy pracach elewacyjnych, ale kiedy to nastąpi tego w PGM Łódź-Górna nie wiedzą. Nie mają bowiem ani pieniędzy, ani wykonawcy potrzebnych robót. Natomiast **Jerzy Sobczak** z mieszkania 6 musi być czasowo wykwaterowany, gdyż jest to pojedyncze pomieszczenie, w którym trzeba wymienić stropy i które trzeba odwilgotnić. Roboty te przewidziano na 1989 rok.

Również inż. **KRZYSZTOF JAROCIŃSKI** donosi, że w mieszkaniu p. **Michała Pruszkowskiego** w bloku przy ul. Cieszkowskiego 22/24 wykona się niezbędne prace, aby zlikwidować nie dogrzanie mieszkania. Ma to nastąpić jeszcze w tym sezonie ogrzewczym.

Przy bloku na **ul. Zachodniej 25** wybudowano parking. Zgodę wyraził **Komitet Blokowy nr 6.** Celem tej operacji było odblokowanie uliczki prowadzącej do zaplecza sklepów. **PGM Łódź-Bałuty** w piśmie podpisanym przez **RYSZARDA PAWLAKA** wyjaśnia, że drzewa, które stały na trawniku zostały ogrodzone, a dla wypoczynku można wykorzystywać rozległy plac zieleni w pobliżu. Lokalizacja parkingu zgrana jest z architekturą tego terenu.

KOMBINAT ROBÓT DROGOWYCH pismem podpisanym przez inż. **ZBIGNIEWA DOBROWOLSKIEGO** wyjaśnia, że pracownik tego Kombinatu — **Jan Najgebauer** otrzymał częściowy zwrot kosztów za wakacje zgodnie z obowiązującym Regulaminem Socjalnym, Część I, pkt. 7 b, który stanowi, że dziecku po 18 roku życia, jeśli nie studiuje, zwrot kosztów nie należy się.

SPROSTOWANIE

Do mojej wypowiedzi dot. domów pomocy społecznej przy ulicy Przybyszewskiego wkradł się błąd, mianowicie anonimowy telefon dotyczył nieokreślonego domu przy ul. Przybyszewskiego 255 (jest ich trzy), a z mojej wypowiedzi wynikało, że jest to dalszy ciąg zarzutów pod adresem domu, w którym przebywa p. L. D., autor listu zamieszczonego w numerze 44 „Odgłosów".

Dlatego też kontrolą objęto wszystkie domy pomocy społecznej przy ul. Przybyszewskiego, a nie tylko ten jeden.

mgr KRYSTYNA OSADA
Z-ca dyrektora ds. Pomocy Społecznej
Woj. Zespołu Pomocy Społ. i Geriatrii

UWAGA CZYTELNICY! UWAGA INSTYTUCJE!

Następna kolumna: „Polemiki — Listy — Opinie" ukaże się dopiero po świętach w 2 numerze „Odgłosów" z 1989 roku. Numer ten z datą 08.01.1989 ukaże się — jak zwykle w środę — 04.01.1989 r.

Autorów listów i polemik prosimy o cierpliwość.

■

WESTA

UBEZPIECZA NOWOCZESNYCH

SPÓŁDZIELCZY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ
w Łodzi, ul. Nowotki 8,
tel. 32-56-61

Szanowni państwo

Jeśli obdarzycie naszą firmę zaufaniem, to oferujemy Wam niskie składki, wysokie odszkodowania oraz błyskawiczną likwidację szkód, w następujących rodzajach ubezpieczeń:

* mieszkań,
* warsztatów rzemieślniczych (do cen wolnorynkowych — wyposażenia),
* rodzinne w sektorze nieuspołecznionym łącznie z pracodawcą,
* posagowe,
* renty natychmiast płatne lub odroczone (wyposażenie dodatkowe nie podlegające zaborowi mienia przez sąd),
* kosztów leczenia dla osób nie ubezpieczonych w ZUS,
* następstw błędów w leczeniu (w przypadku błędów w sztuce lekarskiej).

RENTY ODROCZONE (np. ze składką miesięczną — 1000 zł.

okres opłacania składek (w latach)		dożywotnia renta wynosi
po	10	7.315
	20	27.930
	30	61.845
	40	109.060

Wpłacając np. w tym roku 2 mln zł, po 20 latach miesięczna renta w „Weście" wyniesie 444 444 zł, i będzie wypłacana dożywotnio. Poza tym nie podlega ona — w przypadku wyroku sądowego — zajęciu! (Jak to jest z oszczędnościami!) oraz

* wszelkiego rodzaju ubezpieczenia niekonwencjonalne, których warunki jesteśmy gotowi z Państwem uzgodnić.

Polisa ubezpieczeniowa to także towar — Ty wybierasz zakład w którym się ubezpieczasz — „Westa" czeka na Ciebie!

3516-k

SPÓŁDZIELNIA PRACY URZĄDZEŃ MECHANICZNYCH I NARZĘDZI „METALOWIEC"
w Łodzi, ul. Brzozowa nr 11/15

Z A T R U D N I

NATYCHMIAST:

* **tokarzy**
* **frezerów**
* **szlifierzy-polerowników**

Wynagrodzenie wg zakładowego systemu wynagradzania. Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela **Stanowisko ds. pracowniczych, tel. 84-47-42.**

7536/K

POLONIT

ZAKŁADY USZCZELNIEŃ I WYROBÓW AZBESTOWYCH „POLONIT"
ul. Rewolucji 1905 r. nr 52
90-213 Łódź

Telefony: Centrala 32-50-14 do 19
Dział Techniczno-Produkcyjny 33-51-82
Telex: 886773 azbe pl

O F E R U J Ą

BEZAZBESTOWE SZNURY TERMOIZOLACYJNE CSA

z ciętych włókien szklanych, w oplocie z jedwabiu szklanego.

Dane techniczne:
— produkowane średnice ⌀ 30 i ⌀ 40 mm
— odporność termiczna do 450 st. C.
— współczynnik przewodzenia ciepła: ok. 0,07 W/mK

3503/K

Wifama MEZcompu

Natychmiastowe dostawy profesjonalnych komputerów osobistych typu

IBM PC XT/AT TURBO

DRUKARKI — PLOTTERY — DIGITYZERY — DYSKIETKI
— SIECI i WIELODOSTĘP

GWARANCJA DO 24 MIESIĘCY!

Kompleksowa oferta to również:

* ŁATWE W OBSŁUDZE OPROGRAMOWANIE
* 130 POZYCJI LITERATURY
* SZKOLENIA

PI-W „Wifama MEZcompu"
ul. Niciarniana 41/45,
tel. 74-97-30; tlx 886783.

3537/K

Przedsiębiorstwo Innowacyjno-Wdrożeniowe "Wifama MEZcompu"
92-318 Łódź, ul. Niciarniana 41/45 tel.74-97-30 tlx 886783

- ***Oferujemy za złotówki lub waluty wymienialne:***
  - ***— mikrokomputery PC/XT, PC/AT, 386, PS/2 i inne wg zamówienia,***
  - ***— plottery, drukarki i inne urządzenia peryferyjne,***
  - ***— dyskietki, taśmy barwiące i inne akcesoria,***
  - ***— sieci komputerowe Novell 286, D-LINK,***
  - ***— zestawy do edycji programów dla obrabiarek sterowanych numerycznie.***
- ***Dostarczamy sprzęt wysokiej jakości, zapewniamy stałość i jednolitość dostaw, udzielamy 12-miesięcznej gwarancji, realizujemy zamówienia nietypowe np. napędy dyskietkowe 3,5" — 1,44 MB do PC/XT i PC/AT.***
- ***Oferujemy kompleksową informatyzację przedsiębiorstwa w tym:***
  - ***— typowe systemy dziedzinowe KADRY, PŁACE, FINANSOWO-KSIĘGOWE itp.***
  - ***— opracowujemy informatyczne systemy na indywidualne zamówienia.***
- ***Świadczymy usługi elektroniczne:***
  - ***— serwis i naprawy urządzeń elektronicznych,***
  - ***— projektowanie obwodów drukowanych.***

INTECH

Sp. z o.o. Jednostka Gospodarki Uspołecznionej
90-447 Łódź ul. Piotrkowska 173

ZAPRASZAMY DO BIURA HANDLOWEGO
W POKOJU 612 szoste piętro
czynne poniedziałek—piątek godz. 9—15
tel. 36 11 56 oraz 36 52 66 w. 232, 132
telex 88 52 41

3517/K

Przedsiębiorczość czy hochsztaplerka?

Gruba ryba

Kilka lat temu zastępca ówczesnego dyrektora Kulturalnego Centrum Medyków „Studenckiego Teatru Cytryna", niejaki inżynier magister — jak sam o sobie mówił — Andrzej Szymczak, wpadł na pomysł utworzenia spółdzielni. To, co powstało, nazwano Młodzieżową Spółdzielnią Pracy „Centrum". Utworzenie jej było możliwe — jak twierdził Andrzej Szymczak — tylko dzięki popieraniu budowy Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki, które miało mieć swój finansowy a nie tylko moralny aspekt.

Prezesem został Andrzej Szymczak, w Radzie Nadzorczej zasiedli jego przyjaciele i znajomi, były pieczątki, brakowało tylko siedziby i pracowników. Tymczasowo Andrzej Szymczak i jego ludzie usadowili się w „Cytrynie". Prezes widząc korzyści płynące z posiadania takiego lokalu próbował wymóc zgodę, aby salę Studenckiego Teatru „Cytryna" przejęła jego spółdzielnia. Władze Akademii Medycznej, która roztacza opiekę nad Teatrem kategorycznie zaprotestowały i właściciel obiektu szczęśliwie się nie zmienił.

Andrzej Szymczak odszedł z „Cytryny" zabierając ze sobą kilka naprawdę porządnych osób, skuszonych zdobyciem grubej forsy na długo przed drugim etapem reformy gospodarczej. Po stracie pierwszego lokum, tak wygodnego, z telefonem, elektroniczną maszyną do pisania i dwoma toaletami, prezes „and company" przytulił się do jednego z urzędów stanu cywilnego. Nie było tam takich luksusów jak w „Cytrynie" i wkrótce, może właśnie dlatego, przeniesiono się do Domu Kultury „Rondo".

Wypada teraz przedstawić najbliższych współpracowników Andrzeja Szymczaka. Najważniejszym z nich była personalna — Halina Szymczak, zbieżność nazwisk nie jest przypadkowa — to siostra. Dalej w hierarchii był zastępca prezesa Piotr Kowalski — chłop w sumie porządny. Poza „wielką trójką" była jeszcze sekretarka i kilku kierowników zakładów. Różniły się tylko nazwami.

Osoby wyrażające chęć pracy na umowę-zlecenie były przyjmowane z otwartymi ramionami. Ktoś przecież musiał utrzymać „Centrum" i jej kierownictwo. Prezes roztaczał wówczas świetlaną przyszłość. Zachwalał Spółdzielnię, obiecywał łatwą — dzięki sprzętowi jaki posiadała — pracę i oczywiście ogromne pieniądze. Jakoś właśnie w tym czasie kilkoro pracowników etatowych krytycznie wyraziło się o funkcjonowaniu Spółdzielni i poczynaniach Haliny Szymczakównej. Sąd Pracy miał z tego powodu sporo roboty. Wtedy jeszcze wypłaty pieniędzy odbywały się w miarę regularnie i masy pracujące nie burzyły się, nawet mimo wyraźnego zauważenia, że zostały oszukane i żadnego sprzętu do pracy nie było, a z kasy pobierano pieniądze nie tak wielkie jak obiecywano. Wszystkie pretensje dotyczące tych spraw były kwitowane tłumaczeniem, że Spółdzielnia jest młoda, dorabia się, że odpowiednie zamówienia zostały już poskładane i zakupy nastąpią lada dzień.

Po tym okresie, dosyć bogatym w procesy sądowe i fluktuację kadr, prezes przeniósł wierną sobie (jeszcze) gwardię do lokalu przy ulicy Żubardzkiej 3. Był telefon, toaleta. Zakupiono sprzęt konieczny do prawidłowego funkcjonowania Spółdzielni — „solidne" meble i zdezelowaną maszynę do pisania. Nowy lokal, meble — wszystko to powoduje, że prestiż prezesa rośnie. Ludzie garną się do niego jak do apostoła finansowego dostatku.

W tym czasie „Centrum" nie posiadając nawet taczki tworzy dział transportu. Zatrudniono na pół etatu kierownika, który notabene był szefem transportu w innym przedsiębiorstwie. Samochody owego przedsiębiorstwa kursowały dla potrzeb „Centrum" i nikt specjalnie nie interesował się fakturami czy oficjalnymi rozliczeniami za te usługi. Na pół etatu, poza kierownikiem transportu, pracowali jeszcze: personalna, zaopatrzeniowiec i radca prawny. Te osoby miały obowiązek być trzy razy w tygodniu w godzinach popołudniowych akurat wtedy, kiedy kierownicy zakładów kończyli pracę. I nikt się nie upominał o złotówki za nadliczbowe godziny spędzone na Żubardzkiej 3. Natomiast Andrzej Szymczak za każde spóźnienie do pracy potrącał pechowcowi w najlepszym przypadku dwie dniówki.

Z powodów, których nikt nie potrafił wyjaśnić, zaczęły się opóźniać wypłaty pieniędzy. Najczęściej wyglądało to tak. W dzień poprzedzający wypłatę na pytanie, czy ta będzie, Andrzej Szymczak odpowiadał, że tak. Następnego dnia nie było wypłaty. Kasjerka i księgowa nic o niej nie wiedziały. Prezes też nie mógł nic wyjaśnić, gdyż nie przychodził do pracy przez kilka następnych dni.

Wraz z rozpoczęciem przez inżyniera magistra takich praktyk zaczęło wrzeć w Spółdzielni. Ludzie zwalniali się z pracy na własną prośbę. Chcieli jak najszybciej opuścić Spółdzielnię i odciąć się od tego co robił Andrzej Szymczak. Odporniejsi psychicznie dochodzili praw na drodze sądowej, walczyli o swoje pieniądze. W tym czasie pracownicy etatowi zmieniali się jak w kalejdoskopie. Zdarzyło się kiedyś, że nowo przyjęty kierownik jakiegoś zakładu, zanim podpisał z Andrzejem Szymczakiem umowę, posiedział na Żubardzkiej 3 kilka godzin i zrezygnował z pracy. Również pracownicy „zleceniowi" zaczęli się burzyć. Jeden z nich po kolejnym niedotrzymaniu terminu wypłaty poszedł na skargę do Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy. Tam obiecano, że sprawą się zajmą, ale na tym się skończyło. Andrzej Szymczak w jakiś sposób dowiedział się, kto na niego skarżył i kazał siostrze wykreślić z rejestru niesfornego pracownika.

Prezes nie dostarczał ludziom papieru ani podaniowego, ani maszynowego, ale żądał, aby wszystkie pytania do niego kierować na piśmie, w czterech egzemplarzach. Jeden z nich wpisany był do prywatnego archiwum prezesa. Tak samo było z pismami wychodzącymi ze Spółdzielni. Natomiast zarządzenia były pisane tylko w jednym egzemplarzu i podpisywane przez prezesa, a nie Zarząd Spółdzielni. Mimo tego, iż znajdowały się pod kluczem w jego gabinecie, to potrafiły znikać lub zmieniać swoją treść. Dochodziło do sytuacji i to wcale nie sporadycznych, że pracownicy sami musieli wykonywać formularze umów, kosztorysów i innych druków, które powinny w każdej ilości być do ich dyspozycji.

Jedna z pracownic, samotna matka, chciała odejść z pracy. Pech chciał, że kilka dni wcześniej, biurko, przy którym siedziała, rozsypało się. Andrzej Szymczak powiedział, że mebel musi zostać przez nią naprawiony, gdyż w przeciwnym razie zostanie zwolniona dyscyplinarnie.

Na początku wspomniałem o „popieraniu budowy CZMP". Taką pieczątką prezes w przypływie dobrego humoru stemplował oferty pracy wysyłane do różnych przedsiębiorstw. Jednakże mimo strumienia złotówek płynących na konto Spółdzielni ani jedna złotówka z kasy „Centrum" nie zasiliła budowy CZMP. Normalką w Spółdzielni było zmniejszanie pracownikom zleceniowym prowizji czy też zakaz przyjmowania do sekretariatu pism niektórych pracowników.

Kiedy drugi zastępca Andrzeja Szymczaka musiał odejść z pracy, gdyż podobnie jak jego poprzednik miał odmienne zdanie od prezesa co do inwestycji, Zarząd Spółdzielni przez długi okres był jednoosobowy. Po pewnym czasie w jego skład weszła Irena Krzemieniecka, zostając zastępcą swojego szefa, piastowała już funkcję radcy prawnego MSP „Centrum". Dziś większość osób wspominających pracę w Spółdzielni nerwowo zapala papierosa, zaś inżynier magister Andrzej Szymczak, mimo wielu skarg wnoszonych na niego do ważnych urzędów, ma się dobrze i kantuje następnych frajerów.

JACEK MISIEK

1

Piwnica „W Piwnicy"

W Krakowie jest słynna „Piwnica pod Baranami" i Krzysztofory. Warszawa ma „Piwnicę Wandy Warskiej" i „Na Wójtowskiej". Wrocław — „Piwnicę Świdnicką" i „Arkę" w studenckim Pałacyku. Każde większe miasto ma jakąś swoją piwnicę. A Łódź co ma?

Ano, jak zwykle, nico. Myślę, oczywiście o piwnicach artystycznych, bo takich z komórkami, czy nieczynnymi już dziś kotłowniami mamy do nagłej cholery. I w tym sęk. Mamy, a nic nie mamy. A moglibyśmy mieć.

Większość pięknych kamieniczek przy Piotrkowskiej miała kiedyś lokalną kotłownię; dziś, po przyłączeniu do sieci miejskiej, stoją pusto wielkie nie wykorzystane pomieszczenia. Pamiętam, jak przed laty starano się o urządzenie kawiarenki w piwnicy „Domu Literatów" przy al. Adama Mickiewicza, ale pomysł ten — jak wiele innych — rozbił się o tępy majestat jakiegoś urzędniczyny z granitowym czółkiem na dwa palce, który wysiliwszy umysł, pomyślał:

— Damy tym lyteratom za państwowe piniendze podziemie, a uni bedom tam przychodzić i może jeszcze śpiskować przeciw władzy ludowy. Nie bedzie zgody.

A jakie wspaniałe są tam piwnice wiem, bo ćwierć dzieciństwa spędziłem poniżej poziomu chodnika właśnie w „katakumbach" Domu Literatów.

Pojawiła się wszakże ostatnio w Łodzi nadzieja na własną naszą, stałą piwnicę artystyczną. Centrum Informacji Kulturalnej (CIK), które urządziło ze smakiem swe lokum w najładniejszym chyba łódzkim plombowcu przy ul. Ludwika Zamenhofa (między Piotrkowską i al. Tadeusza Kościuszki), pomyślało i o kawiarence. Nazywa się ona „W Piwnicy" i jest rzeczywiście tak, jak mówi nazwa.

W dzień można się tam napić kawy czy herbaty, wieczorami natomiast przemienia się ten sympatyczny lokalik w miejsce spotkań ze sztuką. Gościła już Piwnica i kabaret i recitale, m.in. Macieja Zembatego i Krzysztofa Sadowskiego, monodramy, m.in. wg „Paragrafu 22" Hellera. Na stałe zadomowiła się w Piwnicy Scena Wspólna Teatru Nowego i CIK oraz Józef Robakowski z cyklem wieczorów autorskich pt. „Wideo — sztuka moich myśli". W Piwnicy spotkał się ze swoimi sympatykami Andrzej Wajda z okazji 30-lecia „Popiołu i diamentu". Przedstawiła również swój słynny monodram pt. „Żmija" Dorota Stalińska.

Specjalizować się chce jednak (jak na piwnicę lub strych przystało) w prezentowaniu poezji śpiewanej, piosence kabaretowej i aktorskiej. Sympatyczni gospodarze comiesięcznych spotkań pt. „Słódź nam tę Łódź" (to tytuł piosenki wywoławczej, rozpoczynającej każde spotkanie) Elżbieta Adamiak i Andrzej Poniedzielski próbują po raz kolejny (raz już próbowali, lecz bez efektu) „posadzić" i wypielęgnować na jałowej ziemi miasta Łodzi coś swojego, choć nie tylko. Jako gospodarze zapraszają każdego miesiąca kogoś, kto mieści się w wymienionej stylistyce piosenkarskiej. Inaugurującego wieczoru zaprezentowali się sami, ona — jako znakomita wykonawczyni nastrojowych ballad z tą najbardziej znaną *„rzeczywiście tak jak księżyc, ludzie znają mnie tylko z jednej, jesiennej strony"*, i on — jako nie mniej znakomity autor tekstów satyrycznych mówionych i śpiewanych.

Miesiąc później wystąpił w tym cyklu będący w świetnej formie Tadeusz Woźniak z godzinnym recitalem, w grudniu Elżbieta Wojnowska. Planuje się zaproszenie Marka Grechuty, Magdy Umer, Anny Chodakowskiej. Adamiak i Poniedzielski tworzą ciepły nastrój, dobry klimat, łapią kontakt z widownią, która z miejsca „kupiła" Piwnicę jako swoją. Przychodzi tak dużo ludzi, głównie młodych, że nie można przejść, bo siedzi bractwo gdzie się da. Znaczy — brakowało podobnego miejsca spotkań i podobnych imprez w Łodzi, bo nie każdy musi gustować w produkcjach „Estrady", dyskotece czy operetce. Jest znaczna ilość ludzi lubiących ambitniejszą sztukę.

Do niedawna nie wiadomo było, jak potoczą się dalsze losy Piwnicy. Niepewność wynikała z braku pieniędzy. Młodzi gospodarze czuli się jak kornik w wagonie z drewnem: jechali, ale nie wiedzieli dokąd. Dziś, podobno, już wiadomo, że Piwnica będzie funkcjonować. Ponieważ jednak łaska pańska na pstrym koniu jeździ, proponowałbym panu wiceprezydentowi odpowiedzialnemu za kulturę w Łodzi, Januszowi Urbaniakowi, aby zstąpił „do piekieł" i przekonał się, czy warto było dać pieniądze na działalność Piwnicy, czy nie.

Publiczność i środowisko już zaakceptowały to miejsce w centrum miasta. I, dalibóg, nic podejrzanego się w nim nie dzieje. Łatwo sprawdzić. Pewnie zresztą już sprawdzono. A więc? Łódź, jeśli chce zaliczać się do miast europejskich (a chce!), nie może powoływać się tylko na „Interfashion", biennale czy triennale. Takie miejsca jak piwnice podobne CIK-owskiej powinny stać się czymś codziennym, normalnym w funkcjonowaniu miasta (choć to tylko jeden ze składników europejskości). Niech ta, przy Zamenhofa, zrobi dobry początek.

MAREK KOPROWSKI

2

Lewym okiem

Dawne, dobre czasy

Nie ma co, czasy mamy ciężkie, brak mieszkań, kolejki, bieda, kryzys. Zadłużenie ogromne, perspektywy żadne, młodzi jeżdżą za granicę, aby za wszelką cenę zarobić na samochód. Nie pisze się o otaczającej nas dzisiejszej rzeczywistości inaczej jak źle. Ale założę się o sto przeciwko jednemu, że nasze czasy zupełnie inaczej wyglądać będą z perspektywy roku 2020. Za trzydzieści lat dzisiejsi dwudziestoparolatkowie spotkają się i będą wspominać mniej więcej tak:

Gdzie się podziały tamte dobre czasy? Jacy wtedy byli świetni profesorowie, jacy aktorzy i śpiewacy! Jakie kawały robiło się celnikom tureckim i innym, jacy inni byli ludzie, jaka fajna nasza zaprzyjaźniona paczka! Jakie ładne dziewczyny. Ile pięknych festiwali, jeździło się wtedy z festiwalu na festiwal, jak inne były stosunki w miejscu pracy! Swobodnie, bracie, robiło się, co kto chciał, lato było gorące, w zimę śnieg... Samochód mogłeś sobie postawić wprost przed domem, jeździć można było prawie wszystkimi ulicami wszystkich miast, bo samochodów nie było jeszcze tyle, co dziś... i tak dalej w tym guście.

Dzisiaj śpiewa się przecież piosenkę — „Gdzie się podziały tamte prywatki, tamte dziewczyny sprzed wielu lat..." Jedna z pań profesorek, w wywiadzie radiowym, z wielkim sentymentem wspomina swoją Alma Mater Gedanensis czyli Uniwersytet Gdański: jakież tam były świetne stosunki, jacy wspaniali profesorowie! I ta piosenka i ten wywiad dotyczą, jak się okazuje, końca lat sześćdziesiątych, a więc tych lat, które ja i moje pokolenie wspominamy całkiem inaczej, jako świat stojący na głowie, z której to pozycji dzisiaj na siłę chce się go przestawić jak Pan Bóg przykazał.

Ludzie z mojego pokolenia w latach sześćdziesiątych patrzyli na świat porównując go, co chwila, z latami swojej z kolei młodości, jeszcze o trzydzieści lat wcześniejszej. W porównaniach tych teraźniejszość nie zawsze wypadała korzystnie. Oczywiście, przy głębszym zastanowieniu te tak zwane, moje dawne, dobre lata zawierały dosyć minusów i mankamentów, których nie chciałbym za żadną cenę przywracać do życia.

Bo to chyba jest tak, że między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia zbiera sobie człowiek kapitał wspomnień, którymi będzie się żywił przez całą resztę żywota. To jedno dziesięciolecie jest później płaszczyzną odniesienia do wszystkiego, co się dokoła wyprawia. Chcę więc jeszcze raz dobitnie powiedzieć Wam wszystkim, młodzi ludzie w wieku — powiedzmy — akademickim, Wam o smętnych obliczach, zbuntowanym, znudzonym, wiecznie skwaszonym, sfrustrowanym i znerwicowanym, osłoczacym na wszystkich i na wszystko, chcę powiedzieć, że będziecie za trzydzieści lat mówić o dzisiejszych czasach jako o tamtym, dobrym, pięknym czasie...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Nagłe zastępstwo

Stocznia, mecz i stół

Trzy wydarzenia ostatnich tygodni zwracały na siebie uwagę wszystkich niemalże: likwidacja Stoczni Gdańskiej, dialog Wałęsa — Miodowicz i, przewidywany na najbliższą przyszłość, okrągły stół. Nie jest moim zamiarem komentowanie tych faktów. Broń Boże! Niech się tym zajmują poważni publicyści, ja sobie — zwyczajem własnym — pożartuję...

Zacznijmy od stoczni. Jeśli jej likwidacja ma służyć porządkowaniu gospodarki, to jestem za! Natomiast dziwi mnie minimalizm rządu: przecież jest w kraju cała masa instytucji, organizacji i przedsiębiorstw, które należałoby zlikwidować albo, na przykład, zmienić im lokalizację. Zgłaszam pierwszego kandydata: ministerstwo finansów. Za dawnych czasów nosiło nazwę ministerstwa skarbu. Teraz skarby mamy raczej w muzeach... Niechże zatem to ministerstwo podatków (jeśli już ma być to pod taką jedynie nazwą) przestanie funkcjonować! Nie będzie ministerstwa od deficytu, nie będzie może deficytu? Jeśli już żadną miarą zlikwidować go nie można, to może chociaż przenieść je daleko od Warszawy, do Gołdapi na przykład... I niech się spróbują dodzwonić do Warszawy!

Górników należy przenieść w góry (dużo lepsze powietrze a kopalnie i tak deficytowe), mogą tam sobie zamiast gwarectw pozakładać gazdostwa. Hutę imienia Bolesława Bieruta do Bierutowic, hutę „Pokój" do przedpokoju!

Mam jeszcze parę takich pomysłów, zachowam je na przyszłość. No, jeden mogę zdradzić: w każdym mieście zrobić ulicę Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego. To będzie heca, jak ktoś się umówi w ten sposób: na rogu Piłsudskiego i Dmowskiego, pod pomnikiem Witosa.

Przejdźmy do telewizyjnego spotkania towarzysza Miodowicza z panem Wałęsą. Ogromna większość rodaków traktowała to spotkanie jak mecz bokserski. Większość znanych mi kibiców przewidywała zwycięstwo Miodowicza przez KO, tymczasem wyszło coś w rodzaju remisu ze wskazaniem na Wałęsę. Mniejsza o to, mnie bardziej zadziwia sam fakt spotkania: przed kamerami rządowej (państwowej) telewizji spotkał się członek Biura Politycznego KC z szefem podziemnej organizacji opozycyjnej. To się w głowie nie mieści i nie ma precedensu na świecie! Polska specyfika.

Jak wszyscy zgodnie twierdzą, spotkanie to było ważnym krokiem w kierunku okrągłego stołu. Jeśli tak, to proponuję dalsze kroki. Może być spotkanie felietonisty Kisiela z felietonistką Krzywobłocką, może być spotkanie prezesa „Grunwaldu" z prezesem Towarzystwa Kulturalnego Żydów, może być wreszcie spotkanie szefów dwóch organizacji naturystycznych: Marczaka i Kubickiego. Nie upieram się przy strojach organizacyjnych...

Spotkania przedstawicieli organów ścigania z tzw. środowiskiem przestępczym odbywają się regularnie, więc możemy je sobie darować.

Tymczasem przed nami okrągły stół. Już ktoś żartował, że kandydatów na rycerzy okrągłego stołu nie brakuje, nie wiadomo tylko, kto będzie królem Arturem. A mnie ciekawi bardziej, kto będzie czarownikiem Merlinem? A mam kandydata? Jest, taki facet, który twierdzi, że zna sposób na szybkie pozbycie się naszego długu zagranicznego. Za darmo nie chce objawić swego pomysłu: potrzebuje gotówki, zadłużył się.

Polski przemysł meblarski przeżyje niebawem swój renesans. Okrągłe stoły szykują się już nie tylko w Warszawie ale także w województwach, miastach i gminach, a nawet w zakładach pracy. Ba, bywalcy knajp i kawiarń coraz częściej domagają się od obsługi wstawienia na salę okrągłych stołów, ponieważ zamierzają przedyskutować tematy kontrowersyjne jak np. współistnienie wódek słodkich ze śledzikiem, albo nawet ogólniejszych, jak zagadnienie pluralizmu gastronomicznego, polegającego między innymi na wprowadzeniu kawy z mlekiem do barów mlecznych i kawiarń. Dotąd bowiem smakosze tego napoju spotykają się z odpowiedziami: „tu nie kawiarnia" oraz „tu nie bar mleczny".

Ile taki stół może kosztować przy obecnych cenach mebli?

ANDRZEJ KAROL

ZBIGNIEW NIENACKI

(32)

Dagome iudex

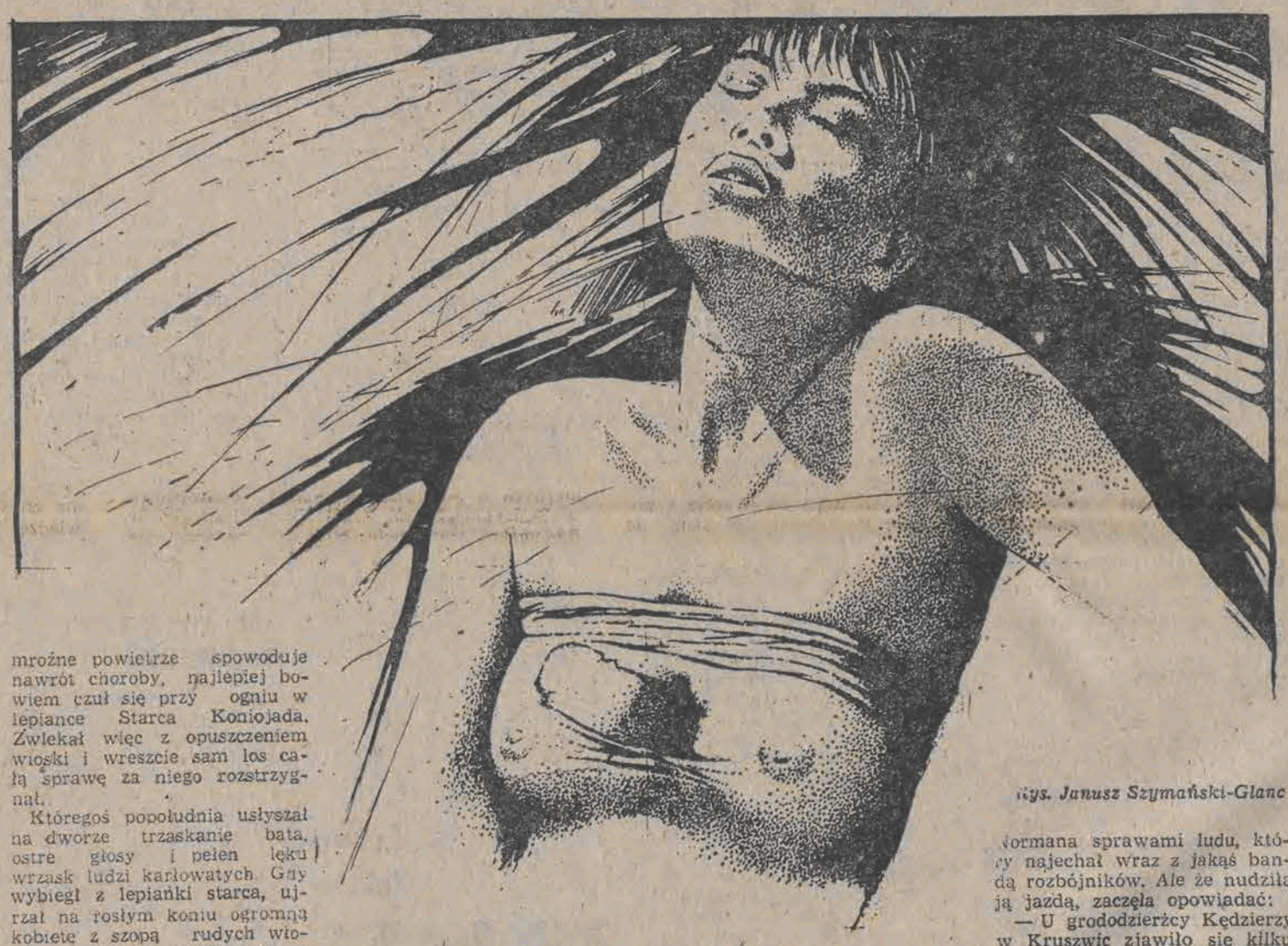

Rys. Janusz Szymański-Glanc

W wiosce Koniojadów był tylko jeden topór. Zabrał go i zrobił sobie tarczę. Z oszczepem i tarczą czuł się zdolny do walki. Uszyli mu ubranie i buty z psiej skóry, ciepłe i wygodne. Z psiej skóry zrobili też czapkę z nausznikami, gdyż nastały silne mrozy.

Od starca dowiedział się, że cała wioska i zamieszkujący ją karłowaci ludzie, pastwisko i konie, które hodują — należą do pani Kłodawy, która ma gród i pół dnia drogi konnej jazdy. Jest to kobieta, której mąż poległ w walce z Gizurem, ma trzech dorosłych synów, bardzo bitnych i silnych, ale sama jest od nich bitniejsza i silniejsza. Każdej zimy — gdyż o innej porze wioska była niedostępna — przybywała po koniu, zabierała je do swego grodu, a potem sprzedawała do Gniazda albo Kruszwic. Na ogół potem przez cały rok nie zaglądała do Koniojadów, nie troszcząc się o ich los i byt. Wkrótce powinna tu przybyć z synami po nowe konie, które wyrosły od ubiegłej zimy.

O Pani Kłodawie usłyszał Dago, że podobno kiedyś i ona była niewolnicą, pochodziła z dalekiej północy i na imię miała Helga. Po jakiejś dalekiej wyprawie Pan Kłodawa przywiózł ją do swego grodu wraz z innymi łupami, potem miał z nią trzech synów, a wreszcie uczynił ją swoją żoną i kobietą wolną. Była więc z pochodzenia Normanką i Dago mniej już obawiał się spotkania z nią, gdyż nietrudno by mu było udawać Normana, zagubionego w puszczy. O innych sprawach dziejących się poza wioską starzec nic nie wiedział. Nigdy, jako niewolny nie był u Kłodawy, ani w innym gródku.

— Jak masz na imię? — zapytał starca.

Okazało się, że nie miał żadnego imienia. Nikt w tej wsi nie nosił imienia. O starcu mówiono Starzec Koniojad, innych nazywano wedle jakiejś osobliwej cechy, a to Koniojad Kulawy, Koniojad Zezowaty, Koniojad Gruby.

Nie umieli jeździć konno, a nawet zabronione im było ujeżdżanie i dosiadanie koni. Mieli je tylko hodować i żywić się nimi. Nie było we wsi żadnego siodła, po długich poszukiwaniach znaleziono przetartą uzdę i wędzidło. Dago naprawił uzdę, zrobił sobie coś w rodzaju siodła i strzemiona z łyka. Przyprowadzono mu klacz, która już była ujeżdżona przez synów Kłodawy, ale pozostawiono ją tutaj, bo odznaczała się płodnością. Gdy dosiadł jej — uwierzyli ostatecznie, że jest ich Panem.

To dziwne, ale kiedy Dago wykąpał się w beczce wypełnionej ciepłą wodą, ogolił nożem policzki, umył włosy i rozczesał je, włożył ciepłe ubranie z psiej skóry, wsiadł na konia uzbrojony w oszczep, tarczę i topór — znowu poczuł się władcą. A także ogarnęła go dawna Żądza Czynów.

Od chwili ucieczki z Płocka, w jego ciele chyba ciągle działała trucizna, później przeziębił się i chyba miał zapalenie płuc. Pozbawiony sił i zamknięty w klatce przez karłowatych ludzi, czuł się zwierzęciem i nawet nie starał się myśleć o tym kim był dotąd, ponieważ — jak sądził — takie wspomnienia mogły w nim obudzić obłęd. Nie myślał też o zemście na Zyfice o tym co stało się z jego państwem, z Herimem, Spicimirem, Awdańcem i Pałuką. Przez cały ten czas jego wszystkie myśli nastawione były na przetrwanie — i przetrwał. Teraz jednak odżyły wspomnienia i rozpoczęły się bezsenne noce podczas których krew burzyła się w nim na myśl o Zyfice o zdradzie, o poniżeniu, jakiego doznał. „Będę zabijał zabijał zabijał" — syczał nocami jak zwinięty w kłębek wąż albo żmija i układał w głowie dziesiątki planów w jaki sposób powrócić do Gniazda i znowu odzyskać swój tron Piastuna. Rankiem jednak każdy z tych planów wydawał mu się nierzeczywisty.

Najpierw nosił się z zamiarem wykorzystania karłów i nauczenia ich umiejętności walki na włócznie lub kije. Chciał ich posadzić na konie i ruszyć z nimi po zamarzniętych bagnach do Kłodawy pokonać ją posiąść lepszą broń. Ale karły były w większości obłąkane płochliwe szybko traciły zainteresowanie dla uczenia się czegokolwiek. Szczególnie dziwny odkrył w nich lęk przed siadaniem na konie, choć przecież nie zajmowali się niczym innym jak hodowlą koni. Tak pojął, że musi stąd odjechać samotnie i to jak najszybciej, zanim nie przybędzie tutaj Kłodawa ze swymi synami i zbrojną strażą. Należało więc opuścić to miejsce przed jej przybyciem. Z drugiej jednak strony, nie wiedział kim jest Kłodawa poza tym, że była właścicielką Koniojadów i wdową po mężu zabitym przez Gizura. Czy to znaczyło, że mąż jej był Lestkiem? Jeśli tak — należało na nią czekać i wyjawić jej swoje imię, poprosić o schronienie i lepszą broń. Czy mógł jednak liczyć na czyjąkolwiek lojalność? Jeśli Zyfice udało się opanować państwo Polan, każdy kto wydałby jej Piastuna, miał prawo spodziewać się ogromnej nagrody. Lepiej więc było odejść stąd, ukradkiem zbliżyć się pod jakiś gród, schwytać kogoś i najpierw uzyskać informacje o wszystkim, co stało się w kraju od chwili jego ucieczki z Płocka. Te plany krzyżował jednak siarczysty mróz i głęboki śnieg. Zdarzały mu się niekiedy zawroty głowy — to wciąż chyba były skutki trucizny. Lękał się też, że ostre mroźne powietrze spowoduje nawrót choroby, najlepiej bowiem czuł się przy ogniu w lepiance Starca Koniojada. Zwlekał więc z opuszczeniem wioski i wreszcie sam los całą sprawę za niego rozstrzygnął.

Któregoś popołudnia usłyszał na dworze trzaskanie bata, ostre głosy i pełen lęku wrzask ludzi karłowatych. Gay wybiegł z lepianki starca, ujrzał na rosłym koniu ogromną kobietę z szopą rudych włosów na głowie. Kobieta ta — około czterdziestu lat — była uzbrojona w łuk, miecz i tarczę, a w prawej ręce trzymała bat z niezwykle długim biczem. Towarzyszyło jej trzech młodych konnych wojowników w kopulastych hełmach, a także trzech koniuchów uzbrojonych w tarcze i oszczepy. Długi bicz owej kobiety, w której domyślił się Kłodawy, był niezwykle ruchliwy; raz po raz strzelał głośno i od czasu do czasu jego koniec dosięgał któregoś z ludzi karłowatych. Nie miała chyba powodu owa Kłodawa, aby bić karłowatych, w ten sposób jednak okazywała, że jest ich właścicielką i wymagać będzie dalej pełnego posłuszeństwa.

— Kim jesteś? — zapytała zdumiona widokiem rosłego mężczyzny wychodzącego z lepianki karłowatego starca.

Dago udał, że nie rozumie mowy Sklavinów. Powiedział w języku donsk tunga:

— Na imię mam Eryk i jestem wolnym Normanem.

— Byłeś wolny — krzyknęła Kłodawa w donsk tunga. Świsnął jej długi bat, okręcił się wkoło ciała Dagona i rzucił go na śnieg. Nie udało by się to jej, ale Dagonowi właśnie zakręciło się w głowie, być może od ostrego powietrza na dworze i poczuł w sobie słabość; oszczep i topór wypadły mu z ręki.

Synowie Kłodawy zeskoczyli z koni i związali Dagonowi ręce na plecach.

— To, że jesteś Normanem od razu poznałam po twoich jasnych włosach — oświadczyła Kłodawa. — Słyszałam, że jakaś grupa Normanów z Jumna zapuściła się Viaduą aż do Warty, a potem popłynęła w górę tej rzeki. Rozbito was, a ja ciebie wezmę za niewolnika.

— On jest Leśnym Panem. To Leśny Pan! — wołali karłowaci, wskazując palcem Dagona i jak gdyby o coś go oskarżając.

Zaniepokoił się Dago, że powiedzą Kłodawie o jego znajomości języka Sklavinów. Ale Kłodawa traktowała Koniojadów jak zwierzęta i tyle ją obchodziły ich okrzyki, co szczekanie psów. Rozpędziła Koniojadów uderzeniami swego bata.

— Obetnijcie mu włosy, bo nie jest już wolny — rozkazała po sklavińsku jednemu ze swych synów.

— Wstrzymaj się, pani — rzekł Dago w języku donsk tunga. — Uczynisz mnie znowu wolnym, ponieważ na wiosnę pokażę ci miejsce, gdzie zanim nas rozbito, ukryliśmy swoje łupy.

— I tak mi powiesz wszystko, gdy cię przypiekę żelazem — rzekła lekceważąco.

Jednak uczyniła gest dłonią, powstrzymując swego syna przed obcięciem Dagonowi włosów. Spojrzenie jej dużych niebieskich oczu skrzyżowało się ze spojrzeniem Dagona i uderzyła ją dziwna siła bijąca od tego człowieka. Instynktownie, bez udziału świadomości, jak zwierzę wyczuwające niebezpieczeństwo, coś jej mówiło, że ten człowiek nie jest zwykłym osobnikiem. Stał przed nią dumnie mimo więzów na rękach, jego głowa była odrzucona do tyłu jak gdyby coś jej rozkazując, a twarz tego mężczyzny wydała jej się niezwykle piękną.

Aż do popołudnia przestała się nim zajmować. Zostawiła Dagona pod strażą jednego ze swych synów, a sama z dwoma pozostałymi i koniuchami pojechała do długiej szopy, gdzie na zimę Koniojady trzymali konie. Wybrała dziesięć dorodnych rumaków i natychmiast rozkazała pędzić je w puszczę tą samą drogą, jaką tu przybyła. Następnie jej synowie posadzili Dagona na klacz dwulatkę i trzaskając batem całą gromadą ruszyli w ślad za stadem koni i koniuchami. Zdaje się, że nie chciała ani chwili dłużej niż to było potrzebne pozostawać wśród Koniojadów, tak się nimi brzydziła.

Wkrótce dopędzili koniuchów i stado rumaków. Zmierzchało, ale noc zapowiadała się widna, księżycowa. Kłodawa podjechała do Dagona i zrównała swego konia z jego klaczą.

— Skąd jesteś, Eryku? — zapytała.

— Nie będę, pani, odpowiadał na twoje pytania, dopóty mam związane ręce. Krew mi się w nich zatrzymała i bolą mnie. Wiesz, że nie ucieknę. Zresztą, mogę ci dać swoje rycerskie słowo.

— Mówisz tak bezczelnie, że mam ochotę uderzyć cię batem. Ale już ponad dwadzieścia lat nie mówiłam w swoim dawnym języku.

To powiedziawszy, wyjęła nóż zza pasa i przycięła mu sznur na rękach.

— Jestem Helga znad jeziora Wetter. A ty skąd pochodzisz?

— Z Birki — skłamał krótko. A potem wybuchnął gniewem:

— Dlaczego, pani, nie zabiłaś tych karłów, Koniojadów? Parzą się między sobą. Brat z siostrą, ojciec z córką, matka z synem. Ich przeklęta karłowata krew zatruwa cały lud.

— A co cię obchodzi ten lud — zapytała z zaciekawieniem i odrobiną podejrzliwości.

— Przypłynąłeś tu z Jumna, żeby zabijać i rabować. Za zranowane przez ciebie skarby ocalisz swoje życie, choć powinnam cię zabić, gdyż nienawidzę was, z Jumna. Kiedyś dobrze się handlowało końmi z Popiołowłosym. Za jednego konia dawał dwanaście krów. A potem przyszli tu z Jumna tacy jak ty, na czele z Gizurem. Zamknęli Popiołowłosego w wieży i tak srogo rządzili aż zrodził się Piastun. Ze strachu przed nim zaczęli jeszcze bardziej rabować. Napadli na mój dwór i zabrali wszystkie konie. Wtedy zginął mój mąż.

— A co się stało z Piastunem? — zapytał.

Wzruszyła ramionami.

— Otruła go Królowa Zyfika z Mazowii. Teraz ona rządzi w Kruszwic, a cały kraj jest w ogniu walki. Mówią, że książę Karak dotarł aż do Sieradzy. Co cię to zresztą obchodzi?

— Nie mam ojcowizny w Birce. Może tu pozostanę, jeśli mi ktoś ofiaruje miecz i tarczę. Ciekawi mnie po której stanąć stronie.

— Po mojej, głupcze, po mojej. Żyję z koni, które hodują dla mnie trzy wioski Koniojadów. Teraz tu każdy musi bronić siebie samego. Przed Normana sprawami ludu, który najechał wraz z jakąś bandą rozbójników. Ale że nudziła ją jazdą, zaczęła opowiadać:

— U grododzierżcy Kędzierzy w Kruszwic zjawiło się kilku Sauromatów, opowiedzieli o śmierci Piastuna i ten poddał gród królowej Zyfice. A że my najbliżej mamy do Kruszwic, więc teraz jesteśmy poddanymi tej Dzikiej Kobiety. Nie udało się jej jednak zdobyć Łęczyc. Chcieli schwytać Olta Powałę, ale on był na polowaniu. Łęczyc też się nie poddało, bo go broni młoda żona Olta Powały, która jest najmłodszą córką zmarłego Łęczyca Białego. Jeszcze później posłała Zyfika swoich posłów do Gniazda, którym rządzi straszliwy zabójca, Spicimir. Ten ich potraktował jak psy, zabrał broń, obatożył i powiedział, że odtąd będzie władał Gniazdem w imieniu prawowitego syna Piastuna, małego Lestka. Opowiadają, że uprzedziwszy posłów Zyfiki, Spicimir pojechał ze swym wojskiem do Poznanii, zabił grododzierżcę Gostwita i został panem także i Poznanii. A kiedy posłowie Zyfiki przybyli do Giecza, umierał właśnie wojewoda Awdaniec, którego na polowaniu poszarpał niedźwiedź. Najstarszy syn Awdańca pozabijał posłów Zyfiki i ogłosił się Komesem. To samo zrobił Pałuka w Żninie. Nie ma już kraju Piastuna, ale jest dwóch Komesów, Awdaniec i Pałuka oraz władca Poznanii i Gniazda. A także królowa Zyfiką, co panuje na Mazowii i w Kruszwic. Dowiedział się o tym władca Visulan, Karak, i przekroczył granice. Zdobył Sieradzę, ale w dalszej drodze zatrzymał go mróz i śnieg. Opowiadają, że otruto mu żonę, księżnę Helgundę, która była żoną Popiołowłosego. Zyfikę posądza Karak o to otrucie, gdyż jego dzieci mają prawo do tronu w Gnieździe, a Zyfika chce tam osadzić na tronie swojego syna, Kira. Otruła Piastuna, więc może i otruła Helgundę. Jak by nie było, wyszła z tego wojna i teraz każdy sam musi siebie bronić.

— Spicimir też się ogłosił samowładnym Komesem?

— Nie. Nazwał się nowym Piastunem, który dziecko Piastuna Dago ma w opiece aż do pełnoletniości. A ty, Eryku, czemu tak się ciekawisz tym krajem. Pytasz mnie tak, jakbyś znał tych wszystkich ludzi?

— Przybyłem tutaj nie jako rabuś, pani, ale myślałem, aby przyjąć służbę wojenną u Piastuna albo któregoś z jego wojewodów.

— Rabowałeś jednak, skoro wiesz, gdzie są ukryte łupy.

— Robiłem to co inni, pani. Lecz jeśli jest tak jak opowiadasz, to ten kraj wkrótce opanuje książę Karak.

— Może pokona Zyfikę, ale nie zdobędzie Gniazda ani Poznanii. Nie pokona też Awdańców i Pałuki. Zemści się na Zyfice i odejdzie do swojego kraju, a ty, jeśli szukasz służby, to ją może u mnie znajdziesz. Jeśli dobrze władasz mieczem... — dodała.

Odważył się zapytać:

— Kochałaś, pani, Piastuna?

— A za cóż go miałam kochać? — wzruszyła ramionami. — Gdy szedł na Ludzi Skrzydlatych, kazał zabrać mi konie i obiecał zapłacić złotem. Ale tego złota nigdy nie zobaczyłam. Lepiej jest gdy każdy pozostaje na swoim i jest sobie panem.

— Twoi synowie nie są Lestkami?

— A po cóż mieliby zostać Lestkami? — zdumiała się. — Czy to nie mają swojego grodu, Kłodawy? Lestkami zostali tylko tacy, co nic nie mieli, a wszystko chcieli zdobyć. Teraz ich Sauromaci szukają po lasach i wybijają jak wściekłe psy. Wiosną zaprowadzisz mnie do swoich skarbów, a potem możesz zostać u mnie na służbie. Dostaniesz miecz i tarczę, a może nawet kolczugę. Teraz każdy musi sam dbać o swój gród i swoją obronę.

Milczał. Wówczas go zapytała:

— Czy wiele bywałeś w świecie?

— Z Ascomannami żeglowałem po morzach zimnych, z Narentami pływałem po morzach ciepłych. Co chcesz więcej wiedzieć, pani?

— Słyszałeś kiedyś, aby jakiś człowiek wszedł do jaskini pełnej wężów, wykąpał się w zaczarowanym kotle i zyskał nieśmiertelność?

— Tak, pani. Jeśli nie ulęknie się węży i wejdzie do tajemnych jaskiń, wykąpie się w kotle starodawnych Celtów, może otrzymać nieśmiertelność.

Splunęła w bok ze złością:

— Niektórzy Lestkowie głoszą, że byli z Piastunem u wejścia do tajemnych jaskiń w Górach Wenedyjskich. Wszedł on tam, wykąpał się w kotle i otrzymał nieśmiertelność. Twierdzą, że trucizna nie mogła go uśmiercić i Piastun powróci za czas jakiś jako władca.

Dago opuścił głowę, aby blask wschodzącego księżyca nie zajrzał mu w twarz.

— Tak być może, pani...

Cmoknęła na konia i ruszyła do przodu, żeby popędzić koniuchów prowadzących stado koni przez puszczę. Podobała się Dagonowi, choć nie lubiła Piastuna, a żaden z jej synów nie był Lestkiem. Mimo swoich chyba już ponad czterdziestu lat twarz jej zachowała resztki dawnej urody, włosy pod kopulastym hełmem były wciąż jasne i bujne. Rosła, w bogatej kolczudze o co najmniej dwudziestu tysiącach kółeczek z drutu, za pasem miała długi nóż bojowy zwany u Franków — saksy, ale posługiwała się przede wszystkim batem z twardej byczej skóry. Jej bat raz po raz ostro trzaskał, to w powietrzu, to na karku koniucha albo nawet któregoś z synów, których traktowała z wyższością nie znaną u ludów sklavińskich. Ale też była przecież znad jeziora Wetter. Nie znała się jednak na nowych sposobach walki i uzbrojeniu, ani jej synowie, ani koniuchowie nie posiadali mieczy, a tylko kościenie, oszczepy i topory oraz podługowate tarcze. Na głowach nosili kopulaste hełmy bez nosali. Koniuchowie mieli także proce do rzucania kamieni.

C.D.N